

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ FANTASY

JOANNA ZARĘBA

HARPIE w Warszawie



HARPIE
w Warszawie

Harpie w Warszawie

Joanna Zaręba

Copyright © 2015 by Wydawnictwo RM

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl

www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7773-390-5 (mobi)

ISBN 978-83-7773-389-9 (ePub)

Redaktor prowadzący: Tomasz Zajbt

Redakcja: Justyna Mrowiec

Skład i opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański

Projekt okładki: Grażyna Jedrzejec

Ilustracja na okładce: Shutterstock

Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Epilog

Rozdział I

Na nocnym niebie zawisł smok. Był wielki, wręcz gigantyczny. Jerzy oczywiście czytał historie o smokach, a kilka z nich obejrzał nawet na wideo. Tylko, że tamte smoki były... jakieś no... takie inne. Przy tym wyglądałyby jak zwykle niegroźne jaszczurki. Ten był wielką płomienistą bestią. Nie ział ogniem, on cały się z niego składał. Olbrzymimi skrzydłami przesłonił niebo. Grzywę utworzoną z ognistego żaru rozwiewał zimowy wiatr. Oczy przypominające dwa olbrzymie rubiny, lśniły purpurowym złowróżbnym blaskiem. Powietrze wokół niego drgało. Z nozdrzy wydobywały się kłęby dymu, a odbijający się w nich blask nadawał im krwawy kolor. Smok wpatrywał się w miasto w dole i wyglądał tak, jakby na coś czekał. Wtem zanurkował, wypluł w kierunku Pałacu Kultury strumień płonącej materii i momentalnie poderwał się w górę.

Jerzy spodziewał się zobaczyć płonący budynek, wybuch i katastrofę. Nie spodziewał się natomiast tego, co nastąpiło. Płomienie, zamiast uderzyć w Pałac, rozpełzły się po niewidzialnej osłonie wysoko nad szczytem iglicy. Fala ognia rozlała się na czarnym niebie, rzucając czerwony blask na miasto. Przez chwilę coś zamigotało. Jerzemu przyszło do głowy, że zasłona, czymkolwiek by nie była, słabnie i za chwilę puści. Jednak wytrzymała, a smoczy ogień zgasł. Bestia, wyraźnie zawiedziona, ryknęła z wściekłości i zanurkowała raz jeszcze. Tym razem jednak z jej paszczy nie wydobył się płomień, lecz wielka świetlista kula. W chwili zderzenia z osłoną rozległ się huk, jakby świat się zawalił, a towarzyszący temu błysk oślepił Jerzego na dłuższą chwilę. Nie widział, co się dzieje dookoła, i liczył

jedynie na to, że i tym razem niewidzialna tarcza spełni swą powinność.

Kiedy odzyskał wzrok, odetchnął z ulgą. Pałac Kultury pozostał nietknięty, a smok nadal zataczał koła niezdolny do przebiccia się przez osłonę. Powietrze pachniało ozonem. Wokół potwora błyskały błękitne iskierki wyładowań elektrycznych. Jerzemu na chwilę odjęło mowę. Nie zdawał sobie sprawy, że smoki potrafią wyrzucać pioruny kuliste. W książkach tego nie potrafiły. Jednego był pewien – zgodność legend i rzeczywistości dotyczyła charakteru smoków. Były złe. A ten dodatkowo był wściekły i najwyraźniej nie zamierzał odlecieć, dopóki nie dopnie swego. Zatoczył koło, wzniósł się wyżej i runął w kierunku pałacowej iglicy, szykując się do ostatecznego ataku. Ślepią rozbłysły mu czerwienią, a we wnętrzu jego otwartego pyska ukazała się biała, lśniąca kula gorącej plazmy. Tym razem był pewien sukcesu. Jerzy wyczuwał to dokładnie, jakby nagle znalazł się w przestrzeni zajmowanej przez umysł gada. „Jeszcze raz – myślał smok – jeszcze jeden atak i będzie mój”. W głowie Jerzego smocze myśli nie układały się w zdania ani nawet w słowa. On je po prostu czuł. Pragnienie, nadzieja, pewność siebie i okrutna radość ze zwycięstwa. Było tam coś jeszcze, coś słabszego, ale wyraźnego. Jerzy z przerażeniem odkrył, że był to smoczy głód. Głód palonego mięsa i zwęglonych ciał. Smok lubił kolacje dobrze wypieczone.

Jerzy spodziewał się, że tym razem niewidzialna tarcza złamie się i rozpadnie. Oczyma duszy widział kawałki tej zasłony rozpryskujące się niczym szyba i niszczące wszystko, co stanie im na drodze. Zobaczył krew, ludzi na chodniku. Uciekających, krwawiących, spopielonych. Jego wyobraźnia połączona z umysłem smoka podsunęła mu obraz apokalipsy.

I wtedy naprzeciw smoka rozbłysło małe, białe światełko. Jak gwiazda blada na nocnym niebie. W umyśle Jerzego rozległ się wysoki kobiecy głos wykrzykujący komendę:

- Światło gwiazd!

Błyszczący punkcik zamienił się w supernową, zalewając wszystko blaskiem, którego oczy nie mogły znieść. Jerzy drugi raz dzisiejszego dnia na chwilę stracił wzrok. Zasłonił oczy dłońmi, nawet przez powieki światło zdawało się wypalać mu siatkówkę i zagłębiać się w mózgu, zamieniając go we wrzący wywar. Przez dłuższą chwilę tarł oczy pięściami, nie mogąc odzyskać zdolności widzenia. Słyszał huk kolejnych wybuchów i ryk smoka. Bestia musiała być ranna, jej wrzask świdrował uszy i był przepełniony wściekłością.

Kiedy Jerzy odzyskał zdolność widzenia, spojrzał w górę i zaniemówił na chwilę. Zasłona znikła, ale Pałac Kultury pozostał w miarę nienaruszony. Tylko po jego ścianach spływała kipiąca smocza krew. Hektolitry krwi. Wypalała kamienie, dymiąc i sycząc. Smok odlatywał, ciężko i niezdarnie. Zataczał się jak pijany. Podlatywał w górę, to znów opadał, jakby ściągała go jakaś niewidzialna siła. Jego skrzydła przygasały, z nozdrzy unosiła się strużka czarnego dymu. Obejrzał się jeszcze raz w kierunku budynku. W jego umyśle pojawiło się coś na kształt sztyletu. Myśl „jeszcze was dorwę!”, tym razem wyartykułowana po ludzku. Potem odleciał.

Jerzy spojrzał na Pałac. Nad nim unosił się, machając skrzydłami, koń. Tyle że konie nie latają. Do tej pory Jerzy nie wierzył w pegazy, tak samo jak nie wierzył w smoki. Tymczasem przed nim na niebie nad Warszawą unosił się skrzydlaty koń. I wcale, ale to wcale nie przypominał pegaza znanego mu z greckiej mitologii. Przede wszystkim

był o wiele większy od zwykłego konia i miał sierść w kolorze czerwonego wina. Wydzielał wewnętrzne purpurowe światło. Był jak latarnia. Jego lśniące skrzydła, choć wielkie jak spadochron, nie miały prawa go unieść. Przecież praw fizyki nie da się przeskoczyć, a jednak latał. W siodle siedziała dziewczyna. Przy swoim wierzchowcu wydawała się mała, ale sprawiała wrażenie silnej i pewnej siebie. „Wojowniczką” – pomyślał. Czuł to wyraźnie. Dumna i arogancka. Świetnie wyszkolona i przebiegła. Odważna i silna. Pokonała smoka i była z siebie zadowolona. To uczucie krążyło wokół niej, kiedy wydawała okrzyk zwycięstwa. Było w nim coś na temat dokopania pieprzonej bestii i szponiastego śmierdzącego pokrytego łuską. Jerzy nie był w stanie zobaczyć jej twarzy ukrytej w burzy rudych włosów. Zresztą z tej odległości i tak niewiele byłby w stanie dojrzeć. Czuł dla niej podziw, tak jak czuje się podziw dla polującego lwa albo tygrysa na wolności. Drapieżnik. W tej chwili szczęśliwy, krzyczący z radości, że pokonał swego przeciwnika. Dziewczyna spięła rumaka, a on uderzył skrzydłami, zarżał głośno i odleciał przez Wisłę w kierunku Pragi. Zanim znikła z pola widzenia, Jerzy zdążył wyczuć jej imię. Nie usłyszeć, nie odgadnąć, nie zobaczyć napisane... Po prostu wyczuł je tak, jak się czasem wyczuwa czyjś dobry humor lub smutek. Jakby miała je wypisane w wydychanym przez siebie powietrzu. Nazywała się Czerwony Łód.

Kiedy oddalała się, poczuł coś w rodzaju tęsknoty. Takiej, jaką odczuwamy, patrząc w nocy na gwiazdy na zimowym niebie. Jakby tam, gdzieś daleko, był jego dom i jego rodzina. Miejsce, w którym powinien być, zamiast stać tu jak idiota, patrząc za znikającym marzeniem. Ta dziewczyna na koniu, walcząca ze smokiem nad Warszawą, była jakby dawno zaginioną siostrą. Oczywiście był pewien, że

naprawdę nie łączyło go z nią nic oprócz niewidzialnej nitki zrozumienia, podobieństwa. Zresztą ona nawet go nie zauważyła, zaaferowana walką i zwycięstwem nad potworem. Westchnął... i spojrzał ostatni raz na Pałac Kultury. Ze zdziwienia, aż się zachłysnął. Jego ściany były całe. Nie pozostał nawet najmniejszy ślad po smoczej krwi, chociaż był pewien, że wypaliła solidny fragment zachodniej ściany. Ochlapała samochody na parkingu, czuł przecież zapach kwasu, jeszcze piekły go oczy od światła, którym nieznajoma zaatakowała smoka. Jednak wszelkie ślady po bitwie po prostu znikły. Nawet uczucie nieznanego tęsknoty odleciało z jego serca. Nagle poczuł się strasznie zmęczony życiem. W pracy cały dzień harował jak dziki osioł. Potem spędził godzinę, tkwiąc w korku w zatłoczonym tramwaju, na przemian dusząc się i marznąc, kiedy otwierały się drzwi. Jakaś złośliwa starsza pani uderzyła go laską w kolano, aż mu w głowie zawiroowało. Pożyczył jej za to w duchu czarnej ospy, katarakty i reumatyzmu. Zmarzły mu ręce, gdzieś pod stadionem zgubił rękawiczki. Nic nie jadł od rana.

Czy aby te cuda nad Pałacem nie były nieistniejącym zwieńczeniem całego niezbyt udanego dnia? Może to efekt przemęczenia, głodu i zimna? Zwykła halucynacja? Dobrze, smoki nie istnieją. Skrzydlate konie także. A wojowniczkę znaleźć można jedynie na okładkach kiepskiej jakości czasopism fantasy. Odwrócił się i przybity ruszył na stację.

Dworzec Śródmieście jak zwykle śmierdział. Papierosami, moczem, bezdomnymi. Tych ostatnich było sporo. Panujący na dworze mróz zagnał ich tutaj – w miejsce, z którego i tak policja zaraz ich wyrzuci. Myśli Jerzego krążyły niesprecyzowane wokół nich. Byli samotni, śmierdzieli i nie mieli swojego miejsca na ziemi. I nagle złapał się na tym, jak przez jego głowę przelatuje myśl „to

zupełnie jak ja”. Też nie miał swojego miejsca w tym mieście. Ani nawet na ziemi. „Jestem nikim” – pomyślał. „Nikom do niczego się nie przydaję, żyję bezproduktywnie, nie przeżywam przygód, nie robię nic dla ludzi, nie mam dziewczyny, jestem starym kawalerem. Nic dziwnego, że Teresa mnie rzuciła. Jestem bezdenną szarżyzną, nie mam kobiecie niczego sensownego do zaoferowania. Choćby głowy smoka”. I kiedy pomyślał o smoku, nagle poczuł jak ktoś chwyta go za kieszeń i ciągnie. Odwrócił się błyskawicznie, spodziewając się kieszonkowca. Na Dworcu Śródmieście było ich w bród. Wręcz klęska urodzaju. Chciał go złapać za rękę, a może tylko zobaczyć. Niestety, nie zdążył. Kiedy się odwrócił, za nim nikogo nie było. Pomimo to uczucie szarpania za kieszeń nie ustało. Wręcz nasiliło się. Klnąc swój kiepski refleks, spojrział w dół. Obok niego stał, trzymając go zębami za spodnie, zwierzak wielkości dużego psa, ale o wiele delikatniej od niego zbudowany. Miał cienkie, ale zgrabne nogi zakończone lśniącymi na złoto raciczkami i białą, gładką sierść. Jego ogon był raczej cienki i porośnięty długimi włosami.

Jerzy spojrział w jego wielkie, błękitne, pozbawione tęczy oczu, a potem zorientował się, że coś jeszcze niepokoi go w tym stworzeniu. I wtedy zdał sobie sprawę z tego, że zwierzak ma na czole długi, złocisty róg. Podskoczył nerwowo. Jednorożec... Pośrodku peronu drugiego, na stacji Śródmieście, wśród smrodu i hałasu, stał jednorożec. Na dodatek trzymał go zębami za kieszeń i szarpał, jakby chciał mu ją urwać, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie zainteresowanego. Jerzy rozejrzał się bezradnie, szukając pomocy u innych pasażerów. Jakby oczekiwał, że ktoś podejdzie, przepędzi mityczną istotę i powie „Proszę się nie martwić, to się ciągle zdarza”.

Jednak ludzie dookoła mijali go bez słowa, czasem jedynie rzucając na niego poirytowane spojrzenia. Stał im na drodze.

Tymczasem jednorożec zdążył już oderwać spory kawałek jego spodni. Przez powstałą w ten sposób dziurę wypadła paczka chusteczek higienicznych. Wylądowała na peronie, a zwierzak natychmiast zaczął ją obwąchiwać. Zatrzepotał długimi rzęsami, przymknął oczy i zamarł pochylony z nosem wetkniętym w paczkę chusteczek. Jerzy pochylił się i spojrzał. Miały zapach rumiankowy. Zagwizdał głośno ze zdziwieniem. Czekający na pociąg spojrzeli na niego krytycznie. Nie dziwił im się. Stał pochylony nad brudnymi płytami i obserwował coś, czego inni nie mogli zobaczyć. Był pewien, że jest jedyną osobą na peronie, która zauważa baśniowego stwora. Zamyślił się. Nie był w stanie stwierdzić, czy to, co widzi, to złudzenie, czy może niesamowite, lecz realne wydarzenie. Przyjrzał się zwierzęciu. Nadal trzymało nos w chusteczkach i miało minę jak stary wączacz kleju sztachający się butaprenem. Jego puszysty ogon kołysał się miarowo, jakby w takt nieistniejącej melodii. Po dłuższej chwili jednorożec otworzył swoje niesamowicie błękitne oczy, uniósł głowę i spojrzał na niego pytająco. Jego wzrok mówił „nie masz więcej?”. Jerzy rozłożył ręce w geście bezradności. Jednorożec spojrzał na niego z powątpiewaniem i na wszelki wypadek obszedł go dookoła, obwąchując płaszcz i torbę w poszukiwaniu innych ukrytych skarbów. Najwyraźniej jednak żaden z posiadanych przez Jerzego przedmiotów nie okazał się interesujący, ponieważ zwierzak prychnął z niezadowoleniem i oddalił się. Jerzy popatrzył za nim, a potem pochylił się i wziął do ręki chusteczkę. Podniósł je do nosa i powąchał. Nie miały żadnego zapachu.

Wyglądało na to, że cały aromat kwiatów rumianku wywąchał jednorożec. Na chwilę odjęło mu mowę.

- O rany! - powiedział sam do siebie. - Albo cały legendarny świat powrócił, albo ja potrzebuję psychiatry.

- A żebyś wiedział, że potrzebujesz, synku - odezwała się mijająca go starsza pani. Spojrzała na niego taksującym wzrokiem, po czym najwyraźniej zadowolona z inspekcji zaczęła mówić.

- Mój świętej pamięci mąż w trzydziestym dziewiątym też miał kłopoty z...

W tym momencie Jerzy zobaczył swój pociąg wjeżdżający na peron. W duchu podziękował Bogu na niebiosach za ocalenie od opowieści o kłopotach czyjegoś nieboszczyka męża z czasów, kiedy nie był jeszcze nieboszczykiem. Ruszając biegiem w stronę czoła pociągu, wykrzyknął do staruszki:

- Przepraszam panią, to mój...

Wsiadł pędem do wagonu pomazanego farbą w spreju. Wielki, żółty napis głosił „Chuj w dupę policji” i zajmował ponad połowę wysokości wagonu. Kiedy Jerzy zajął już swoje miejsce przy oknie, stwierdził, że cała szyba jest nim zamalowana. Nie pierwszy raz przez coś takiego przejechał o jedną stację za daleko. Zwłaszcza wieczorem, kiedy zazwyczaj człowiek jest senny i rozkojarzony, łatwo o pomyłkę. Rozejrzał się za innym miejscem przy oknie, ale wszystkie zostały już zajęte. Pasażerowie stali w przejściach lub opierali się o ściany, usiłując zachować równowagę. Jakaś studentka siedziała na swoim plecaku. Pozostający chyba na stałym wyposażeniu polskich kolei, standardowy wredny bachor, z miną pełną ponurej złośliwości, rytmicznie kopał czyjąś upchniętą pod siedzenie torbę. Matka, zajęta krzyżówką, zdawała się zupełnie ignorować aktywność małego Belzebuba. W powietrzu unosił się

zapach papierosów. Było duszno i gorąco. Grzejniki pod siedzeniami pokazywały, na co je stać. Plastik parzył Jerzego w tę część pleców, na której się siada. Wiercił się więc niespokojnie i usiłował znaleźć sobie pozycję, w której dyskomfort byłby najmniejszy. Wreszcie jego sąsiadka – wielka opatulona w sztuczne futro baba z gigantyczną niegustowną torebką – zdenerwowała się i wrzasnęła na niego.

- Co się pan tak rozpychasz?! Hrabia się znalazł. Limuzynę byś pan wynajął, jak się pociąg nie podoba! Patrzcie go państwo! Ludzie to szacunku dla innych wcale nie mają! Kto ich teraz wychowuje?! Może jeszcze bez biletu jedzie! Konduktora wezwać, niech sprawdzi! Na pewno chuligan jaki! Okraść mnie chciał, a ja całą wypłatę w tej torbie noszę! – Pomachała mu torbą tuż przed oczami. – Kieszonkowiec wstrętny! Twoja matka ze wstydu by się zapadła!

- O, Boże – pomyślał Jerzy – żeby wreszcie się zamknęła! Jeśli rzeczywiście jesteś miłosierny... Błagam!

Tymczasem babsztyl nie tylko nie zamierzał ucichnąć, ale wyglądało na to, że się dopiero rozkręca. Podniósł tłuście jak balerony łapy w błagalnym geście i zwracając się do pozostałych pasażerów, prosił o zmiłowanie i ratunek przed chuligańską napaścią.

Jednostajne wrzaski potwornej baby zaczęły zlewać mu się w uszach w niezrozumiałą paplaninę.

- BLA! BLA! BLA! BLA! Bla! Bla! Bla! BLA! – wrzeszczała teraz z twarzą czerwoną jak burak ćwikłowy.

Nagle zauważył spojrzenia współpasażerów. Do tej pory popatrywali na niego ze współczuciem lub oburzeniem. Teraz z otwartymi ze zdumienia ustami gapili się bez słowa na krzyczącą. Ich oczy były rozszerzone z przestraszenia i absolutnego zdziwienia.

Studentka wypuściła z ręki czytana książkę. Jakiemuś emerytowi wypadła kanapka z jajkiem i rozpadła się, obsypując jego i siedzące obok niego małżeństwo. Żadne z małżonków nie zwróciło na to najmniejszej uwagi. Byli zbyt zajęci przyglądaniem się sąsiadce Jerzego. Nawet upiorny bachor, rozdziawiwszy gębę, zaprzestał serwować torbie kopniaki i wlepił wzrok w wydzierające się źródło zamieszania.

Wreszcie i on spojrzał na wściekłą babę. Krzyczała swoje „BLA BLA BLA BLA!”, a w jej oczach malowała się rozpacz i panika. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że to nie jej krzyki brzmią dla niego jak bulgot. Ona naprawdę bulgotała i najwyraźniej nie mogła przestać. Odjęło mu mowę. Jak to możliwe?! Co się stało? To jakiś atak czy co? Chyba nie padaczka?

- BLA BLA BLA BLA! - wrzeszczała coraz głośniej. Złapała się za gardło, usiłując wziąć wdech. Wreszcie jakoś w przerwie między jednym bla a drugim udało się jej złapać trochę powietrza. Wtedy bulgot zrobił się jeszcze głośniejszy. Bulgocząca rzuciła się na kolana, złapała Jerzego za nogawki spodni i zaczęła bełkotać błagalnym tonem. Z oczu tryskały jej łzy jak fontanna lub zepsuty prysznic. Ciekło jej z nosa. Twarz poczerwieniała z wysiłku i wykrzywiła się w okropnym grymasie. Wpadł w panikę, nie wiedział, co ma zrobić. Czego ta baba od niego chce?! Rozłożył bezradnie ręce, na co zapłakany babsztyl najwyraźniej uniósł się honorem, bo wstał z klęczek, zamachał rękami i wrzasnął „**BLAAAA!!!**” tak okropnie, że Jerzemu krew zmroziło w żyłach i wszystkie włosy stanęły mu dęba. Wtedy megiera jedna rzuciła mu się z łapami do gardła, najwyraźniej w celu uduszenia go. I fatalnie by się to skończyło, gdyby nie zareagowali wyrwani nagle ze stuporu pozostali pasażerowie, którzy skoczyli ku oszalałej

zołzie i odciągnęli ją od jej ofiary. Z początku broniła się zaciekle, waląc torebką na lewo i prawo niczym młotem kowalskim i niejeden napastnik został w ten sposób poważnie uszkodzony. Potem uległa wobec przewagi liczebnej. Powalona na ziemię i przygnieciona kilkoma co cięższymi osobami, znieruchomiała. Nie przestała jednak bełkotać płaczliwie. Ktoś przytomniejszy wyjął telefon komórkowy i zadzwonił po pogotowie oraz, na wszelki wypadek, na policję. I kiedy wreszcie pociąg wjechał na stację Warszawa Włochy, na peronie czekało już kilku solidnie zbudowanych sanitariuszy i dwóch mundurowych. Zafundowali pacjentce zastrzyk uspokajający, wyciągnęli ją z wagonu i zapakowali do karetki.

* * *

Lód stała ze spuszczoną głową na astronomicznie drogim perskim dywanie i czuła się wyjątkowo głupio.

- Tam coś było - powiedziała. - Czułam to... prawie...

- Niemożliwe. Nasze czujniki wykryłyby to natychmiast - odpowiedział jej siedzący za eleganckim mahoniowym biurkiem mężczyzna.

Miał na sobie pelerynę szytą z bordowego aksamitu i ozdobioną złotym haftem. Był to znak, przypominający literę R złączoną plecami ze swoim lustrzanym odbiciem. Pod peleryną nosił garnitur od Armaniego. Jego lewą dłoń zdobił pierścień ze sporych rozmiarów rubinem. Zarówno on, jak i drugi klejnot umieszczony w złotej opasce na jego czole jarzyły się delikatnym purpurowym światłem.

- Facet nosi na sobie majątek - pomyślała Lód. - Wygląda na luksusowego ascetę. Na dodatek przystojnego luksusowego ascetę.

Odpędziła od siebie tę natrętną myśl. Zdawała sobie sprawę z faktu, że wojowniczkami często zostawały kochankami magów z syndykatu. Temu magowi jednak

jakimś cudem udało się pozostawać absolutnie obojętnym na wszelkie ich zakusy. W tej sferze prezentował pełen profesjonalizm. Nie sypiamy z pracownikami.

Lód nie znosiła być tylko pracownikiem. Zazwyczaj, kiedy wyruszała z misją dla Gwiazdy, miała wolną rękę we wszystkich sprawach. Ta praca jednak została zlecona przez syndykat. Lód wynajęto za ogromne pieniądze. To fakt, ale wynajęto. Zresztą pieniądze nie grały dla niej większej roli. Miała ich dość. Samo zadanie również nie wydawało się skomplikowane. Żadnych parazytów do anihilacji. Praktycznie zero realnego niebezpieczeństwa. A jednak...

- Na waszym miejscu przestroiłabym je na niższą gęstość. To coś mogło się im przemknąć.

Mówiąc to, dziwiła się sama sobie. Taka bezczelność. Prezes nie znosił wszelkich sprzeciwów. Zarówno jego służba, jak i podwładni traktowali go z szacunkiem należnym bogom. Był udzielnym władcą całego miasta. Siedział w luksusowym gabinecie, skąd skinieniem palca dyrygował syndykatem i większością spraw Warszawy. Zasugerowanie mu, że jego organizacja popełnia błędy, nie mieściło się w zakresie jego pojmowania ani tym bardziej tolerancji.

- Nasze czujniki są najwrażliwsze w mieście. Skoro niczego nie wykryły, to znaczy, że nie mamy się czego obawiać. Zresztą, nawet jeśli faktycznie istnieje to COŚ, to czym groźnym mogłoby być? Jestem pewien, że skoro twoje alarmy nie odebrały tego jako niebezpieczeństwa, to nie mamy powodu do nerwów. Dzieci Gwiazdy (oby jej blask zawsze rozświetlał mrok) zazwyczaj nie wpadają w panikę przy najlżejszym tchnieniu nierealnego zagrożenia.

„Cholerny złośliwiec” - pomyślała. - „Posądzać mnie o panikarstwo! Skubany jest faktycznie najwredniejszym

magiem w mieście. Uch... żeby go tak... Zaraz mu powiem, co o nim myślę!”

I powiedziała:

- Obyście się nie obudzili z ręką w nocniku. Nadęte bufony.

Przynajmniej miała najszczerzy zamiar tak odpowiedzieć. Jednak to, co wydobyło się z jej ust, brzmiało:

- Tak, sir...

W myśli obdarzyła siebie i jego kilkoma paskudnymi określeniami.

Prezes skinął dłonią. Widomy znak, że tę audiencję uznał za skończoną. Lód pochyliła lekko głowę w ukłonie, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy już miała opuścić gabinet, usłyszała:

- Naprawdę nieźle sobie poradziłaś z tym smokiem...

Zatrzymała się i odwróciła głowę. Spojrzała na niego. Uśmiechał się. Maksymalnym wysiłkiem woli ukryła zaskoczenie. Przez chwilę patrzyła na niego, skinęła mu głową i wyszła. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, zagwizdała głośno, dając upust swojemu zdziwieniu.

- No niech mnie, czyżby jednak był człowiekiem? Niemożliwe. Musiałam się pomylić, prawda?

To pytanie było skierowane do siedzącej za swoim biurkiem młodziutkiej sekretarki. Najwyraźniej spłoszone tym dziewczętko, wbiło wzrok w ziemię i nie odpowiedziało.

„Nieźle ich wytresował” - pomyślała Lód. Rzuciła sekretarce „do widzenia” i weszła do windy. Nacisnęła guzik, by zjechać na parter. Od ziemi dzieliło ją kilkadziesiąt pięter. Jak pamięcią sięgała, wszyscy znani jej magowie lubowali się w wysokich budynkach. Nie było powodu, aby ci z Warszawy mieli postępować inaczej.

Dlatego właśnie siedziba syndykatu mieściła się w najwyższym wieżowcu miasta - Warsaw Trade Tower, przy Emilii Plater. Urządzone z przepychem apartamenty gościnne, luksusowe biura przedstawicielstw handlowych, maszynownie pełne drogiego sprzętu pomiarowego i największej średnicy soczewka Polski.

Umieszczona w podziemiach, koncentrowała i ukierunkowywała bijącą z ziemi energię. Tunel prowadzący wiązkę miał średnicę dwudziestu metrów i kończył się pięć pięter powyżej szczytu wieży. Soczewka zasilala nie tylko budynek syndykatu, lecz także krajowe przedstawicielstwo TAM i wszelkie ośrodki badawcze w całej stolicy, w tym najnowocześniejsze na świecie laboratoria Metatech i Metabiotics, których filie od niedawna znajdowały się poza Warszawą.

I właśnie dzięki temu, uznała Łódź, syndykat stał się dość bogaty, żeby wynajmować Dzieci Gwiazdy i trzymać rękę na pulsie całego miasta. Formalnie był organizacją niezajmującą się niczym szczególnym. W praktyce prowadził rozległe interesy, nie tylko z innymi miastami, ale i krajami, stanowiąc część wielkiej ogólnoswiatowej sieci. A ponieważ każdy, kto jest dostatecznie potężny by zdobyć władzę, ma też odpowiednio silnych wrogów - syndykat został zmuszony do wynajęcia ochroniarzy.

Zasadniczo wszyscy pracujący w nim czarodzieje kończyli kurs samoobrony, który zapewniał im całkowitą bezkarność w kwestii śmiertelników i imponującą odporność na ataki magiczne. Niemniej jednak tym razem sprawa była poważna. Pracownicy naukowcy, biznesmeni, lekarze, technologowie, informatycy, energetycy, transportowcy i dyplomaci byli zbyt wyspecjalizowani, żeby kształcić ich do prawdziwej walki. Wykonywane przez nich zawody wymagały raczej dokładności i precyzji niż siły.

Większość z nich była po prostu za słaba, aby stawać do walki z naprawdę potężnym przeciwnikiem. Mocą syndykatu był czas, który wykorzystywali na stawianie osłon, konstruowanie działań i precyzyjne manipulacje rzeczywistością.

To wszystko okazywało się niewystarczające, kiedy przeciwnikiem był smok. Na dodatek nie była to któraś ze zwyczajnych bestii, lecz jedna z tych magicznych i przerażająco inteligentnych. Nazywał siebie Szacowny i gdy tylko przybył do miasta, uznał je za swoją bazę zaopatrzeniową. syndykat stanął mu na drodze do szczęścia, czyli do zgromadzenia skarbu i wyzarcia wszystkich mieszkańców. Szacownemu działała na nerwy również tajemnica, jaką okrywały się warszawskie magiczne stworzenia. Oznaczało, że nawet jeśli uda mu się złamać osłony syndykatu i zacznie plądrować miasto, to i tak pozostaną zasłony odcinające i maskujące zniszczony rejon. Mógłby spopielić całą dzielnicę, a mieszkańcy sąsiedniej i tak niczego by nie zauważyli. To z kolei oznaczało zerowe szanse na światową sławę i przejście do legendy. Smoki są stworzeniami o chorej ambicji. Bez przerażonych ludzi i międzynarodowego rozgłosu dla Szacownego gra nie była warta świeczki.

Z kolei nadrzędnym celem wszystkich magicznych organizacji w mieście było ukrywanie prawdy. Każda z nich, nawet ta najmniej kompatybilna, łożyła swoje trzy grosze w konstruowanie kamuflażu. W Pałacu Kultury i Nauki znajdował się główny (choć nie jedyny) generator mocy osłon. Stanowił on silną pokusę dla każdego, kto chciałby w szybki sposób przejąć władzę nad stolicą, dzięki wywołanej ich awarią panice.

Smok również wpadł na taki pomysł. Zdawał sobie sprawę z tego, że każda dzielnica posiada swój własny

awaryjny generator mocy. Wiedział jednak dobrze, że jeśli zniszczy ten najważniejszy, jego naprawa i odtworzenie głównego źródła zasilania osłon zajmie fachowcom dużo czasu. On zaś zdąży dostatecznie narozrabiać, aby reszta źródeł nie wytrzymała napięcia. Wtedy Administratorzy wypowiedzieliby mu otwartą wojnę, a powrót do idei kamuflażu nie miałby najmniejszego sensu, bo cały kraj i pół Europy widziałyby tę katastrofę w telewizji.

- Dlatego też - mruknęła do siebie Lód - wezwali nas.

Dzieci Gwiazdy od wieków istnieją tylko po to, aby narażać swoje życie dla dobra ludzkości. Oczywiście nie za darmo. Dobro ludzkości jest tak ważne, że potrzeba wiele sprzętu, broni, energii i technologii, żeby go skutecznie bronić. A to kosztuje. Przykładowo, utrzymanie Lodu w stolicy, oprócz jej standardowej pensji, pochłaniało każdorazowe dodatki za odpieranie bezpośrednich ataków, zużycie i naprawę sprzętu, koszty leczenia oraz opieki psychologicznej, utrzymanie willi na Saskiej Kępie, a także wyżywienie jej samej oraz jej wierzchowca, który pochłaniał około 6 kilogramów świeżego czerwonego mięsa dziennie. Niemniej jednak tych horrendalnych sum nie wydawano na darmo. Czerwony Lód była jedyną w swoim rodzaju specjalistką wśród wielu magicznie utalentowanych stworzeń. Była w stanie, jeśli nie z miejsca zabić smoka, to przynajmniej osłabić go solidnie, dopóki jej szefowa - Gwiazda - nie zastanowi się, jak wykorzystać go żywego, i nie przyśle kogoś innego w celu schwytania go. TAM nigdy niczego nie marnowali. W każdym razie sytuacja wydawała się być pod pełną kontrolą.

Jednak pozostawało coś, co niepokoiło wojowniczkę. Jadąc do domu wynajętym specjalnie dla niej nowiutkim jaguarem, rozmyślała o dziwnym uczuciu, jakiego doświadczyła po walce. Czuła się obserwowana. Nie była

jednak w stanie stwierdzić, przez co lub przez kogo. Jej czujniki niczego nie wykrywały. Intuicja nie podpowiadała żadnego rozwiązania. Nikt nie zareagował na jej mentalne pytanie. Nie dał odpowiedzi. W całej Warszawie nie było istoty dość nierozsądnej, aby nie odpowiedzieć na takie zawołanie. Wojownicy bardzo szybko uznawali tajemniczego obserwatora za wroga i jeszcze szybciej pozbywali się go. Wtedy na niebie nad pałacem pomyślała, że ma paranoję. Zbłądziłaby się, gdyby zaczęła szukać źródła zakłóceń. Zignorowała je więc i udała, że niczego nie zauważyła. Teraz klęła się za to, na czym świat stoi. Wiedziała, że takie zignorowanie często prowadzi do katastrofy. Właśnie dlatego powiedziała o tym magowi, który ją wynajął. Miała wrażenie, że nie całkiem zignorował tę wiadomość. Może Artezjan oskarżył ją o zbędne panikarstwo, ale nie dało się nie zauważyć, że czujniki uliczne zostały przestawione na wyłapywanie niższych gęstości.

- To dziwne - pomyślała - Tak niskie gęstości nie występują w przyrodzie, z paroma wyjątkami. Co oni spodziewają się wykryć? Co oni wiedzą?

* * *

Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. Bałtyk zamarzał, a na jego powierzchni, jak co roku, pojawiły się karawany kupców wędrujące do Skandynawii. Na noc zatrzymywali się w lodowych gospodach, nazwanych tak, ponieważ ich jedynym fundamentem był lód skuwający polskie morze. Utrzymywały się one tak długo, jak długo mróz trzymał wodę w swoich martwych łapach. Co wiosną, gdy morze odmarzało, gospody te zapadały się w odmęty niczym miniaturowa wersja słynnej Atlantis. Tymczasem jednak do wiosny było daleko, a na dodatek tak zabójczo mroźnej zimy nie pamiętał żaden z przemierzających morze handlarzy.

Pochłoneła już mnóstwo ofiar, zamarznętych, zagłodzonych, zagubionych w zawiei. Jedynymi śladami po nich były puste obrabowane wozy i zamarznęte, niepochowane trupy.

Ludzie mówili jednak o czymś innym, znacznie gorszym od mrozu. Czymś, co zabija samym dotknięciem, spojrzeniem. Mówili, że człowiek, który stanął naprzeciwko tej istoty, był martwy, zanim jeszcze bestia zdążyła rozszarpać go na ćwierci. TO zabijało najpierw umysł, pozbawiając go nadziei, dopiero potem niszczyło ciało. Zadawało upolowanym nieszczęśnikom straszliwe męczarnie i pozostawiało ich szczątki rozwleczone tak, aby ktoś je znalazł. Nie zabijało dla pokarmu, to pewne. Zawsze znajdowało się wszystkie kawałki ciała, jeżeli tylko miało się czas i odwagę, żeby szukać jego części. Wydawało się, że zabija jedynie dla strachu swoich ofiar. I dostawało ten strach. Krwawa danina od przejeżdżających przez morze kupców. Bali się wszyscy. Kupowali magiczne amulety od wioskowych staruch i święte relikwie od szarlatanów. Modlili się i wzywali opatrzność. Dla stwora nie było to żadną przeszkodą. Wpadał między wozy, chwycił nieszczęśnika i zabijał na miejscu, nie uciekając z nim nawet. Sparaliżowani strachem kupcy nie ruszali się, czekając na swoją kolej. A ona nadchodziła. Nieuchronnie. Wielu wynajmowało sobie uzbrojoną ochronę, ale metoda, która skutkowałą z bandami zbójców, w tym przypadku zawodziła. Nieważne, jak liczni byli zbrojni, nie mieli szans w walce z Czymś. Podobno znajdowano ich poszarpane ciała bez mieczy i tarcz, jakby sami odrzucili tę broń. Żadnych śladów szamotaniny, miejsca ich kaźni wyglądały, jakby nawet nie próbowali się bronić.

Oczywiście, nie wszyscy padali ofiarą potwora. Wielu handlarzy przeprowaiało się na drugi brzeg i powracało bez

szkody. Ale cała droga przez lodową równinę była dla nich koszmarem. Nie spali i nie zatrzymywali się nigdzie z wyjątkiem gospód. Nawet tam, nad miską jadła i przy ciepłym ogniu nie czuli się bezpieczni. Nie rozmawiali ze sobą, coraz częściej dochodziło do konfliktów. Czasem nawet walk, kończących się rozlewem krwi. Ludzie osiąkali granicę swojej nerwowej wytrzymałości. Zdarzały się wypadki, że gość lodowej karczmy wstawał nagle znad swojej miski czy budził się z niespokojnego snu, wybiegał bez powodu w noc i uciekał, nie wiadomo dokąd. Nikt takich nie zatrzymywał. Nie było po co. Oni mieli się spotkać ze swoim przeznaczeniem, nieważne, czy były nim mróz i zawieja czy też szpony Czegoś.

Tym razem jednak historia rozegrała się inaczej niż pozostałe.

- Ta zima pochłoneła już zbyt dużo ludzkich żywotów! - powiedziała rudowłosa dziewczyna, przekrzykując wiatr.

Była ubrana po męsku. Długie włosy splecione w warkocz sięgały jej prawie do pasa. Niebieskie oczy lśniły od łez. W ręku ścisnęła miecz jarzący się delikatnym błękitnym światłem. Płatki śniegu, które opadając, dotykały jego ostrza, parowały z sykiem.

- Nie dostaniesz już nikogo więcej! - wykrzyknęła łamiącym się głosem.

Stała przed wrotami lodowej gospody. Wokół niej tańczyła niesiona wiatrem śnieżna kurzawa. Wicher targał wiszącym nad drzwiami szyldem. „Krzyż południa” głosił wymalowany łuszczącą się farbą napis na desce. Szparą pod drzwiami wyciekała strużka krwi i rozlewała się po zamarznętej powierzchni morza. Dziewczyna wiedziała, że nie ma po co zaglądać do środka i sprawdzać. To nie miało sensu; i tak wszyscy wewnątrz byli martwi. Ludzie

i zwierzęta, zabił nawet psy przy budach i konie w stajni. Targnęła nią wściekłość.

- Tak nie wolno, nie masz prawa! Co ty sobie wyobrażasz!?

Przycupnięta naprzeciwko bestia wyczuła jej emocje. Zachichotała, a jej głos sprawił, że rudowłosej zrobiło się niedobrze. Nogi zadrżały i lekko ugięły się pod nią.

- Nie powinno cię tu być, maleńka - wysyczał stwór. - Nie masz ze mną szans. Wysłali cię, ponieważ cię nienawidzą. Opuść miecz i odejź, a puszcze cię wolno. Nie sprawi mi satysfakcji zabicie dziecka.

Duszą rudowłosej targnęła niepewność. A co jeśli parazyt ma rację? Jeżeli jej opiekunka naprawdę jej nie znosi? Boże, przecież ma dopiero osiemnaście lat! Co tu robi, na środku lodowej pustyni, sama z mieczem w ręku? Naprzeciw bestii, której nie zdoła pokonać... Zwiesiła głowę, załkała, ale nie wypuściła broni.

- Dziecko - przemówił znowu łagodnym głosem. - Czy naprawdę myślisz, że nie dość się dzisiaj najadłem? Możesz pozbyć się tego paskudnego miecza. Nie pasuje do ciebie. Taki ciężki. Zmęczysz się, trzymając go. Jesteś przecież damą, twoje miejsce jest w pałacu, z którego cię zabrali. I po co? Skoro i tak przysłali cię tu na zmarnowanie...

Jego wilcza morda przybrała wyraz smutku i litości.

Ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. To wszystko prawda, prawda! Nie powinni byli zabierać jej z domu, od rodziców, którzy ją kochali. Pamięta łzy matki i błagania ojca: „nie zabierajcie nam dziecka”. Pamiętała, jakie piękne i łatwe było jej życie, zanim porwali ją TAM. A teraz było już dla niej za późno.

Bestia patrzyła na nią teraz pełnymi łez oczyma jej matki. Miała jej włosy i twarz. Wyglądała jak jej matka.

„Boże!” – pomyślała rudowłosa. „To ona! Przyszła po mnie, znalazła mnie. Wrócimy razem do domu i wszystko znowu będzie dobrze”. – Tylko jedna natrętna myśl nie pozwoliła jej cieszyć się tym szczęściem. Jak tu zimno! Ale to nic. Niedługo znów będzie ze swoją rodziną.

– Podejź, kochanie, tak długo cię szukałam – mówiła matka. – Tak bardzo cię kocham.

– Dlaczego tak zimno? Lodowaty oddech... – Po głowie dziewczyny kołatało się wciąż to samo pytanie.

– Stoisz na mrozie, córeczko, wyszłaś na śnieg tylko w sukience. Mogłaś odmrozić sobie stopy, wróć już do domu. Martwimy się o ciebie.

– Dlaczego twój głos jest zimny, mamó? Czemu tak tu zimno? – Rudowłosa cały czas kurczowo ścisnęła rękojeść miecza. Szła w kierunku matki, powoli opierając się samej sobie. Dygotała z chłodu. – Nie powinno być tak zimno.

– Wyrzuć natychmiast to żelastwo! – Głos jej matki stał się surowy i twardy jak kamień. – Wyrzuć je!

– Dlaczego, mamó? To mój miecz. Czemu chcesz, żebym go odłożyła?

– Jeśli tego nie zrobisz, oddam cię tym ludziom, nie chcę nieposłusznej córki, która mnie nie kocha. Chociaż ja kocham ją tak bardzo. – W oczach matki zaszklily się łzy.

Dłoń trzymająca rękojeść zaczęła się rozluźniać, jeszcze chwila, a wypuściłaby swoją broń. Matka podchodziła coraz bliżej, uśmiechała się, otwierając ramiona. Nagle ciszę przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi i kłapnięcie padającego na śnieg ciała. Potem zabrzmiał niezrozumiały bełkot. Rudowłosa potrząsnęła głową, spojrzała. Na śnieg przed gospodą wypełzła kobieta – zapewne żona karczmarza. Jej oczodoły były puste, nie miała oczu, wylewała się z nich krew. Bełkocąc, wypluwała jej jeszcze więcej. Nie miała języka. Zamiast błagania o ratunek na jej

usta wypływały tylko czerwone bąble. Krew lała się spod podartej spódnicy i spływała po odsłoniętych posiniaczonych udach. Czołgała się niezgrabnie po śniegu, wlokąc za sobą miazgę, która kiedyś była jej prawą ręką. Pozostawiała czerwony ślad. Jedna sekunda zmieniła wszystko. Nie było już uśmiechniętej matki u wrót domu. Pozostał tylko parazyt z wilczym pyskiem, żywiący się ludzkim strachem i cierpieniem. Nie było już kochających, broniących dziecka rodziców. W pamięci został tylko płonący dom i ruda sierota, której nikt nie chciał. Zniknął pałac, przed oczyma duszy zostały tylko dymiące zgliszcza nędznej chałupy. I czerwony ślad na śniegu. I torturowana istota, która pomimo wszystko pragnie żyć. Którą jeszcze można ocalić.

- Oczyszczenie - szepnęła dziewczyna, mocniej ściskając miecz. Czar spowodował, że jej umysł natychmiast opłynęła fala lodowatego spokoju. Nie było już w niej gniewu i strachu, zniknął ból po stracie rodziny, przeszłość rozplynęła się w nicości, nigdy się nie liczyła.

„Są rzeczy gorsze niż śmierć” - pomyślała. - „A teraz trzeba to zniszczyć”.

Uderzyła błyskawicznie i precyzyjnie, emocje straciły kontrolę nad jej ruchami. Odkoczył, ale nie był dość szybki. Nie spodziewał się, że przybita i omotana iluzjami dziewczyna zdoła uwolnić się i zaatakować go.

„Nie są inteligentne, znają tylko ból i głód”. - Przypomniała sobie słowa swojej opiekunki. Nigdy się na niej nie zawiodła. Ostry jak brzytwa błękitny miecz odciął pierwszą szponiastą łapę. Zaskowyczał z bólu. Tak, ból i głód. To tylko znają. Potwór, manewrując na trzech łapach, nie zdołał uchylić się przed kolejnym ciosem. Rudowłosa teraz miała już z górki. Wiedziała, że nie spotka jej już nic gorszego od pierwszego ataku parazyta.

- Łatwo cię pokonać - szepnęła, odskakując po udanym ataku. Ból i głód.

Parazyt próbował niezgrabnie utrzymać się na dwóch pozostałych nogach. Nadludzkim wysiłkiem skoczył w jej kierunku. Szybki jak strzała, ale wciąż za wolny dla swojej przeciwniczki. Uchyliła się przed jego zębatym pyskiem. Wiedziała, że nie wolno jej go zabić. Martwy nie zwróci tego, co zabrał swoim ofiarom.

Znowu znalazł się zbyt blisko. Celnym kopnięciem złamała mu łapę; zaskowyczał głosem jej matki. Już nie walczył, rozpaczliwie próbował uciec. Wojowniczką wiedziała, że to niemożliwe. Na dwóch łapach, z czego jedna zgruchotana. Ledwo w ogóle utrzymuje się w pionie. Zresztą, dokąd i jak ma tu uciec? Wojownicy nie wypuszczają z rąk swojej zwierzyny, to by było nielogiczne. Teraz jeszcze ostatnie dwa cięcia, musi zapakować go bez łap. Korpus na śniegu przybrał postać jej okaleczonej matki.

- Nie - powiedziała do bezbronno potwora. - Nie pamiętam mojej matki, nie wiem co to za kobieta.

- Zabij... - wyskrzeczwał potwór.

- Nie rozśmieszaj mnie. - Rudowłosa wyjęła niewielkie rubinowe puzderko i stuknęła paznokciem w wieczko. Pod pokonanym parazytem otworzyło się świetliste przejście. Wiodło prosto do komory odzyskowej w siedzibie TAM. W niej przeprowadza się proces odessania energii z pasożyta, który ją pochłoniął. To unicestwia go na zawsze. Parazyta nie wystarczy zabić. Zawsze potem wraca. Czasem zajmuje mu to więcej lub mniej czasu, zanim odzyska materialną postać. Jednak za każdym razem, kiedy się go uśmierca, wraca, i zabawa zaczyna się od nowa. Stwór ze skowytami zniknął w komorze, a przejście bezszelestnie zamknęło się za nim. Wojowniczką odwróciła się na pięcie i podeszła do okaleczonej kobiety. Już nie żyła.

- Nie szkodzi - szepnęła dziewczyna. - Wiesz już, że są rzeczy gorsze niż śmierć. Dzięki za uratowanie mi życia.

Wstała i nagle poczuła się okropnie skonana. Zaklęcie oczyszczenia przestawało działać. Wszystkie emocje i uczucia powróciły do jej umysłu. To spowodowało potworne zmęczenie. Szok, ból, rozpacz i nade wszystko strach. Wojownicy służący Gwieździe doskonale wiedzieli, jaką moc sprawczą mają te uczucia. Westchnęła ciężko. Pasożyt został zniszczony, wykonała swoje zadanie. Czas wrócić do domu, odebrać zapłatę i pogodzić się ze swoją przeszłością. Paradoksalnie, ta pokonana przez nią istota bardzo jej pomogła. Dzięki niej uświadomiła sobie, jak mało znaczy jej pochodzenie i to, jaką ją widzą inni ludzie. Wieczna odmiennosc i stracone dzieciństwo wydały się jej nagle zupełnie nieważne, jak pyłki na wietrze. Jednak najważniejsze, czego się dowiedziała, to to, że czasami śmierć jest lepsza od kłamstwa. Zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że tak jest, ale do tej pory jakoś nie mogła w tę prawdę uwierzyć. I to komplikowało jej życie. Teraz będzie zupełnie inaczej, wszystko się zmieni.

I faktycznie zmieniło się. Na lepsze. Miesiąc później stanęła wreszcie pośrodku wielkiej sali podczas ceremonii nadawania imion. Patrzyła w milczeniu na rzeźbę ogromnego węża Uroborosa, który owijał się dookoła tronu Gwiazdy, pożerając własny ogon, i czekała, aż Jej Świetlistosc w swojej mądrości nada jej imię. Takie, które zaświadczy, że jest już dorosła i pracuje na własną odpowiedzialność.

Gwiazda podniosła się z tronu i podeszła do szeregu swoich dzieci, klęczących młodych wojowników i wojowniczek. Kolejno podchodziła do każdego, pochylała się nad nim, spoglądała w oczy i wypowiadała imię:

- Wieczny sen. Błyskawica. Pocałunek. Apollo. Terebit.

Rudowłosej czas oczekiwania ciągnął się w nieskończoność. Pragnęła, żeby już było po wszystkim. Chciała się wreszcie dowiedzieć, jak będą na nią wołać przez resztę życia. Tak się zamyśliła, że nie zauważyła nawet, gdy Gwiazda podeszła i pochyliła się nad nią. Oprzytomniała dopiero, kiedy Świetlista położyła swoją dłoń na jej włosach. Zawstydzona, spuściła wzrok. Taki nietakt. Chętnie zapadłaby się pod ziemię, ale Gwiazda zaśmiała się tylko cicho.

- Podnieś głowę, moja córko - szepnęła. - Chcę ci spojrzeć w oczy.

Dziewczyna posłusznie wykonała polecenie. Oczy dwóch kobiet, młodej i bardzo starej, spotkały się. Świetlista miała oczy koloru bursztynu, pełne niesamowitego ciepła i głębokie jak Wieczny Ocean. Dziewczyna odnosiła wrażenie, że jej zwierchniczka widzi nimi nie swoje dzieci, ale ich nieśmiertelne dusze. Wstrzymała oddech, a Gwiazda podniosła się i donośnym, melodyjnym głosem powiedziała:

- Czerwony Łód.

* * *

Tej nocy nad ogrodem zoologicznym lśnił księżyc w pełni, a jego światło zamieniało pokrywający ziemię śnieg w roziskrzane brylanty. Nawet jedna samotna chmurka nie przesłaniała rozgwieżdżonego nieba. Jak zwykle przy takiej pogodzie temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni Celsjusza. Mróz i lodowaty wiatr zapędziły do domów nawet najbardziej upartych amatorów nocnych spacerów. Przeróżliwe zimno wdierało się pod najcieplejsze ubrania i przenikało człowieka do szpiku kości. Jednak najwyraźniej nie wszyscy mieszkańcy miasta dali się sterroryzować zimie.

Przed oszronioną tablicą informującą o rozkładzie wybiegów na terenie zoo stały bowiem trzy postacie. Nie

byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie kilka faktów. Na przykład: właśnie wybiła godzina trzecia nad ranem, a postacie były pokryte białym lśniącym futrem i posiadały długie, zakończone pędzelkami sierści ogony. W zadumie przyglądały się umieszczonej na tablicy mapce, a ich duże sterczące uszy poruszały się niczym samoustawiające się anteny satelitarne, wylapując wszelkie dźwięki dookoła. Oczy dziwnych istot lśniły w mroku złocistym blaskiem. Na twarzach miały namalowane fosforescencyjną czerwoną i białą farbą poziome znaki. Kiedy tak skupione przyglądały się tablicy, ich ogony poruszały się z lewa na prawo w miarowym rytmie. Wyglądało na to, że trzaskający mróz nie robi na nich specjalnego wrażenia. Osypujące się z gałęzi drzew płatki śniegu, osiadając na puszystych futrach, nie topniały, co świadczyło o świetnych właściwościach termoizolacyjnych sierści. Wreszcie, po kilku minutach bezruchu, jedna z nich wskazała palcem na mapie wybieg dla żyraf. Druga ciężko westchnęła i popukała się w czoło, wykrzywając pokrytą futrem twarz w pogardliwą minę. Trzecia chwyciła się za głowę. W odpowiedzi na ten gest pierwsza prychnęła z lekceważeniem, po czym bezradnie rozłożyła dłonie. Druga podskoczyła ze złością i zamachała wściekle rękoma. Coś na końcach jej palców metalicznie błysnęło w mroku. Byłyby się na pewno pobiły, gdyby trzecia nie stanęła między nimi. Rozłożyła ręce w pojednawczym geście i wskazała na budynek, w którym zimują hipopotamy. Przez chwilę znowu się nie poruszały. Po czym na ich twarzach pojawił się wyraz zainteresowania, który po kilku sekundach zamienił się w szatański uśmiezek. Wszystkie trzy zgodnie kiwnęły głowami i ruszyły w kierunku wybiegu. Szły bezszelestnie, niemal nie zostawiając śladów na śniegu, jakby wcale go nie dotykały. Poruszały się ze zwinnością i gracją polującego

kota. Kiedy szły, ich długie ogony nie wlekły się po ziemi, ale owijały się wokół talii. Gdy futrzaste stworzenia dotarły na miejsce, zastały drzwi zamknięte na solidną kłódkę. Spojrzały na siebie, a wtedy jedna powiedziała do pozostałych.

- No to świetnie, Majeranek! Masz teraz jakiś pomysł?

- Jasne, Estragon. Pieprz to załatwi. Dalej, Pieprz!

Estragon nie wydawała się co prawda specjalnie zadowolona z odpowiedzi, ale najwyraźniej nie miała lepszego pomysłu na rozwiązanie problemu, bo wzruszyła ramionami i wskazała Pieprzowi kłódkę. Pieprz pstryknęła tylko palcami i nagle na koniuszku jej wskazującego palca pojawiło się małe światełko. Wcisnęła je w dziurkę od klucza kłódky i nagle kłódką rozpadła się w proch, wydając z siebie ciche „psssst”. Drzwi stały otworem. Majeranek, Estragon i Pieprz wślizgnęły się do środka. Nie zapalały światła. Widziały w ciemnościach lepiej od kotów. Poza tym kierowały się idealnym węchem, a w tej chwili doskonale czuły zapach swojej ofiary. W pomieszczeniu spał niczego nie spodziewający się tłuściutki hipopotam. Majeranek oblizwała się, nie spuszczając go z oczu.

- Duży jest - szepnęła.

- Aha... Starczy grupie na długo - dodała Estragon.

- To na co czekamy, harpie? Do roboty! - poganiała Pieprz.

W ciemności błysnęły wysuwane bezszelestnie pazury. Łowczynie otoczyły zwierzę. Nie chciały, żeby szamocząc się, narobił zbyt dużo hałasu. Nie można pozwolić, żeby ktoś przyłapał je na polowaniu. Sól na pewno nie byłby uszczęśliwiony, gdyby jego myśliwi powrócili z niczym. Zima jest długa i ostra. Grupa potrzebuje wysokokalorycznego pokarmu, a hipopotam to doskonała zdobycz. I nieważne, jak dobrze go pilnują.

Pieprz dała znak dłonią i skoczyła mu na grzbiet. Obudził się i spróbował wstać, ale w tym momencie pazury Pieprz wbiły mu się w kręgosłup. Dźwięk, jaki z siebie wydał, zadziwił nawet atakujące go harpie. Zawierał w sobie ból i przerażenie, tym większe, im głębiej zagłębiały się szpony. Tymczasem na ogonach Majeranek i Estragon zabłyśły żądła. Jedna z nich wbiła je w kark zwierzęcia. Kwiknęło rozpaczliwie, skoczyło ostatkiem sił i przewróciło się na ziemię. Pieprz w ostatniej chwili zdążyła zeskoczyć i uniknęła poturbowania przez padające ciało. Kiedy już leżał bez ruchu, Estragon doskoczyła i rozcięła mu gardło pazurami. To było konieczne, toksyna, której użyły sparaliżowała tylko zwierzę, nie zabijając go. Krew trysnęła na wszystkie strony. Po kilku sekundach całe pomieszczenie było nią upaprane. Białe futro harpii pokrywały teraz krwawe plamy.

Nie próżnowały. Momentalnie zaczęły wycinać z hipopotama kawały tłustego mięsa. Robiły to szybko i sprawnie, jakby przez całe życie niczym innym się nie zajmowały. Obranie go do kości zajęło im zaledwie piętnaście minut. Teraz leżała przed nimi góra pociętego na kawałki mięsa, kupa wnętrzności i czysty, pozbawiony kawałeczka mięsa szkielet. To wszystko natomiast leżało już nawet nie w kałuży, ale w basenie krwi. Majeranka, schowała pazury i oblizała palce. Estragon wybrała sobie smakowicie wyglądający kawałek mięsa i zaczęła jeść. Pozostałe zrobiły to samo. Przywilejem łowców było najeść się do syta po udanym polowaniu.

Kiedy zaspokoili głód, Pieprz czknęła i podeszła do tego, co kiedyś było hipopotamem. Narysowała palcem kółko w powietrzu i gwizdnęła. Dało się słyszeć ciche „puff” i na miejscu mięsa pojawiła się mała, czerwona kulka. Estragon wyciągnęła z powietrza skórzany woreczek i wrzuciła do

niego kulkę. Było w nim już kilka podobnych, ale w innych kolorach. Większość z nich była kiedyś kurami upolowanymi pod Warszawą, w kilka niebieskich zmieniły się papugi ukradzione z mieszkań, zielona to pozostałość po pytonie doprowadzonym z terrarium, a biało-czarna... No cóż, ten dog niemiecki na pewno już nie szczeka. Następne pstryknięcie palcami i woreczek ponownie rozpląnął się w powietrzu.

Harpie wyszły na zewnątrz i ruszyły spacerowym krokiem w kierunku bramy, gdzie... napotkały dozorcę. Staruszek stanął jak skamieniały, nie mogąc złapać tchu. Po dłuższej chwili otworzył usta, zrobił rozpaczliwy wdech i wrzasnął. Harpie położyły uszy po sobie, ich wrażliwy słuch nie był przyzwyczajony do takich dźwięków. Dozorca wrzeszczał tak cienko, że prawie wchodził w ultradźwięki. Najwyraźniej nie zamierzał przerywać, krzyczał nawet wtedy, kiedy odwrócił się i zaczął uciekać. Estragon, Pierz i Majeranek spojrzały najpierw na niego, potem na siebie, wzruszyły ramionami, zmaterializowały skrzydła i oderwały się od ziemi.

* * *

Artezjan wziął do ręki „Gazetę Wyborczą” i spojrzał na pierwszą stronę. Nie sposób było nie zauważyć gigantycznego nagłówka **„Bestialskie morderstwo w zoo”**. Resztę strony zajmowało makabryczne zdjęcie. Przyjrzał mu się z uwagą. Wapnowane ściany obryzgane krwią, sufit cały w czerwonych plamach, na podłodze wielka zakrzepła kałuża, a w niej kupa wnętrzności i zaraz obok kompletny szkielet ułożony starannie w stos, z czaszką na samym wierzchołku. Tylko tyle pozostało z ofiary. Nawet on nie mógł powstrzymać się od wzdrygnięcia się z odrazą. „Wyjątkowo brudna robota” – pomyślał.

W rogu wielkiej fotografii wmontowana została mniejsza, czarno- biała. Przedstawiała drewniane drzwi budynku i wymalowany na nich krwią znak. Obok dopisek „Więcej informacji na stronie 3”. Artezjan posłusznie znalazł trzecią stronę i pogrążył się w lekturze.

„Gazeta Wyborcza” potraktowała temat bardzo obszernie. Mag znalazł w niej wszystko, od życiorysu zwierzęcia, do opisów podobnych przypadków w innych ogrodach zoologicznych. Zamieszczono również wywiady z komendantem warszawskiej policji i dyrektorem zoo. Obaj nie mieli bladego pojęcia, jakim cudem grupa kilku osób z narzędziami do ćwiartowania i cięcia dostała się na zabezpieczony teren bez rzucania się w oczy. Podejrzenia padły na jednego z pracowników, który rzekomo miał wpuścić przestępców. Oczywiście policja dokonała już aresztowania i prowadzi w tej sprawie dalsze dochodzenie.

Artezjan czytał dalej. „Fachowcy zajmujący się sektami oraz subkulturami usiłują ustalić na podstawie symbolu na drzwiach, kto prowadził ten rytuał i czemu mógł on służyć”. I właśnie tu trafili na schody, ponieważ tajemniczy znak nie figurował w żadnej bazie danych.

Mag zaśmiał się gorzko i rzucił „Wyborczą” na biurko. „Ustalić, czyj to znak? To by się zdziwili”. - Sam znał go doskonale.

Zanim został prezesem, widywał go często podczas akcji interwencyjnych. Symbol malowany był na drzwiach lub ścianach mieszkań, na szybach okien i sklepowych witrynach, na perskich dywanach willi bogaczy. Zawsze krwią, najczęściej zwierzęcą i tylko raz ludzką, ten przypadek więcej się nie powtórzył. Wszędzie występował obok oczyszczonych z mięsa szkieletów i wywleczonych wnętrzności. Stanowił, jedyny w swoim rodzaju, podpis grupy łowieckiej Czarnych Skrzydeł, dla wtajemniczonych

znanej też jako Fruwacze, a przez szefa syndykatu i Administratorów Warszawy określanej jako **Cięzka Cholera Na Te Futrzaki!** Tych ostatnich określeń nie wypowiedziano, a zazwyczaj wywrzaskiwano je z ekspresją, tupiąc i rzucając czymś o ścianę. Nawet najbardziej cierpliwi i refleksyjni urzędnicy miejscy tracili zimną krew w obliczu działalności harpii, pospolicie zwanych właśnie futrzakami. Artezjan nie należał tu do wyjątków. Zazwyczaj spokojny i opanowany, zamieniał się w istny huragan, kiedy harpie nadepnęły mu na odcisk. Jego sekretarki i asystentki w takich sytuacjach rozpaczliwie próbowały zapaść się pod ziemię, przewidując najgorsze. Szef magów wyłączał wtedy telefony i interkom, zamykał wszelkie okna kontaktowe, po czym wydawał polecenie „Ściągnijcie mi tu Sól, natychmiast!”. Wtedy zamykał się w swoim gabinecie i czekał. W takiej chwili biada każdemu, kto zakłócił jego spokój. Nawet warszawskie wrony i gołębie instynktownie omijały okna jego biura.

Teraz właśnie dojrzywał psychicznie do wezwania Soli – przewodnika grupy Skrzydeł. Zastanawiał się tylko, co mu powie, kiedy już się zjawi. Otworzył kolejną gazetę. Tym razem trafił na „Super Express”. Pismo mało szacowne, ale dostarczające wielu cennych informacji na niektóre tematy. Pierwszą stronę standardowo zdobił wielki czerwony nagłówek **„Poznajcie prawdę!”**. Zdjęcie bardzo podobne, zasadniczo. Jediną różnicę stanowiła obecność w pomieszczeniu chudego i wystraszonego staruszka. Podpis: „Jedyny świadek tragedii”. Mag z wściekłości aż podskoczył w fotelu, a rubin w opasce na jego czole zaśnił niepokojącym blaskiem.

- Świadek?! Świadek?! Jeżeli te Cholerne... pokazały się komuś, to tym razem... tym razem!

Artezjan wstał, wziął kilka głębokich wdechów, po czym powoli i starannie zwinął „Super Express” w kulkę. Ścisnął ją w dłoni. Rozległ się cichy syk, kiedy papier stanął w ogniu. Palił się przez chwilę, niebieskim płomieniem, napełniając powietrze kłębkami dymu, dopóki w dłoni maga nie pozostała tylko kupka popiołu. Artezjan strzepnął go z ręki i zajrzał do pokoju obok, gdzie rezydowała jego asystentka. Skuliła się za biurkiem, kiedy skierował na nią wzrok i wysyczał:

- Auroro, Sól, natychmiast.

Po czym, nie czekając nawet na odpowiedź, wrócił do siebie, dezaktywował wszystkie urządzenia łącznościowe i opadł na swój ulubiony fotel. Z ciężkim sercem, obawiając się najgorszego, pstryknięciem palcami, stworzył ekran telewizyjny. Wybrał program pierwszy. Okazało się, że trafił na idealny moment, bo staruszek ze zdjęcia właśnie udzielał wywiadu dla wiadomości porannych. Machał rękami i, krzycząc „Klnę się na Matkę Boską Częstochowską”, teatralnie chwycił się za serce. Potem znowu krzyczał „To tam było! Potworne!”. I bił się w piersi, słaniając się i mdlejąc. Policjanci próbowali go podtrzymać, ktoś najwyraźniej wezwał pogotowie, bo na teren ogrodu wjeżdżała właśnie erka. Wskoczyło z niej dwóch mocno zdezorientowanych sanitariuszy. Przez chwilę rozglądali się dookoła, nie wiedząc, kogo mają ratować. Potem chyba doszli do wniosku, że natychmiastowa reanimacja nie jest jednak potrzebna, i spokojnie usiedli na ławeczce.

Tymczasem reporter wiadomości podsumowywał wypowiedź mężczyzny. Z dokonanego skrótu wynikało, że świadek to nocny stróż, zajmujący się pilnowaniem bramy ogrodu. Właśnie wyszedł ze swojej budki za fizjologiczną potrzebą, kiedy z podziemi wyskoczyły trzy umazane krwią diabły, które próbowały porwać jego duszę do piekła. Kiedy

wrzasnął do nich „O Jezu!”, siły nieczyste przestraszyły się i odleciały tam, skąd przyszły, pozostawiając po sobie jedynie zapach siarki i ślady łap na śniegu. W tym momencie na wyczarowanym przez Artezjana ekranie ukazał się gipsowy odlew sporządzony na podstawie jednego ze śladów. Nie był to co prawda ślad kopyta, jak przystało na podwładnego księcia piekieł, ale i tak robił wrażenie. Głównie obecnością około dziesięciocentymetrowych szponów i futra, w kombinacji z prawie ludzkim kształtem stopy. Po chwili pojawił się również sporządzony przez policyjnego rysownika portret pamięciowy diabłów. Przykładowy nieczysty miał około dwóch metrów wysokości, był kościsty, trupio blady, pokryty skołtunioną sierścią i miał wielkie, błoniaste skrzydła. Posiadał również długi ogon zakończony widełkami oraz parę kozich rogów na głowie. Jego łapy zdobiły przerażające pazury, z których ściekała krew, należąca zapewne do niewiniątek.

Mag westchnął ciężko. Ten rysopis, po odjęciu kilku diabelskich szczegółów, pasował do harpii, co oznaczało, że sytuacja zrobiła się faktycznie poważna. Ostatnią informacją na temat wypadku w zoo były zdjęcia ze zorganizowanej naprędce demonstracji pod bramą ogrodu. Przedstawiciele grupy Nowy Dzień wykrzykiwali coś, stojąc z transparentami głoszącymi „UFO odwiedza Warszawę”, „Obcy wskazują nam drogę” oraz „Sposób na głód na ziemi”.

„Tak więc – pomyślał Artezjan, poprawiając się w fotelu – Warszawiacy mają teraz pełen wgląd w sytuację. Wiedzą już, że UFO przyleciało z nieba i zeżarło hipopotama, zapewne jako przesłanie dla ludzkości. Potem okazało się, że obcy to diabły i boją się imienia bożego. Tylko dlatego nie zeżarli pobożnego stróża. Na węża! Czy ja muszę to

wszystko znosić? Smok? Zamieszanie z czujnikami? Plaga jednoroźców? A teraz te diabelskie futrzaki? Niech no tylko Sól się tutaj pokaże. Tym razem harpie muszą ponieść karę. Trzeba znać konsekwencje swoich czynów, a raczej wyczynów. Oczywiście, jeżeli Sól raczy się pojawić”.

Faktycznie, Harpie wykazywały dla syndykatu kompletny brak szacunku. Ignorowały wszelkie prośby, wszelkie zakazy i zalecenia. Nie pojawiały się na zebraniach i odmawiały magom prawa do wizytacji swoich terenów. Robiły, co im się podobało i kiedy im się podobało. A ich fantazja w zakresie skandalicznych wyczynów była wręcz nieograniczona. Nie znaczyło to jednak, że zawsze miały z syndykatem na pieńku. Większość zatargów między organizacjami była efektem skrajnie odmiennego podejścia do życia obu grup. Logiczny i śmiertelnie poważny Syndykat oraz wiecznie żądne rozrywek i nowych wrażeń futrzaki nie byli w stanie zrozumieć się nawzajem. Zazwyczaj jednak wspólny wysiłek dyplomatów obu stron przynosił oczekiwane efekty w postaci zawieszenia broni. Co nie znaczy, że od czasu do czasu nie zdarzały się celowe konflikty. Przykładowo, na wielki bankiet autorów systemu obronnego w Mariotcie syndykat futrzaków nie zaprosił.

Uczył to celowo, ponieważ harpie w przypiływie złego nastroju potrafiły zrujnować w pięć minut przyjęcie przygotowywane przez pięć miesięcy. W zamian za tak nieuprzejme traktowanie harpie opracowały genialny w swojej złośliwości plan. Grasowały na placu Zamkowym przez całą noc i po cichutku, pomalutku, wprowadzały go w życie. Nikt, nawet patrol straży miejskiej regularnie odwiedzający ten rewir, nie zorientował się, że coś jest nie w porządku. I kiedy Warszawiacy rano wylegli ze swoich mieszkań, aby udać się do pracy, ujrzeli, jak król Zygmunt III Waza, ze spuszczoneymi spodniami, trzymając się oburącz

za swój organ, sika z kolumny prosto na ich głowy. Dla wielu statecznych obywateli mieszkających w Warszawie od lat ten widok był nie lada szokiem. Telefony w „Kurierze Warszawskim” i w redakcjach stołecznych gazet rozdzwoniły się na alarm. Oto zbezczeszczono pomnik stolicy. Czym kierowali się wandalę, niszcząc wspólną własność wszystkich obywateli?! Dlaczego nikt nie powstrzymał ich w porę? Jak im się udało to zorganizować i przede wszystkim, jak oni u diabła, podmienili posąg na inny? Mniej więcej takie pytania zadawali dziennikarze z warszawskich gazet.

Administracja miasta była oburzona. Naczelną organizatorka życia obywateli w Warszawie zwróciła się z eufemistycznie uprzejmym zapytaniem do syndykatu, czy byłby tak miły i przywrócił Jego Wysokości właściwą pozycję na kolumnie i na przyszłość starał się zapobiegać takim wydarzeniom. Artezjan wysyczał w równie uprzejmej odpowiedzi, że oczywiście, zaraz wyda odpowiednie polecenia. Po czym okazało się, że żaden z jego świetnie wyszkolonych podwładnych nie jest w stanie naruszyć czaru rzuconego przez harpie. Pracując w pocie czoła i przez całą noc, zdołały one bowiem wytworzyć zaklęcie wiążące pomnik w takiej formie na wieki wieków. Zdjęcie króla z jego miejsca i ustawienie nowego również nie było możliwe ze względu czar przytwierdzający go do postumentu. Po trzydziestu godzinach wytężonej pracy Artezjan poddał się wreszcie i poprosił o usunięcie czaru jego autorów.

Negocjacje trwały kolejne dwadzieścia godzin, podczas których Soli udało się doprowadzić szefa magów nieomal do szału. Nadludzkim wysiłkiem zapanował jednak nad swoim gniewem i zgodził się przeprosić Czarne Skrzydła za to, że nie zaproszono ich na bal. Nocą na placu Zamkowym doszło

więc do spotkania, na które przyszły wszystkie harpie z miasta i kilka innych istot obserwujących całą scenę z ukrycia. Widok szefa syndykatu przepraszającego futrzaki był wydarzeniem godnym najwyższej uwagi i niezmiernie rzadko spotykanym. Taka okazja mogła się już nie powtórzyć. „I nie powtórzy się za mojej kadencji...” – pomyślał Artezjan. Przeproszone harpie pomruczały z zadowoleniem i rozstały się, dając przejście swojej duchowej przewodniczce. Czosnek – czarna harpia z białą plamą na uchu, awatara Wielkiej Opiekunki – pełnym dostojeństwa krokiem podeszła do kolumny. Skinęła głową Artezjanowi. Uniosła rękę i pstryknęła palcami, a Zygmunt wypuścił z rąk swoje przyrodzenie, podciągnął spodnie i przyjął zwykłą dla siebie pozycję.

Od tego upokarzającego doświadczenia magowie unikali formalnych konfliktów z Fruwaczami, zadowolając się jedynie pospolitym i nieoficjalnym robieniem sobie na złość. Zdarzyło się na przykład, że zbieracze Czarnych Skrzydeł oskubali co do piórka wszystkie łązienkowskie pawie. Harpie wytłumaczyły, że w ich grupie właśnie przyszedł na świat potomek przewodnika i koniecznie potrzebowały specjalnej wyściółki do nory dla rodzącej matki. Z szacunku dla Chili Artezjan nie wyciągnął konsekwencji z pierzastej afery. Zresztą, kto by się wtedy mógł gniewać, skoro harpie miały takie skruszone miny. Innym razem klient jednego z miejskich sex shopów pociągnął przypadkiem za ogon śpiącego na dachu sklepu Imbira, najwyraźniej biorąc tę ozdobę harpii za fantazyjny sznur od dzwonka. Następnego dnia okazało się, że zawartość sklepowego magazynu została starannie rozwieszona na liściach jedynej w mieście palmy. Na tę sprawę syndykat i administracja zgodnie i z pewnym rozbawieniem przymknęły oko. Jednak tym razem sprawa była poważniejsza...

* * *

Jerzy spędził całkowicie spokojną noc, bez żadnych snów ani wizji. Po wydarzeniach wczorajszego dnia spodziewał się co najmniej dokuczliwych koszmarów albo nawet totalnego odlotu. Był gotowy po męczącej nocy pójść do psychiatry. Miałyby doskonały pretekst, tymczasem sen zawiódł go na całej linii. To była pospolita noc, jakich spędził już wiele w swoim szarym życiu. I kiedy rano wstał, nie czuł żadnej różnicy między tym porankiem a jakimkolwiek innym do tej pory. Obudził się zmęczony i niewyspany, jak zwykle. Jak co dzień począpał z zamkniętymi oczami do łazienki umyć zęby. Kiedy już odświeżył się i ogolił poszedł do kuchni, i po dłuższym namyśle zamiast codziennej kawy zrobił sobie zieloną herbatę. Była niesmaczna i pachniała sianem. Uznał, że jeśli dziś znowu będzie miał halucynacje, pójdzie do lekarza, zamiast pić to paskudztwo. Spakował swój neseser, włożył do niego dokumenty, które zabrał wczoraj z pracy, i kanapkę z jajkiem na drugie śniadanie. Wrzucił trochę drobnych na wszelki wypadek, gdyby jednak potrzebował kawy z automatu. Ubrał się najcieplej, jak mógł, wziął zapasową parę rękawiczek z szafy i wyruszył na stację. Było jeszcze ciemno i Jerzy, patrząc na nocne niebo, przez chwilę zwątpił w słońce. „Bo przecież – pomyślał – kiedy wstaję, słońca nie ma, a kiedy wracam z pracy do domu, też go nie widać. Czy ono w ogóle istnieje?”

Tak rozmawiając sam ze sobą, szedł na swój pociąg w mroźny zimowy poranek. Pogoda była taka jak zwykle. Gwiazdy na niebie, śnieg i gołoledź na chodnikach. Mróz trzaskający i ogólnie przyjemniej byłoby zostać w łóżku i spać przynajmniej aż do wschodu słońca.

Zanim docząpał na stację, zmarzły mu stopy i ręce. Zastanawiał się przez moment, jak długo trzeba marznąć,

aby palce poczerniały i odpadły. Potem odpędził od siebie tę natrętną myśl i ustawił się na peronie w miejscu, gdzie według niego powinny znaleźć się drzwi wagonu. Stała tam już spora gromadka innych, równie zaspanych i zmarzniętych ludzi. Pilnowali, aby przypadkiem nikt ich nie ubiegł w wyścigu do siedzeń, kiedy tylko pojawi się pociąg. Zdołał się jakoś wepchnąć między nich, kiedy nadjechał osobowy do Warszawy Wschodniej. Miał tylko dwie jednostki, jak to zwykle zimą.

„Pewnie zagęszczają pasażerów, żeby zaoszczędzić na ogrzewaniu” – pomyślał Jerzy.

Wsiadając, rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu jakiejś wielkiej i paskudnej baby podobnej do tej z wczorajszego dnia. Nie mógł wiedzieć, że babsztyłowi bełkotanie jeszcze nie ustąpiło i że przebywa aktualnie w szpitalu psychiatrycznym na Sobieskiego. Kiedy już wsiadł do pociągu, a raczej został tam wepchnięty przez tłumek spieszący się, by usiąść, pożałował natychmiast, że sam nie jest taką paskudną grubą babą. „Takie to zawsze mają miejsca siedzące” – pomyślał, ustawiając się pod ścianą ubikacji. Było to miejsce szczególnie nieprzyjemne, nie tylko ze względu na panujący smrodek, ale i na częstotliwość, z jaką musiał ustępować komuś z drogi do tego przybytku.

Przez całą drogę nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Czuł się wręcz zawiedziony. Przecież wczoraj było tak niesamowicie. Smok, jednorożec i wojowniczką na skrzydlatym koniu. Natomiast dzisiaj nie dzieje się kompletnie nic. Nawet Renoma nie pojawiła się, by sprawdzać bilety i łapać gapowiczów.

Ta sytuacja zmieniła się, kiedy tylko dojechał do Warszawy. Wsiadł na Dworcu Śródmieście, na środkowym peronie. Rozejrzał się, ale nie zobaczył niczego poza

bezdolnymi i śpieszącymi się do pracy ludźmi. Jednak kiedy wchodził już na schody prowadzące do wyjścia z dworca, rzuciła mu się w oczy jakaś elegancka pani z wytworną torebką. Jerzy nie znał się na modzie, ale od razu uznał, że musiał być to jej ostatni krzyk. „Albo raczej wrzask” – dodał w duchu. – „Jak można pokazać się na ulicy z czymś takim.

Faktycznie. Torebka była wściekle różowa, zmontowana z kawałków zamszu i przejrzystego plastiku, przez które można było jak przez miniaturowe okienka dojrzeć jej zawartość. Przyjrzał się dokładnie. Zauważył puder, szminkę, grzebień, jakieś dokumenty i paczkę truskawkowych prezerwatyw. I wtedy rzemyk, na którym wisiała torebka, zniecka się przerwał. Torebka znalazła się na ziemi, a cała jej zawartość rozsypała się po peronie. Między przedmiotami, które wypadły, znajdowały się również wzmiankowane prezerwatywy.

W tym momencie Jerzy zobaczył jednoroźca, który wywąchiwał w najlepsze zapach truskawek, nie zwracając zupełnie uwagi na właścicielkę torebki rozpaczliwie zbierającą rozsypane przedmioty.

– O Boże, spóźnię się, spóźnię! – piszczała, podnosząc z ziemi szminkę i puder. Stała o pół metra od jednoroźca, a jednak nie widziała go. W pewnym momencie podniosła również obiekt zainteresowania zwierzęcia i szybko, aczkolwiek dyskretnie, ukryła go w kieszeni. Jednorożec wyglądał na niezadowolonego. Jerzy podszedł i na pocieszenie podrapał go za lewym uchem.

– Wszystkim robisz takie numery? – zapytał.

Zwierzak spojrzał na niego, jakby nie wiedział, o co chodzi. W tym samym momencie Jerzy poczuł, jak coś trąca go w plecy. Obejrzał się i zobaczył stojącego za nim

drugiego jednoroźca. Wyglądał identycznie jak pierwszy. Jerzy przyjrzał się obu bardzo dokładnie.

- No, to jest was więcej... - westchnął. - Nie mam dzisiaj niczego, co by was zainteresowało.

Jednoroźce wyglądały na rozczarowane. Jerzy nie był w stanie sprecyzować tego, co dokładnie na ich pyskach pozwoliło mu orientować się w ich nastroju. Praktycznie nie zmieniały wyrazu. Zresztą, jak mogłyby go zmieniać? Dla porządku, żeby było sprawiedliwie, podrapał za uchem również drugiego jednoroźca. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że kiedy to robi, dla innych ludzi musi to wyglądać, jak gdyby głaskał powietrze. Uśmiechnął się sam do siebie. Nareszcie wyróżnia się czymś z szarego tłumu. Oni nie widzą jednoroźców i na pewno nigdy nie zobaczyli na własne oczy prawdziwego smoka. Dzisiaj już nie miał wątpliwości co do tego, że był prawdziwy. Wielka krwiożercza bestia, którą znad Pałacu przegnała piękna wojowniczką na latającym koniu. Zwykli ludzie musieli kupować bilety do kina, jeśli chcieli oglądać takie sceny. Poczuli się kimś ważnym, niezwykłym i ta niezwykłość sprawiła, że momentalnie poprawił mu się humor. Do tego stopnia, że poszedł do stojącego na peronie kiosku i kupił jednoroźcom po paczce chusteczek o zapachu mentolu. Jak tylko je otworzył, oba zwierzaki natychmiast pochyliły się nad nimi i z zadowoleniem na pyskach pograżyły się w wężaniu.

Jerzy uśmiechnął się raz jeszcze i udał się w kierunku dworcowego wyjścia. Na dworze zdążyło się już rozjaśnić i chociaż dzień zapowiadał się pochmurny, to czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Rażno pomaszerował w kierunku przejścia podziemnego i kiedy tak szedł, jego uwagę zwrócił hotel Intercontinental. A raczej budynek,

który do tej pory był hotelem Intercontinental, bo teraz wielkie świecące na nim litery głosiły, że jest to **Metatech**.

Wzrok Jerzego ześlizgnął się z napisu i powędrował w dół, ku charakterystycznej dla tego wieżowca przewieszce. Wyglądało to tak, jakby ktoś wielkim nożem wyciął z dołu budynku kawałek w kształcie prostopadłościanu i dla bezpieczeństwa w powstałą dziurę wstawił kolumnę. Patrzący na tę architektoniczną osobliwość mogli odnieść wrażenie, że hotel nie zawala się tylko dzięki tej jednej podporze. Niemniej jednak dzisiaj zamiast pustego miejsca Jerzy zobaczył coś, co przyprawiło go o chwilową utratę tchu.

Wolna przestrzeń odgrodzona była grubymi szybami i wypełniona wodą, w której majestatycznie pływały jakieś ogromne kolorowe ryby. Woda miała przyjemny i delikatny odcień błękitu, a całość podświetlały silne lampy. Gigantyczne akwarium wyglądało niesamowicie na tle szarego, zasnutego chmurami nieba. Przykuwało uwagę o wiele skuteczniej niż reklamowe billboardy, którymi upstrzone były inne budynki. Olbrzymia reklama wisząca na hotelu Forum sprawiała przy nim wrażenie tandetnego nudziarstwa. Przez chwilę Jerzy zapragnął wsiąść do innego niż zwykle tramwaju, podjechać kawałek, wejść do wnętrza budynku i obejrzeć akwarium z bliska. Już miał zrealizować swój plan, kiedy przyszło mu do głowy coś, nad czym do tej pory się nie zastanawiał. Inni ludzie nie widzą pewnych rzeczy, a on tak. Możliwe, że smoki i jednorożce po prostu są niewidzialne dla przeciętnego obywatela, ale są zjawiskiem naturalnym. Jak... jak... jak aura. Jerzy czytał kiedyś artykuł w jakimś pożyczonym od Teresy tygodniku. Wynikało z niego, że jedni widzą aurę, a inni nie. Może z mitycznymi stworzeniami jest podobnie. Może on po prostu, w przeciwieństwie do reszty społeczeństwa, jest

w stanie je zauważyć. Ale z wojowniczką na latającym koniu, akwarium i neonem sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Raczej nie należą standardowych działań przyrody. No i jaki miałyby sens istnienie neonu, którego nikt nie widzi? A ryby? Przecież nie pojawiły się tam bez celu? Z pewnością były swego rodzaju ozdobą, co znaczyło, że ktoś oprócz niego musi je widzieć. Na dodatek dziewczyna na pegazie walcząca ze smokiem też nie wzięła się znikąd. Skoro widzi smoki, to jednorożce pewnie też. I te ukryte napisy. I wodę w wieżowcu.

Rozmyślenia przerwał mu tęgi pan, który mijając Jerzego, zahaczył go swoim neseserem. Burknął coś na temat zawalidrogi i ludzi śpieszących się do pracy i poszedł swoją drogą. Jerzy już miał wrócić do rozważania tematu, kiedy słowo „praca” zdołało się wreszcie przebić do jego świadomości. Spojrzał na zegarek i nogi się pod nim ugięły. Zostało mu tylko pół godziny na dostanie się do swojej firmy.

- Szef mnie zabije - jęknął i puścił się biegiem na przystanek.

Tramwaj złośliwie uciekł Jerzemu sprzed nosa. Typowa strategia komunikacji miejskiej, stosowana wobec śpieszących się do pracy. Następny, który podjechał, był wypełniony ludzką masą niczym konserwa sardynkami. Panował w nim taki tłok, że Jerzemu ledwo udało się wcisnąć się do środka. Utkwił w szczelinie pomiędzy pomarszczonym kombatantem, a wracającym z domu studentem. Starszy pan miał wyjątkowo twarde łokcie, a student wielki i kanciasty plecak. Stelaż plecaka wbijał się stłamszonemu Jerzemu pod żebra z prawej strony, a łokieć staruszka prosto w splot słoneczny. Podróż była prawdziwą katorgą. Odetchnął więc z nieskrywaną ulgą, kiedy wreszcie dotarł do swojego przystanku i wydostał się

z tramwajowego piekielka. Czuł się słabo, był podduszony i posiniaczony. Mimo to ruszył biegiem w kierunku biura i po chwili zdyszany dopadł jego drzwi.

Tam natknął się na pana Kowalskiego, z urzędu dyrektora firmy, a z powołania okrutnego i bezlitosnego poganiacza niewolników. Czekał przy wejściu, mrużąc kaprawe oczka, i zgrzytał zębami. Po czym, nie odzywając się nawet, wskazał na zegar, wyciągnął z kieszeni swój czarny notes i skrobiąc tępym ołówkiem po papierze, zapisał w nim coś. Jerzy struchlał. Przypomniawszy sobie, co inni mówili o tym potwornym notesie. Podobno szef zapisywał w nim wszystkie przewinienia swoich podwładnych, od spóźnień do (o zgrozo) wykorzystania do prywatnych celów służbowego telefonu. Wszyscy wiedzieli, że znalezienie swojego nazwiska w tym notesie nie wróżyło niczego dobrego. Osoby, które przekroczyły dopuszczalną (nieznaną nikomu poza szefem) liczbę karnych notek, żegnały się z firmą raz na zawsze.

Jerzy popatrzył na zegar, wskazywał dziewiątą pięć. A tak niewiele brakowało, aby zdążył. Zdawał sobie sprawę z tego, że to nie pierwsza notka, jaką zarobił. Balansował na granicy, jeszcze jedno kilka minut może go kosztować posadę.

Kowalski uśmiechnął się krzywo i bez słowa wrócił do swojego gabinetu.

„Nie jest dobrze” – pomyślał Jerzy. „Lepiej zabiorę się do pracy”.

Niestety, pomimo najszczerzych chęci, nie mógł się skupić na rachunkach. Jego głowę bez reszty zaprzętała neon i wielkie, tropikalne ryby w wieżowcu. Zastanawiając się intensywnie nad tą sprawą, doszedł do szokującego wniosku. Nikt nie inwestuje w niewidzialne dla ludzi ozdoby

i reklamy. Musi więc istnieć spora grupa osób, które je widzą. Do których są skierowane.

- Pytanie, ile ich może być? - szepnął sam do siebie.

- Jak to ile? Przecież mówiłam, że trzydzieści procent od przychodu! - zdenerwowała się Halina. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Co? Ależ słucham, słucham. Zamyśliłem się tylko. Już będę uważał. Słowo... - dodał, widząc na jej twarzy niedowierzenie.

- Czy ty się przypadkiem nie zakochałeś? - Halina przyjrzała się jego źrenicom niczym doświadczony irydolog i pokręciła głową ze zdumienia. - Nie... nie zakochałeś się. To może jesteś chory? Mierzyłeś gorączkę?

- Tak, wczoraj wieczorem. - Zmierzył ją, aby upewnić się, czy nie majaczy. - Miałem trzydzieści sześć i sześć.

- To ja już nic nie wiem - oburzyła się Halina. - Ale skup się wreszcie, bo jak cię stary dorwie, to możesz szukać sobie innej roboty.

Westchnął i pochylił się nad arkuszem kalkulacyjnym. Doskonale wiedział, że apodyktyczny dyrektor z dziką rozkoszą wywała ludzi na zbity pysk.

„To bez sensu” - pomyślał. „Ja tu pieprzę się z tym cholernym arkuszem, a na świecie dzieje się tyle ciekawych rzeczy! Co mnie tu trzyma?” - Ostatnie pytanie wypowiedział na głos.

- Nic, proszę pana, nic pana tu nie zatrzymuje! - zabrzmiał głos dyrektora Kowalskiego. - Jeżeli nie odpowiada panu zajmowane stanowisko, to chętnie przydzielimy je innej osobie, która należycie je doceni.

- Nie, nie! Myślałem o czymś innym. - Jerzy zaplątał się w zeznaniach. - Chciałem dziś odwiedzić się w szpitalu. To znaczy nie siebie, tylko ciotkę. Potrącił mnie, to znaczy ją, samochód. I... i...- Zdał sobie sprawę z tego, jakie wygaduje

głupstwa, poddał się więc i dodał tylko: - Przepraszam pana. To się już więcej nie powtórzy.

- Jasne! To dlatego, że jeżeli się powtórzy, zwolnię pana. Żeby było jasne! Nie będę tolerował obniżania wydajności pracy mojego przedsiębiorstwa. Zrozumiano?!

- Tak proszę pana. - Wobec złości szefa Jerzy poczuł się bezsilny. Dyrektor przypominał mu na każdym kroku, że może go wyrzucić. Nie pozwalał wstać od biurka, bo to obniża wydajność. Nie dawał przerwy na kanapkę, bo to nieopłacalne, krzyczał i obrażał wszystkich. Potrafił swoim zachowaniem doprowadzić do płaczu sekretarkę. Najgorsze, że nikt (nie wyłączając samego Jerzego) nie miał odwagi mu się przeciwstawić. Wszystkim za bardzo zależało na tej pracy.

Tymczasem zadowolony z siebie tyran powrócił do swojego nowocześnie urządzonego, luksusowego gabinetu i głośno zamknął za sobą drzwi.

Jerzy został sam przy swoim biurku. Wiercił się, zdenerwowany, na niewygodnym krześle i czuł, że gdyby tylko ktoś dał mu broń do ręki, z chęcią wprowadziłby tu komunizm. Ciemżyciela na gilotynę i wolność dla ludu!

„Łatwo mówić!” - pomyślał. „Drań ma władzę i wydaje mu się, że mu wszystko wolno! Powinienem coś zrobić, to zwykły mobbing! Już ja powiem temu szczerowi! Ech... nic mu nie powiem, bo mnie wyleje. Że też opatrność nie robi czegoś w tej sprawie”. - Westchnął ciężko i zajął się pracą. Bezsilna złość spowodowała, że poczuł się głodny. Niestety, przerwy na drugie śniadanie nie przewidziano w planach. Stukał więc palcami w klawiaturę, czując jak jego żołądek domaga się jedzenia. Już prawie widział oczyma duszy te wrzody, których zaraz dostanie, i niemal słyszał bulgot kwasów trawiennych rzucających się do ataku na śluzówkę żołądka. Od myślenia o tym zemdliło go. Ta kropla gorzkości

przepełniła kielich. Wstał, rzucił Halinie „idę coś zjeść” i zdecydowanym krokiem ruszył do bufetu, rzucając po drodze pełne nienawiści spojrzenie w kierunku nory Kowalskiego.

* * *

Tymczasem...

Euzebiusz Kowalski, dyrektor firmy Interco, siedział za swoim nowoczesnym biurkiem ze szklanym blatem, na wygodnym obrotowym krześle i, popijając koniak, nucił pod nosem „szła dziewczeczka do laseczka”. Był zadowolony ze swojej dzisiejszej pracy. Zdyscyplinował podwładnych, dogadał się z pewnym przedsiębiorstwem w sprawie rozliczenia cel, wręczył jedną łapówkę, wziął dwie inne i właśnie dojrzał do przerwy na cygaro. Był bowiem z natury snobem i zwykłe papierosy nie wydawały mu się dość oryginalne. Ponadto, w celu uzyskania unikalnego efektu, sam komponował swoje stroje, używając oczywiście części składowych najdroższych firm. Niestety, nie pytał przy tym o zdanie pracowników, a szkoda. Z miejsca poinformowaliby go, że wygląda jak szczyt kiczu.

Ponieważ jednak szczyt kiczu to jeszcze nie szczyt wszystkiego, Kowalski do powalającego kombinacją krojów i kolorów stroju dołożył rudy tupecik. Tkwił on na czubku jego łysiejącej głowy jak ostatnia walcząca reduta pośród armii Moskali. I właśnie po tym tupeciku podrapał się ze zdziwienia dyrektor Euzebiusz, kiedy usłyszał podejrzaną hałas. Rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że żaden ze znajdujących się w nim sprzętów nie był zdolny do wydawania takiego syku. Jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że do syczenia dołączył przypominający czajnik gwizd. Jako osoba na kierowniczym stanowisku Kowalski rzadko się czemukolwiek dziwił. Zawsze uważał się za człowieka

inteligentnego i odczytanego, z rodzaju tych, których nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi.

Prawdę mówiąc, próba zakłócenia równowagi jego umysłu miała takie same szanse powodzenia jak ręczna próba wykolejenia lokomotywy parowej. Działo się tak dzięki sporej dawce ignorancji, która osłaniała jego myślniczym tytanowa tarcza. Tym razem jednak, czy to w efekcie nadmiaru koniaku, czy raczej ogólnego przemęczenia, pozwolił sobie na okazanie zainteresowania.

Wstał więc i podreptał do okna, wydało mu się bowiem, że dziwne dźwięki dochodzą z tej właśnie strony. Miał rację, im bliżej podchodził, tym silniejsze było gwizdanie. Po chwili namysłu Euzebiusz uznał, że gdzieś na zewnątrz pracuje ekipa remontująca elewację lub myjąca okna. Postanowił wychylić się i powiedzieć im kilka słów na temat przeszkadzania ciężko pracującemu człowiekowi. Otworzył okno i wystawił głowę na dwór. Jednak nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnej ekipy, za to kilka metrów przed swoją twarzą zobaczył coś innego. Coś, co bardzo go zaniepokoiło. Zawsze był zwolennikiem racjonalnych wyjaśnień. Głęboko wierzył, że każde dziwactwo na tej ziemi ma swoje naukowe uzasadnienie. W tej chwili rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie jakikolwiek fakt, który usprawiedliwiłaby obecność miniaturowego tornada tuż przed oknami jego gabinetu. Jednak pomimo usilnych starań czuł pustkę w głowie.

Tymczasem lej powietrza zbliżał się do niego pomalutku, wyglądało to tak, jakby się skradał. Miał około metra wysokości i jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy u podstawy. Wirował z olbrzymią prędkością, sycząc i gwizdząc niczym rozwścieczony czajnik. Kiedy znalazł się w niebezpiecznie bliskiej odległości od dyrektorskiego nosa, Kowalski zrobił dwa kroki w tył. Trąba powietrzna

cały czas się zbliżała. Właśnie wciągnęła i poszarpała na strzępy firanki. Potem zawisała w otwartym oknie, jakby zastanawiała się, co ma dalej robić. Dla dyrektora nadeszły ciężkie chwile. Nie mógł się już dalej cofnąć, bo na jego drodze stanęło biurko. W tym momencie lej powietrzny najwyraźniej zdecydował, co dalej, bo rzucił się błyskawicznie do przodu i wpadł do gabinetu, zrywając po drodze tupecik z głowy jego przerażonego właściciela. Następnie wessał jedwabny krawat, ubranie Kowalskiego pozbawił wszelkich guzików i zaczął rosnąć. Gdy osiągnął wysokość dwa razy większą od wyjściowej, na poważnie zabrał się do demolowania pomieszczenia. Rycząc niczym potworny odkurzacz, rzucał się dookoła i pochłaniał coraz to nowe obiekty. Kiedy ogarniętemu paniką Kowalskiemu wydało się, że nic więcej nie zdoła zmieścić się w leju, tornado zaczęło wypluwać połamane przedmioty. Czyniło to z niesamowitą wręcz szybkością.

Strzępy ważnych umów, PIT-ów, podań i formularzy tańczyły w powietrzu niczym śnieżna kurzawa. Kawałki potłuczonych bibelotów, spinacze do papieru, zszywki, szpilki i pinezki wystrzeliwały z paszczy trąby niczym kule karabinowe. Dyrektor z wrzaskiem rozpląszczył się na zmieni i wczołgał się pod cudem ocalałe biurko. Wtedy z wnętrzości potwornego wiru wyskoczył z wizgiem wielki segregator i z ogromną siłą rąbnął w szklany blat. Odłamki szkła posypały się na wszystkie strony. Część z nich została natychmiast wciągnięta przez tornado, zapewne jako zapas amunicji, lecz jeden z większych i cięższych walnął Kowalskiego prosto w lewe ucho. Ten wrzasnął jak zarzynane prosię i skoczył do drzwi. Nie była to mądra decyzja. Kiedy tylko podniósł się z podłogi, w jego stronę natychmiast poleciały szklane pociski. Rzucił się znowu na

ziemię i jęcząc głośno, zwinął się w kłębek. Dookoła niego zaczynała się rozlewać czerwona kałuża.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i do środka wpadli wystraszeni pracownicy. Wśród nich znalazł się również Jerzy, który najwyraźniej wracał właśnie z bufetu. W jednej ręce trzymał kanapkę, a w drugiej ściskał kubek z kawą. Tornado stanęło nagle w miejscu, jakby zareagowało na wezwanie niewidzialnej siły. Większość unoszących się w powietrzu przedmiotów opadła z trzaskiem na ziemię. Potem zapanowała idealna cisza. Tornado wirowało teraz bezgłośnie pośrodku gabinetu. Również zszokowany personel biura tkwił bez ruchu w otwartych drzwiach. Wyglądało na to, że obie strony są równie zaskoczone. Po chwili jednak lej poruszył się i podpłynął cichutko w stronę Jerzego. Ten otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Wtedy niesamowite zjawisko atmosferyczne uczyniło coś, co zadziwiło wszystkich. Zawisło na wysokości twarzy Jerzego i oddało mu coś w rodzaju pokłonu. Potem powróciło na swoje miejsce i zanim ktokolwiek się zorientował, eksplodowało.

Pokój zalała fontanna światła i dał się słyszeć głośny huk. Na wszystkie strony posypały się fragmenty zniszczonych przedmiotów. Jedne wbiły się w ściany i sufit, inne posiekały dywan, kilka solidnie przyłożyło dyrektorowi Kowalskiemu. Jednak ani jeden odłamek nie poleciał w kierunku stojącego w drzwiach Jerzego i pozostałych pracowników. Wystraszeni i ogłuszeni, ale nietknięci, stali w wejściu, przecierając oczy. Wokół znowu było cicho, a trąba gdzieś znikła. Przed nimi roztaczał się krajobraz po bitwie. Dosłownie wszystko w gabinecie było zdemolowane. Nie było ani jednej rzeczy, która pozostałaby na swoim miejscu, ani jednego nieuszkodzonego obiektu. Dywan był

częściowo zwinięty, obsypany szklanym pyłem, spinacze i pinezki powbijane w ściany. Szyby w oknach wybite. Pośrodku tego morza chaosu leżał, skulony na podłodze, ich szef. Jęczał coraz głośniej, a wokół niego zbierała się krew. Najwyraźniej sporo z fruwających obiektów trafiło go. Jednak nikt z pracowników nie pośpieszył mu na pomoc, wszyscy byli w kompletnym szoku. Nie byli w stanie nawet się odezwać. Halina stała blada, ściskając w rękę zszywacz do papieru, Jerzy poruszał ustami jak ryba łapiąca powietrze. Pani Małgosia strzepnęła z ramienia coś, co odkleiło się od ściany i spadło na jej elegancki żakiet. Spojrzała na to i bez słowa osunęła się na ziemię, a z jej omdlałej dłoni wysunęło się ucho.

W tym momencie Jerzy odzyskał panowanie nad sobą, przekroczył ciało sekretarki i wszedł do gabinetu. Odstawił kubek i kanapkę na parapet, po czym wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer sto dwanaście.

Po niecałych dwudziestu minutach ratownicy medyczni załadowali Euzebiusza Kowalskiego do ambulansu. Lekarz, który przyjechał z nimi, rozmawiał właśnie z Jerzym.

- Gratuluję panu przytomności umysłu! - wykrzyknął, klepiąc go po plecach. - Był pan jedyną osobą w całym biurze, która nie straciła głowy. Ułatwił nam pan zadanie.

- Ale naprawdę nie ma o czym mówić - wybąkał Jerzy, czerwieniąc się jak burak. - Nie zrobiłem niczego specjalnego.

- Sam pan sobie nie zdaje sprawy, jak często ludzie wpadają w panikę w podobnych sytuacjach. Tak, panika to niezwykle groźne zjawisko. Uważam, że zachował się pan bardzo odpowiedzialnie i rozsądnie.

- Dziękuję. - Jerzy pokraśniał jeszcze bardziej.

- Nie ma za co. Obaj dobrze wykonaliśmy swoje obowiązki. Pani Małgorzata dostała środek uspokajający. To

dobrze, że zadzwonił pan po jej narzeczonego, ktoś powinien ją odwieźć do domu. W tym stanie nie powinna wychodzić sama. Do jutra poczuje się lepiej.

- A dyrektor? Czy... nic mu nie jest? To znaczy jak długo... Czy to bardzo poważne? - Jerzy miał trudności ze sformułowaniem pytania. Najchętniej zapytałby lekarza, za ile tyran wróci i wyleje go na zbity pysk. Lekarz wydawał się rozumieć, o co chodzi, ponieważ odpowiedział:

- Proszę się nie martwić. Na pewno pana nie wyrzuci. Jest w szoku. Jak tylko dojdzie do siebie, sam będzie się dziwił, jak mógł obarczać pana winą za ten wypadek.

- Nie mam pojęcia, czemu uważa, że to moja wina.

- Możliwe, że po prostu myślał o panu, kiedy to się zaczęło. Głowa do góry. Wszystko będzie dobrze! Jak się dowie, że udzielił mu pan pierwszej pomocy, nabierze dla pana szacunku. Do widzenia!

To mówiąc, wszedł do karetki i odjechał, zabierając zszokowanego i poranionego dyrektora Interćła do szpitala.

* * *

Jerzy opuścił biuro z mętlikiem w głowie. Takie wydarzenia jak dzisiejszy atak tornada nie zdarzały się często. Prawdę mówiąc, wcale się nie zdarzały. Szef w szpitalu, pani Małgosia w szoku, połowa personelu na środkach uspokajających. Niesamowita historia. Na dodatek Kowalski nie wiadomo czemu ubrdał sobie, że to wina Jerzego.

- I jak niby miałem mu wpuścić tornado do pokoju?! Oszalał, ani chybi mnie zwolni - mówił sam do siebie, idąc na przystanek tramwajowy. - Będę musiał zamiatać ulice albo myć szyby na stacji benzynowej.

Nagle usłyszał pisk hamulców. Spojrzał. Tuż przed nim stał pomarańczowy fiat. Kierowca wychylił się przez przednią szybę i wymachiwał pięściami. Rzucił też

wiązanke, od której każdemu nieprzytomnemu pieszemu przechodzącemu na czerwonym powinny zwiędnąć uszy. Zniecierpliwieni kierowcy zablokowanych przez fiacika samochodów zaczęli trąbić i Jerzy czym prędzej uciekł z jezdni. Dalsza droga również nie przebiegała bez zakłóceń: kilka potrąconych osób, zgubienie rękawiczek, poślizgnięcie się na zamarzniętej kałuży.

Kolejnym punktem programu było wejście do tramwaju jadącego zupełnie inną trasą. Od momentu zajęcia miejsca siedzącego Jerzy przestał zwracać uwagę na otoczenie. Całą drogę tkwił pogrążony w myślach. Z zadumy wyrwał go dopiero motorniczy pytający, czy zamierza wysiąść czy też może będzie nocował na pętli. Jerzy zawstydzony wymamrotał tylko ciche „przepraszam” i jak niepyszny opuścił pojazd. Stał po kostki w słonej, śniegowej brei na chodniku i rozejrzał się niepewnie. Nie miał zielonego pojęcia, dokąd dojechał, ponieważ nigdy nie był w tej części miasta. Na przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy właśnie wjeżdżał autobus o znajomym numerze, więc Jerzy, niewiele myśląc, ruszył biegiem w jego kierunku. Kiedy znajdował się na samym środku jezdni, zdał sobie sprawę, że czegoś mu brakuje. Powinien mieć coś w ręku. Wreszcie zrozumiał, o co chodzi.

- Mój neseser! - krzyknął. - Zostawiłem go w autobusie!

Zawrócił na pięcie i już miał pognać z powrotem na pętlę, gdy nagle usłyszał pisk opon hamującego samochodu i poczuł uderzenie. Przekoziołkował nad maską czerwonego auta, a potem twardo wylądował na ziemi. Jego pole widzenia rozbłysło nagle na biało i zgasło zalane falą mroku - stracił przytomność. Kiedy doszedł do siebie, zdał sobie sprawę z dwóch faktów. Po pierwsze - wszystko go bolało, po drugie - słyszał bardzo głośną muzykę. Konkretnie,

jedną z tych ciężkich melodii, którymi dzisiejsza młodzież doprowadzała do szału swoich rodziców.

„Jeśli umarłem i to są chóry aniołów, to wolę nie myśleć, jak brzmiałoby piekło” – przemknęło mu przez myśl, po czym wystękał z wysiłkiem: – Ciszej, proszę.

– Słucham? – odpowiedział mu głos z całą pewnością należący do kobiety. Mówiła głośno, przekrzykując muzykę.
– Jesteś w szoku, ale nic się nie martw, zabiorę cię do szpitala. Wszystko będzie dobrze.

Jerzemu te zapewnienia nie wydały się wcale pocieszające. W tej sytuacji uznał, że powinien otworzyć oczy i rozejrzeć się. Z początku powieki odmawiały mu posłuszeństwa, ale wreszcie nadludzkim wysiłkiem zdołał je jakoś odemknąć. Okazało się, że leży na tylnym siedzeniu samochodu, przykryty jakąś kapą czy derką, a nad nim pochyła się rudowłosa dziewczyna. Zamrugała kilka razy na wszelki wypadek, gdyby miała zamiar rozpląnąć się w powietrzu. Nie tylko nie znikła, ale pochyliła się jeszcze niżej, tak że kilka rudych kosmyków musnęło mu twarz. Poczuł zapach jej perfum, kiedy otulała go kocem.

– Nic ci nie będzie – stwierdziła. – Ale w szpitalu i tak powinni cię obejrzeć. Nie odkrywaj się, bo stracisz ciepło.

Spróbował się poruszyć i jęknął z bólu.

– Nie marudź – odpowiedział ze stoickim spokojem rudzielec, sadowiąc się za kierownicą. – Trzeba było nie wpadać mi pod samochód.

Jerzy przyjrzał się jej. Wyglądała najwyżej na dziewiętnaście lat. Kto dał takiej smarkuli prawo jazdy?

– Trzeba było mnie nie rozjeżdzać... – stęknął.

– Od razu rozjeżdzać! Zahaczyłam cię tylko leciutko. I tak musiałeś się solidnie natrudzić, żeby wpaść mi pod koła. Jestem doskonałym kierowcą – dodała, ruszając z piskiem opon.

- Właśnie czuję...
- To był sarkazm?
- Nie, ironia... Ostrożnie, to boli!
- Zręda...
- Piratka drogowa. Czy możesz ściszyć ten hałas?
- Wcale nie gra tak głośno - zaprotestowała, strząsając włosy z twarzy. - A poza tym to mój ulubiony zespół... ostatnio.
- Auuuu - samochód podskoczył na wybojach
- Wcale cię tak bardzo nie boli.
- Skąd wiesz?! Jesteś mną?
- Bywałam ciężiej ranna.
- A co? Ktoś z twojej rodziny też dostał prawo jazdy?
- Bardzo śmieszne. Jak już dowiozę cię do szpitala, powiem im, żeby dali ci coś na uspokojenie. Od razu poczujesz się lepiej.
- Daj mi lepiej namiary na twojego agenta ubezpieczeniowego.
- Nie trzeba, nie pozwę cię do sądu. Zresztą to wynajęty samochód.
- Dowcipna jesteś... Auuuuuuuu!
- Och, bądź już cicho! Jak nie możesz wytrzymać, to poczekaj - to mówiąc, rudowłosa wyjęła ze schowka apteczkę i rzuciła ją Jerzemu. - Masz, są w niej strzykawki z keferadyną. To środek przeciwbólowy - wyjaśniła.
- Co?! Mam sobie sam zrobić zastrzyk!? - W głosie Jerzego brzmiała autentyczna groza.
- Chyba się nie boisz?
- Żartujesz, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać!
- Zaraz sama ci zrobię - to mówiąc, odwróciła w jego kierunku i wyjęła jedną ze strzykawek. Tymczasem pozbawiony kontroli samochód zaczął zjeżdżać na lewy pas.
- Patrz na drogę!!!

- Nie krzycz tak. Gdzie ci twardzi mężczyźni z dawnych czasów? - westchnęła i wbiła mu igłę w ramię. - No i po krzyku. - Chwyciła kierownicę i jednym ruchem skierowała niesforne auto z powrotem na właściwą drogę.

W momencie kiedy igła wbiła mu się pod skórę, po ciele Jerzego rozeszła się fala ciepła i spokoju. Niczego już nie czuł. Ani bólu, ani złości na smarkulę za kółkiem. Nigdy w życiu nie był aż tak szczęśliwy i odprężony. Zasnął, zanim zdążył zastanowić się, skąd w zwykłej samochodowej apteczce wzięły się tak mocne środki.

Nie niepokojona więcej jego zrządzeniem rudowłosa spokojnie dojechała do szpitala. Zaparkowała przed głównym wejściem i energicznie pomachała w kierunku dwóch sanitariuszy palących papierosy na parkingu. Nie od razu zwrócili na nią uwagę, więc przeraźliwie zagwizdała na palcach. Wtedy podeszli.

- Potrącił go samochód - wyjaśniła, wskazując na nieprzytomnego. - Nie pozwolił wezwać karetki. Zgodził się tylko, żebym ja go tu przywiozła. Jestem jego siostrzenicą - skłamała bez mrugnięcia okiem.

Wzruszyli ramionami i załadowali Jerzego na nosze. Kiedy tylko oddalili się z nim, rudowłosa wsiadła do auta i odjechała. Wiedziała, że obaj zapomną, że ogóle ją widzieli, kiedy tylko czerwony jaguar zniknie im z oczu. Wprowadzili nosze do budynku i zabrali ofiarę wypadku na oddział urazów, gdzie z miejsca wykonano wszelkie niezbędne badania (które, oczywiście, nie wykryły keferadyny w jego krwi). Stwierdzono kilka stłuczeń i zadrapań, nic poważnego. Ponieważ jednak nie budził się, uznano, że jest w szoku. Zostawiono go więc w spokoju na noc, odkładając kłopotliwe pytania do rana.

Tymczasem Jerzy śnił, a w jego śnie rudowłosa dziewczyna na skrzydlatym wierzchowcu galopowała przez

most Poniatowskiego.

Rozdział II

Lód ze złością walnęła pięścią w ścianę, aż posypał się tynk. W miejscu uderzenia powstała spora dziura.

- Czy już nie wolno mi nawet wziąć kąpieli?

Stojący przed nią, ubrany w szary uniform, mag na wszelki wypadek cofnął się o krok. Dzieci Gwiazdy były doskonale w tym, co robią, jednak powszechnie uważano, że ich reakcje są nieco przesadzone. Wolał nie sprawdzać, czy plotki o tym, że Lód ma nierówno pod sufitem, są prawdziwe. Prezes trzymał ją krótko, ale istniało prawdopodobieństwo, że narwana wojowniczką nie potraktuje z równym szacunkiem jego sekretarza kadr.

- Prezes zalecił jak najszybszą reakcję - powiedział, starając się usunąć ze swego głosu cień niepewności.

- Prezes to! Prezes tamto! Tyran nie prezes. Widział na własne oczy, że bydlę miało przecięty przewód cieplny. Wystygnie sam jak nic. Jak będzie miał szczęście, zapadnie w letarg, i wtedy mogę go wam przynieść w zębach, z czerwoną wstążeczką na szyi... a przedtem zdążę się jeszcze wykąpać!

Mag zarumienił się lekko. Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie, nie smoka, ale Lód z czerwoną kokardą. I owiniętą w różowy ręcznik kąpielowy, tak jak w tej chwili. Jego spojrzenie całkiem wbrew woli powędrowało w dół. Dziewczyna najwyraźniej zauważyła jego reakcję, bo przybrała groźną minę i zapytała:

- Nie przysłali cię tu czasem, żebyś mi się przyglądał? Nie? To wracaj do swojego szefa i powiedz mu, że mam zamiar wziąć kąpiel! Za dwadzieścia minut wyruszę szukać legowiska.

Jej rozmówca całkiem stracił rezon i ze zdenerwowania upuścił trzymaną w rękę kartkę z poleceniem od Artezjana. Wylądowała pod nogami Lodu. Schylił się, żeby ją podnieść, i to był błąd. Zdał sobie z tego sprawę w chwili, kiedy dla odmiany spojrzął w górę. Zanim zdążył przeprosić, zobaczył, jak w jej dłoni materializuje się błękitny miecz. Ostrze zawisło o centymetr od jego szyi. Nerwowo przełknął ślinę.

- Masz może problemy z oczyma? - rzuciła złośliwie. - Co i rusz lądują ci w innym miejscu mojej osoby. Wstawaj!

Posłusznie wykonał polecenie i odetchnął z ulgą, kiedy zdematerializowała broń. Pomyślał sobie, że wojowniczką faktycznie jest wariatką. Nie wiedział, jak szef sobie z nią radzi, ale nie chciał nawet próbować. Jednak, jako mag pracujący dla syndykatu, przez lata uczył się osiągania swoich zamierzeń dowolnymi metodami. Zebrał się w sobie i... zrobił nieszczęśliwą minę.

- Jak nie ruszysz natychmiast, prezes jak nic wyleje mnie na zbity pysk.

W tym momencie za jego plecami rozległ się sygnał wywoławczy kontaktu i rozwinął się ekran.

„O wilku mowa” - pomyślała Lód.

„Miłosierdzia” - pomyślał sekretarz i spojrzął na nią błagalnym wzrokiem.

Faktycznie z ekranu przemówił do nich sam szef warszawskiego syndykatu.

- Jakież kłopoty? - zapytał, a w jego głosie czuć było wyraźną kpinę.

Lód uznała, że skurczybyk doskonale wiedział, jak wojowniczką potraktuje gościa z tak idiotycznym poleceniem. Zapewne sekretarz podpadł mu w jakiś sposób i złośliwa bestia specjalnie wysłał go tu na pożarcie. Zrobiło jej się żal biedaka.

- Nie ma żadnych. Właśnie dostałam pańskie ważne polecenie i wybieram się szukać gniazda.

Artezjan jak zwykle uprzejmie sparował atak.

- W takim razie nie chciałbym narzucać swojego zdania, sędzę jednak, że wygodniej byłoby ci w zbroi.

Jego twarz pozostała bez wyrazu, jak gdyby nigdy w życiu nie przyszła mu do głowy żadna złośliwość.

Wojowniczką prychnęła oburzona, ale nie podjęła rękawicy.

- Tak, sir.

Zbroja wraz z zestawem odpowiedniej bielizny zmaterializowała się bezpośrednio na jej ciele. Mag uśmiechnął się z satysfakcją i wyłączył ekran.

- Uffffffffff! - westchnął z ulgą sekretarz.

- Jasna cholera! - zaklęła bez przekonania Lód. - Znowu do roboty.

Rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku otwartej łazienki i wanny z gorącą wodą. Gęsta liliowa piana pachniała lawendą. Na dworze czekało ją zimno i paskudna pogoda. Zebrała się jednak w sobie i ruszyła w kierunku stajni. Poślaniec zmył się równie szybko, jak się pojawił.

W boksie czekał już na nią jej wierzchowiec. Zarżał radośnie na widok swej pani. Potężne kopyta uderzyły o ziemię, wzniecając tuman pyłu.

- Cześć, Sega - rzuciła na powitanie. - Znow robotą.

Sega zadreptał w miejscu, wyraźnie ucieszony perspektywą nowej przejażdżki. Bezcynne siedzenie w zamkniętej stajni, bez możliwości wyjścia i zapolowania, nudziło go i irytowało. Jeżeli tylko okoliczności pozwalały, Lód puszczała go luzem, żeby się wybiegał. Tym razem jednak zleciodawcy uznali, że drapieżny pegaz nie jest najbardziej pożądanym gościem w centrum Warszawy.

Zwłaszcza, że zdarzało mu się czasem zapolować na czyjegoś psa lub kota i spowodować parę wypadków.

Kiedy Lód otworzyła drzwi boksu, Sega szturchnął ją pyskiem na powitanie.

- Ty się może tak nie ciesz. Co? - Lód podrapała go po nosie. - Rozpychasz się i tupiesz, jakbyś to ty był tu szefem.

Parsknął, wypuszczając kłęb pary prosto w jej nos.

- Obrzydliwy jesteś, wiesz? - Poklepała go po purpurowej grzywie. - Zamiast lawendy muszę wachać twój oddech. Wątpliwa przyjemność. Wyłaź! Muszę cię osiodłać.

Olbrzymi rumak posłusznie ustawił się do osiodłania. Lód zakładała ciężką uprząż ręcznie, bez użycia magii. Lubiała to, zresztą Sega też cieszył się, kiedy poświęcała mu więcej uwagi. Przygotowanie do drogi nie zajęło jej wiele czasu.

W momencie kiedy znalazła się w siodle, odetchnęła głęboko. Mimo wszystko lubiała swoją pracę - dreszczyk emocji przed akcją, ściganie parazytów i walkę z potworami. Wojowniczką to więcej niż zawód, nie tylko wielkie pieniądze, ale też i wielka przygoda. Można wiele powiedzieć o Dzieciach Gwiazdy. Można nazwać je narwanymi, zestresowanymi, żyjącymi w wiecznym zagrożeniu, ale nie można powiedzieć, że ich praca jest nudna.

Kiedy kopyta Segi odrywały się od ziemi, Lód nie pamiętała już o straconej kąpieli i złośliwym prezesie. Krzyknęła z radości i wzbiła się ponad miasto. Gdzieś tam ukrywał się smok, którego miała zabić.

* * *

Obezwładniający ból w prawym boku spowodował, że opadł bezsilny na ubabrane krwią legowisko. Prawa łapa, chociaż nie uszkodzona, również promieniowała bólem, tęnym i trudnym do zniesienia. Mała wojowniczka musiała

uszkodzić jakiś biegnący wzdłuż boku nerw. Szacowny jęknął. Nie był w stanie nawet podnieść się i opuścić gniazda, nie mówiąc już o polowaniu czy walce. Gdyby teraz syndykat odnalazł jego kryjówkę, byłby bezbronny jak świeżo wyklute pisklą. Ocalałe oko piekło go nieznośnie. Całe szczęście, że podczas ataku światłem gwiazd miał odwrócony pysk. Dzięki temu nie stracił obu ślepi. To wszystko spowodowało, że poczuł się kaleką. Starym i chorym smokiem, niepasującym zupełnie do dzisiejszych czasów.

Dawniej, kiedy nadlatywał nad miasto, mieszkańcy wpadali w popłoch i sami ofiarowywali mu skarby. Potem dla porządku zrównywał wszystko z ziemią i odlatywał najedzony i bogatszy o górę złota i klejnotów. Teraz nawet najmniejsza wiocha miała lepsze lub gorsze osłony, a na dodatek nikt nie był w stanie go zobaczyć i należycie docenić. To wszystko było winą magów. Rozpanoszyli się na świecie jakby to oni, a nie płomieniści byli pierwsi. Po nich nadeszli ci z TAM. Nie wiadomo, skąd przyszli, ale wkrótce stworzyli swoje własne imperium, które wspólnie z licznymi syndykatami odebrało władzę smokom. Te ohydne, blade i miękkie stworzenia zabrały należne gadom dobra. Szacowny nie mógł znieść myśli o tym, jak piękne, eleganckie i godne uwielbienia stworzenia jak on mogły oddać ziemię ssakom. Niemniej jednak tak właśnie było i musiał się z tym faktem pogodzić. Jego myśli kryły w sobie pytanie - „Czemu obudziłem się z letargu? Czemu teraz?”

Wygiął szyję i obejrzał dokładnie ranę w boku. Wyglądała paskudnie. Długa na około osiem metrów, szpeciła piękną łuskowatą skórę. Wyraźnie widoczny odsłonięty przewód cieplny był uszkodzony. Zakrzepłe tellurium zahamowało wyciek, ale każdy gwałtowny ruch mógł otworzyć rozcięcie. Tę bitwę Szacowny mógł

przyplącić życiem, gdyby tylko wojowniczką trafiła go o grubość włosa wyżej.

Tellumium, czyli płynny przewodnik termiczny, doprowadza życiodajne gorąco do każdej komórki ciała gada. Rozerwanie jednego z takich przewodów oznacza natychmiastowe stygnięcie i w rezultacie śmierć.

Nie miał sobie za złe tej przegranej walki, ale martwiło go coś innego. Wstydził się złej oceny sytuacji. Po pierwszym ataku powinien był wycofać się i wrócić z dokładnym planem działania, a zachował się jak młody, zapalczywy smarkacz. Dał się nabrać na sztuczkę ze słabnącą osłoną. Czując, że zwycięstwo jest bliskie, zdecydował się na walkę. Nie pomyślał, że jego przeciwnik może okazać się wojowniczką TAM.

- Tchórzliwe kundły chowają się za spódnicą Gwiazdy! - ryknął z wściekłości, a potworny ból sprawił, że ryk zamienił się w skrzeczenie. Opadł z sił.

Wiedział, że jest teraz żałosny i bezbronny, ale następnym razem będzie inaczej. Pokaże magom, na co go jeszcze stać. Jeżeli nie może przełamać obrony dziewczyny, to dopnie swego podstępem. Wywabi ją z Warszawy i wtedy zaatakuje Pałac. Rozwali generator osłon w drobny mak i zabawi się w mieście jak za dawnych czasów. A dla tego padalca Artezjana będzie miał specjalną niespodziankę... Oczywiście musi poczekać, aż wyzdrowieje, ale to nic; płomieniści potrafią być cierpliwi. Najważniejsze, żeby do tego czasu nikt go nie znalazł.

* * *

Jerzy leżał w śpiączce w jednym z Warszawskich szpitali i śnił. O moście Poniatowskiego nocą. Szedł przez niego piechotą. Dookoła nie było żywej duszy i czuł się już bardzo zmęczony. Bolały go nogi, nie mógł złapać taksówki, a autobusy też nie kursowały. W pewnym momencie

usłyszał stukot kopyt. Odwrócił się. Za nim stał olbrzymi purpurowy koń, a na nim siedziała ruda smarkula. Ta sama, która potrafiła go samochodem. Wiatr rozwiewał jej włosy, miała na sobie tylko różowy ręcznik do kąpieli i pachniała lawendą. Wyciągnęła do niego rękę i zapytała:

- Podrzucić cię gdzieś?

Nie dowierzał jej zdolnościom jako kierowcy, więc grzecznie odpowiedział:

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Znasz moje imię. Cześć!

Odjechała. Nie pamiętał, jak dotarł do domu, ale następnego dnia obudził się z bólem głowy, ewidentnie kacem po wczorajszej imprezie. Przed oczyma migają mu białe punkciki, tworząc skomplikowane wzory, jak w kalejdoskopie.

Zmęczony, poczłapał do kuchni, żeby napić się maślanki. Kiedy jednak otworzył lodówkę, stwierdził z przerażeniem, że całe jedzenie popsuło się i zamieniło w cuchnącą zieloną masę. Wyglądała na żywą, wzdymała się i opadała w rytm oddechu. Jerzy wzdrygnął się ze wstrętem i zamknął drzwiczki. Wisiała na nich karteczka z napisem „Tak nie musi być, zadzwoń do nas 0700 666 13 44”. Zignorował ją. Postanowił się ubrać i pójść do sklepu po zakupy. Kiedy jednak zajrzał do szafy z ubraniami, wyleciała z niej chmara śmierdzących kurzem owadów. Ku jego rozpaczynie wszystkie ciuchy zostały przez nie przemielone na pył. Kilka spóźnionych białych larw nie zdążyło się przekształcić i odlecieć. Pełzały po dnie garderoby, nucąc, każda na inną melodię, „Tak nie musi być, zadzwoń do nas 0700 666 13 44”. Jerzy złapał się za głowę. Nie miał pojęcia, co teraz na siebie włoży, ale musiał iść do sklepu, bo głowa bolała go coraz bardziej.

Po namyśle zmienił zdanie i zdecydował się wstąpić do apteki, w której nie wymagano ubrań. Wyszedł więc z domu, zabierając ze sobą tylko czapkę. Poprzedniego dnia zostawił ją na wieszaku i mole nie zdążyły jej pożreć. Na przedzie miała wyhaftowany napis „Tak nie musi być”. Kiedy szedł do apteki, zaczął padać śnieg i zrobiło się zimno. Bez płaszcza i swetra trząsał się cały, a wszyscy ludzie dookoła śmiali się, pokazując go palcami.

„Patrzcie! Nie ma spodni!” – krzyczeli. Kiedy dotarł na miejsce, pani magister w okienku odmówiła wydania mu aspiryny, argumentując to dobrem publicznym.

– Jeśli sprzedam panu aspirynę – tłumaczyła – zniszczy pan ziemię i pójdę siedzieć.

W pewnym momencie jej oczy zrobiły się czerwone jak u królika, a na twarz wypełzł uprzejmy uśmiech.

– Ale tak nie musi być – stwierdziła, po czym otrząsnęła się i jak gdyby nigdy nic, ciągnęła, cytując numery ustaw zabraniających sprzedania mu aspiryny.

Załamany Jerzy uznał, że to jakieś totalne wariactwo, być może ćwiczenia antyterrorystyczne albo happening. Tylko co to ma z nim wspólnego?

Wychodząc z nieprzyjaznej apteki, przejrzał się w jej witrynie i zobaczył, że wygląda jak Osama bin Laden, a na klatce piersiowej ma wymalowaną czerwoną farbą tarczę strzelecką. Przeraził się i zaczął biec. Niestety nogi grzęzły mu w śniegu i nie mógł dotrzeć do domu. Czuł, że zaczyna zamarzać, a na dodatek słyszał głosy wołające „Tam jest! Strzelaj”.

Nagle przed nim jak spod ziemi wyrósł chudy, ubrany na czarno człowieczek z kaprawymi oczkami.

– Potrzebujesz pomocy – powiedział. – Tak nie musi być.
– Wyciągnął do niego rękę z wizytówką. Był na niej numer telefonu. Jerzy spojrzał – 0700...

Tego było już za wiele. Zziębnięty, zdenerwowany, z potwornym kacem i wymęczony biegiem zbuntował się i wrzasnął:

- Spierdalaj, skąd przyszedłeś, wredny kurduplu! Nigdzie nie będę dzwonił, do cholery ciężkiej!

W tym momencie człowieczek zniknął w obłoczku śmierdzącego dymu.

Sen się urwał.

* * *

Daleko w dole, pod grubą warstwą śniegowych chmur leżało miasto. Nie musiała go widzieć, wyczuwała wyraźnie jego obecność. Warszawa nie jest jedną z potężnych metropolii, ale dla Lodu jej obraz energetyczny był równie fascynujący jak aury Nowego Jorku czy Paryża. Była już w tylu krajach, widziała tyle miast nocą, że nauczyła się oceniać je nie jako oddzielne twory, ale jako Miasto - gatunek. Miliony ludzi, z których każdy zajmuje się czymś innym. Jedni śpią, inni pracują, jeszcze inni bawią się na imprezach. W każdej sekundzie istnienia takiego tworu zdarzają się szczęścia i rozpacz, zgony i wypadki samochodowe, morderstwa i narodziny. Zmieszane razem stanowią jeden wielki szum.

Nierozsądna istota, która spróbowałaby stanąć pośrodku tego bałaganu i spróbować coś wyczuć, w najlepszym wypadku zarejestrowałaby potworny chaos, a w najgorszym zwariowałaby od natłoku informacji. Właśnie dlatego wojowniczką wzniosła się ponad pułap chmur. Z tej odległości huk kłębiących się energii zamieniał się w jednostajny szum.

Niektórym wydaje się, że aby znaleźć cokolwiek w wielkiej aglomeracji, trzeba puścić zmysły wolno i czekać na coś niezwykłego. Nic bardziej błędnego. To jak liczenie, że dziwnym przypadkiem igła sama wyskoczy ze stogu

siana. W takiej sytuacji Lód wyznaczała sobie zazwyczaj kilka podstawowych pasm energii, w których należy szukać śladów.

Pasma energetyczne przypominają fale radiowe. Można odbierać tylko jedno na raz. Dzielą się na głębokie, niskie i wysokie, a każde z nich składa się oczywiście z wielu pomniejszych. W zakres wysokich wchodzi wszelkie rodzaje wielkocząsteczkowej energii, jak prąd elektryczny. Każdy obywatel, wyposażony w miernik, jest w stanie stwierdzić obecność strumienia elektronów w kablu. Niskie pasma to wszelakiego rodzaju magia, którą mogą rejestrować jedynie posługujące się nią istoty. Głębokie pozostają praktycznie nierejestrowalne dla większości żywych stworzeń, a czujniki odbierające zmiany w tym paśmie są szczytem osiągnięć metatechnologii.

Smocza magia plasowała się na samym dole niskiego pasma. Wojowniczką nie spodziewała się specjalnych problemów z wykryciem śladów działalności gada, nawet jeżeli celowo starał się zmienić swój profil energetyczny. Skoncentrowała się i zaczęła skanowanie niskiego pasma od góry. Wyczuła kolejno energię magów syndykatu, harpii grasujących po Warszawie i kilku innych ras. Ani śladu smoka.

Zeszła niżej i pierwszym, co poczuła, była energia soczewki w budynku syndykatu. Lód prędko przerwała przeszukiwanie. Energia bijąca z budynku przyćmiewała wszystkie inne o podobnej gęstości. Szukanie śladów przy pracującej soczewce przypominało rozglądanie się za słonecznym zajęczkiem w świetle halogenowych reflektorów. Wzięła głęboki wdech i skoncentrowała się jeszcze raz.

* * *

Umieścił czujniki dookoła legowiska, aby dały mu znać o zagrażającym niebezpieczeństwie. Gdyby to wścibskie Dziecko Gwiazdy znalazło go teraz, oznaczałoby to dla niego śmierć. Pewną szansą było zamaskowanie swojej aury, tak aby przypominała coś innego. Jednak na to Szacowny był wciąż za słaby. Jedyne, co mógł zrobić, to rozrzedzić ją na tle, aby nie odróżniała się od energii miasta. Miał nadzieję, że wojowniczką nie ma chęci na spędzenie nocy w pracy i zrezygnuje na dziś. Do jutra Szacowny zdążyłby przygotować się lepiej.

* * *

Wojowniczką skanowała właśnie ostatnie z pasm, które sobie wyznaczyła. Tym razem była pewna, że znajdzie to, czego szuka. I nie myliła się, na samym końcu trafiła na ślad. Delikatny jak smużka dymu na wietrze, rozmywał się i wymykał, ale Lód była ekspertem. Szybko zorientowała się, że bestia, na którą poluje, próbuje się schować w miejskim szumie. „Nie jest głupi” – pomyślała. „Ale mi nie podskoczy. Zaraz cię wyczeseję, bydlaku”.

Uśmiechnęła się. Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś wieczorem zanieś smoczy łeb do syndykatu i odbierze zapłatę, a potem wakacje na Balearach.

- Ech, życie jest piękne! - szepnęła do siebie i ruszyła smoczym śladem.

Jeszcze chwila, a będzie miała dokładny zamiar i wtedy...

Wszystko zawirowało. Ślad wymknął się i zniknął.

- Kurwa! - zakląła Lód i wściekła rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu przyczyny tego bałaganu. Nie stwierdziła niczego, niemniej jednak zaburzenie w paśmie było jak najbardziej realne. Tym razem miała pewność, że nie ma paranoi. Coś spowodowało, że ustabilizowana energia na chwilę zamieniła się w totalny chaos.

- Cała pieprzona robota na nic! - Rozzłościła się. -
Wszystko od nowa!

W tym momencie poczuła na skórze podmuch lodowatego wiatru.

- Co tu tak, kurde, zimno?! - sarknęła.

Spojrzała w dół i odkryła przyczynę nagłego ochłodzenia. Niecodzienny widok odjął mowę wyszczekanej z natury wojownicze. Spróbowała bezskutecznie wziąć głęboki wdech, a kiedy wreszcie się jej udało, nie była w stanie przywołać z pamięci żadnego ze znanych przekleństw. Ten głęboki szok spowodowany został nagłą zmianą w jej stroju. Miała teraz na sobie o wiele mniej ubrania, niż kiedy opuszczała swoją willę, i na dodatek nie była to odzież robocza. Krótko mówiąc, Lód wisiała w powietrzu nad Warszawą odziana jedynie w różowy ręcznik do kąpieli.

- O zesz ty! - Wojownicze znowu zabrakło odpowiednich słów. - Co za cholera?!

Pstryknęła palcami. Zbroja nie zmaterializowała się. Spróbowała komendy werbalnej, ale ona również nie zadziałała.

- Jeszcze się tu, kurwa, odmrożeń nabawię! - Wściekła jak wszyscy diabli, przywołała czar rozgrzewający. Całe szczęście zadziałał, jednak doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że o dalszej pracy nie ma dzisiaj mowy. Nawet jeżeli znalazłaby smoka, to wołałaby nie spotykać się z nim bez zbroi. No i diabli wiedzą, czy osłony też zwichrowały czy może jednak raczą być sprawne. Warto by się o tym przekonać przed spotkaniem z tym bydlakiem, a nie w jego trakcie.

Wreszcie Lód wołałaby zapaść się pod ziemię, niż pozwolić komukolwiek zobaczyć się w tym stroju. W myślach dodała paradowanie po mieście jedynie

w ręczniku do swojej listy rzeczy gorszych od śmierci. Spięła wierzchowca i skierowała go w kierunku domu. Segą, odczytując intencje swej pani, pognał jak wichur, zostawiając za sobą świetlistą smugę.

Zbroja zmaterializowała się z powrotem na jej ciele, kiedy tylko kopyta pegaza dotknęły ziemi. Ta ironia losu zdenerwowała Lód jeszcze bardziej. Trzęsąc się ze złości, rozsiodła Segę i pobiegła na górę.

- Ja sobie zaraz z wami, dowcipnisie, pogadam! - stwierdziła i już miała otworzyć ekran, aby skontaktować się z szefem magów, kiedy zatrzymała ją pewna myśl.

- Moment! - powiedziała sama do siebie. - Przecież nie spieszyliby mi sami poszukiwań! Znalezienie śmierdząca to w końcu ich interes. Nie zrezygnowaliby z takiej szansy tylko po to, żeby zrobić mi głupi kawał. Prezes nogi by im z dupy powyrywał. Uprzejmie oczywiście - dodała w myśli.

Jeśli jednak ten numer nie był sprawką magów z syndykatu, to czyją? Czy mógł wiązać się z tymi zaburzeniami, które odnotowała wtedy nad Pałacem Kultury? Anomalie energetyczne były podobne, strach pomyśleć, jak by się skończyła utrata zbroi podczas tamtej walki.

Wojowniczką wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Sprawa była poważniejsza, niż sądziła. W niesprzyjających warunkach podobny numer mógł kosztować ją życie. Będzie musiała porozmawiać o tym z Artezjanem. Ale nie teraz. Już widziała oczyma duszy siebie budzącą go w środku nocy i informującą o tym, że niestety nie znalazła smoka, ale za to polatała sobie półnago nad miastem. Rozwiązanie zagadki tajemniczych zaburzeń będzie musiało poczekać. Teraz odstresuje się i weźmie wreszcie długo wyczekiwana kąpiel w pianie i żadna siła jej w tym nie przeszkodzi.

Zamknęła się w łazience i odkręciła kran z gorącą wodą. Dookoła rozszedł się zapach lawendy, a po chwili rozległo się westchnienie z zadowolenia, kiedy Czerwony Lód zanurzała się w wannie.

* * *

W tym samym czasie gdzieś daleko poza miastem Szacowny w swojej kryjówce również odetchnął z ulgą. Był bezpieczny, przynajmniej do jutra.

* * *

Zaszeleścił materiał. Artezjan wstał z fotela i wykonał elegancki ukłon przed swoim gościem. Rubin na jego czole lśnił mocniej niż zwykle, wyraźny znak, że mag jest w złym humorze. Czosnek, Opiekunka i kapłanka Czarnych Skrzydeł, skinęła mu lekko głową. Natomiast trzy stojące za nią łowczynie nie drgnęły nawet. Prezes udał, że tego nie widzi. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszelkie negocjacje z harpiami są trudne i wymagają wiele cierpliwości.

- Zechcesz spocząć? - wskazał Czosnek wygodny pluszowy fotel.

Mebel ten sprowadził jeszcze jego poprzednik specjalnie na potrzeby tego typu rozmów. Był piękny, drogi i miękki. Artezjan, przenosząc się do nowej kwatery, zabrał go ze sobą, zmieniając jednak kolor obicia na burgund, lepiej pasujący do jego własnych barw. Czarna jak smoła harpia z lśniącą białą plamą na uchu wyglądała intrygująco na tle pluszu. Dwukolorowość była charakterystyczną cechą kapłanek Opiekunki.

- Dziękuję - odpowiedziała, siadając. Pozostałe natychmiast zajęły miejsca za jej plecami.

„Bawią się w ochroniarzy” - prychnął w myślach mag. - „Zupełnie jakbym jej zagrażał. Za kogo mnie mają?”

- Jestem pewna, że nie zamierzały cię urazić. - Czosnek uśmiechnęła się lekko. - To łowcy, nie dyplomatki. Czują się tu niepewnie.

Artezjan skrzywił się nieznacznie, nie znosił, kiedy ktoś zakradał się do jego myśli. Harpie niestety miały w tym zakresie niezaprzeczalny talent. Postanowił przemilczeć sprawę. Gdyby zaczął dyskutować z Czosnek na ten temat, nigdy nie dotarłby do sedna rzeczy, zmienił więc przedmiot rozmowy.

- Rozumiem, że to one są odpowiedzialne za incydent w zoo?

- Tak, Artezjan. To one. Poznaj Majeranek, Estragon i Pieprz.

Spojrzał na nie krytycznym wzrokiem. Wyglądały na bardziej zajęte rozglądaniem się po gabinecie niż przysłuchiwaniem się rozmowie. Majeranek w zadumie przyglądała się akwariom z żółtą rybką, a jej gon poruszał się niczym wskazówka metronomu. Pieprz pomachała mu zupełnie bez szacunku, a Estragon wyglądała tak, jakby miała za chwilę zasnąć, a jej tęskne spojrzenie padało na puchaty perski dywan.

Westchnął. Czego innego miałby się spodziewać?

- Poznanie ich jest dla mnie przyjemnością - wygłosił standardową formułkę.

- Jestem pewna, że one również czują się zaszczycone, mogąc spotkać tak szlachetnego maga.

Czosnek potrafiła zachowywać się dystyngowanie, jeżeli tylko miała na to ochotę.

- Rozumiem, że właśnie temu przykremu zajściu zawdzięczamy twoje zaproszenie - dodała.

- W istocie. Oczekuję, że Sól podjął już w tej sprawie konieczne decyzje.

- Tak, ustaliliśmy, że nie będziemy więcej polować na hipopotamy. - Pokerowa twarz kapłanki nie nosiła śladu nawet najmniejszej dozy złośliwości.

- Jak mniemam, do podjęcia takiej decyzji skłonił was brak większej liczby tych zwierząt na terenie miasta? - Mag odparował ten atak bez mrugnięcia okiem.

- Możemy rozszerzyć listę gatunków niespożywalnych o pozostałe zwierzęta w ogrodzie. Oczywiście wyłączając z niej ptactwo.

- Przypominam, że strusi też nie mamy za wiele. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że wzywając was nie kierowałem się jedynie chęcią dokonania zmian w waszym jadłospisie. Mamy tu poważniejszy problem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Artezjan. ZAPROSIŁEŚ nas w jakiejś innej sprawie?

Pieprz właśnie zmaterializowała pazur i w zamyśleniu dłubała nim w oparciu fotela. Artezjan spojrzał na nią karcąco. Natychmiast cofnęła dłoń, z rozdarcia wypadła odrobina pluszu i w absolutnej ciszy wylądowała na dywanie.

- WEZWAŁEM was - nie ustąpił prezes - ponieważ twoje podopieczne pokazały się obywatelowi. Tym samym naraziły syndykat miasta Warszawy, jak również wszystkie pozostałe istoty, na ujawnienie. Nie po to ustaliliśmy zasadę NIEISTNIENIA, żeby ktoś tak lekkomyślnie ją łamał. Chciałbym wiedzieć, jakie środki podjęłyście w tej sprawie?

- To proste. - Głos Czosnek był zimny jak lód i spokojny jak tafla jeziora w bezwietrzny dzień. - Nie podjęliśmy żadnych. Natomiast pozwolę sobie zapytać, jak wasze nieomyślne, doskonałe osłony maskujące zdołały się popsuć? Moje dzieci nie zrobiły niczego, co mogłoby spowodować ten pożałowania godny wypadek.

Mag wstał powoli i spojrzał prosto w złote oczy kapłanki. Pionowe źrenice zwęziły się, rozkojarzone dotąd łowczyni momentalnie odzyskały pełną koncentrację. Na prezesa patrzyły teraz trzy pary ślepi gotowych do ataku drapieżników. Zdawał sobie sprawę, że nawet tutaj, na jego własnym terenie, przy silnej ochronie te stworzenia potrafiłyby rzucić mu się do gardła. Gdyby tylko uznały, że zaatakował ich Opiekunkę.

Czosnek również wstała i, uspokoiwszy je stanowczym gestem, podeszła do Artezjana. Blask kamieni z pierścienia i opaski padał na czarne futro. Utkwiła spojrzenie w magu i powiedziała cicho.

- Doskonale wiesz, że w mieście COŚ jest. To zakłóca działanie osłon. Sugerowałabym dopuszczenie nas do tajemnicy, zanim cały system się sypnie. Możemy bardzo przydać się w poszukiwaniach.

Purpurowe światło przygasało. Mag przez chwilę zastanawiał się, po czym stwierdził:

- Chodźcie, tego problemu nie będziemy omawiać w moim gabinecie. Zapraszam was do siebie. „Mam nadzieję, że nie będę tego żałować” - szepnął w myślach.

„Zawsze dobrze się nam razem pracowało, pamiętasz?” - Usłyszał mentalną odpowiedź Czosnek. Uśmiechnął się leciutko i otworzył drzwi w powietrzu.

Zaciekawione harpie spodziewały się zobaczyć wewnątrz równie zimne i luksusowe jak biuro, w którym urzędował. Tymczasem ich oczom ukazał się bogato urządzonej salon, z miękkimi fotelami i wielkim kominkiem. Podłogę zdobiła olbrzymia skóra niedźwiedzia polarnego. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Harpie spojrzały po sobie, Majeranek kichnęła.

- Bywasz tu czasem czy na dobre przeprowadziłeś się do biura? - zapytała Czosnek.

- Nie miałem ostatnio czasu, żeby tu posprzątać... - wyjaśnił Artezjan, wyraźnie zakłopotany. - Zaraz coś z tym zrobię.

Rzucony czar spowodował, że kurz z mebli i podłogi zniknął, a w kominku wesoło zapłonęły polana.

- Od razu lepiej. - Kapłanka z zadowoloną miną umościła się fotelu. - No, dziewczyny, nie stójcie tak.

Korzystając z zaproszenia, Pieprz wyciągnęła się na skórze, Majeranek wskoczyła na stół, a Estragon usadowiła się na komodzie. Dokładnie pomiędzy porcelanowym zegarem a starożytną chińską wazą. Artezjan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za chwilę coś zostanie stłuczone lub zepsute. Zastanowił się, dlaczego nie wybrały foteli. Może chciały mu zrobić na złość?

- No to jak? - zaczęła Czosnek. - Powiesz nam wreszcie? Mag otrząsnął się z zamyślenia.

- Nie jestem pewien, czy angażowanie was w tę sprawę jest dobrym pomysłem - zawahał się.

- Kręcisz, Artezjan. Skoro tu jesteśmy, mów, o co chodzi. Same zdecydujemy, co z tym zrobić.

„Właśnie tego się obawiam” - pomyślał.

- Jeśli właśnie tego sobie życycie - dodał na głos. - Co wiecie o anomaliach w mieście?

Kapłanka dokładnie przyjrzała się jego twarzy, zanim odpowiedziała na to pytanie. Miał teraz poważną minę i wyglądał na zmęczonego.

- Więc jednak. To prawda, że osłony się walą?

Łowczynie niespokojnie zastrzygły uszami. Ta nowina była im wyjątkowo nie na rękę.

- To za dużo powiedziane. Dezaktywują się tylko miejscami. Najdziwniejsze jest to, że usterki pojawiają się w najmniej spodziewanych punktach i znikają równie

szybko, jak się pojawiły. Nie udało się nam ustalić przyczyny.

- Możliwe, że to sprawka smoka. Nie przepada, zdaje się, za waszymi osłonami.

- Nie sądzę, żeby był w... - zaczął.

- Za cienki jest. - Tonem znawcy przerwała mu Pieprz

Artezjan spojrział na nią zaskoczony. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby ktoś przerwał mu w pół zdania. Harpia uśmiechnęła się niewinnie.

- Trochę się ostatnio kręciłyśmy, znaczy, koło osłon - wyjaśniła, obracając w palcach koniuszek swojego ogona. - Sprawdziłyśmy, nie da się ich otworzyć podstępem. No co? - zapytała, widząc piorunujące spojrzenie maga. - Zwykła ludzka ciekawość...

- Ludzka? - Artezjan powstrzymał się od dalszych komentarzy. - Mówcie, co wiecie na ten temat.

- Niewiele - tym razem odezwała się machająca nogami Majeranek. - Tyle, że skoro my nie możemy gdzieś wejść, to już nie wiem, kto może.

- Na pewno nie głupi smok - dokończyła ze stanowczą miną Estragon. - Jesteśmy najlepsze w zakradaniu się po cichu.

- Za to - znowu odezwała się Pieprz - wiemy, że coś kręci się po mieście i nastraszyło wojowniczkę - stwierdziła nie bez satysfakcji. - Podśluchałam coś niecoś... - spuściła oczy - u różnych osób. No i jeszcze wiemy, że Krio wyrzeka, że te jej tajne nowe czujniki całkiem bzikują. Reagują na jakieś wiry w głębokim paśmie.

Krio - właścicielka korporacji Metatech, miała pod swoją komendą sztab najzdolniejszych i najlepiej wyposażonych naukowców na świecie oraz doskonałą ochronę. Mag nie próbował nawet dociekać, jakim cudem jej pilnie strzeżona tajemnica służbowa znalazła się w rękach harpii. Na samą

myśl, ile z jego własnych sekretów mogła znać ta trójka, skrzywił się z odrazą.

Musiał jednak przyznać, że bez pomocy Fruwaczy, nie dowiedziałby się o zaburzeniach w najniższych gęstościach, a one mogły być przyczyną wadliwego działania osłon. Pozostałyby niewykrywalne, ponieważ uliczne czujki syndykatu były nastawione na wychwytywanie o wiele wyższych gęstości. Co prawda, zgodnie z jego poleceniem przekonfigurowano je na rzadsze formy energii, ale to wciąż było za mało. Nie były w stanie czytać z głębokiego pasma, tak jak zwykły mikroskop nie jest w stanie pokazać cząsteczki wirusa. Dlatego Artezjan widział jedynie efekty zaburzeń, ale nie potrafił zlokalizować ich źródła. Zdawał sobie sprawę, że Krio nabrałaby wody w usta i nie powiedziała mu niczego, dopóki sytuacja nie stałaby się naprawdę krytyczna. Teraz, dzięki informacjom od harpii, wiedział mniej więcej, na czym stoi.

Z zamyślenia wyrwało go dziwne uczucie. Podniósł oczy i zobaczył, że trzy pary żółtych oczu spoglądają na niego wyczekująco. Przez chwilę usiłował odwzajemnić to spojrzenie, ale w końcu skapitulował.

- Nieźle - stwierdził. - Mogłybyście pracować w wywiadzie.

Twarze harpii rozjaśnił promienny uśmiech. Artezjan zdał sobie sprawę, że właśnie udzielił futrzakom pierwszej pochwały za swojej kadencji. I wyglądało na to, że nawet podarowanie im na własność całego warszawskiego zoo nie zdołałoby bardziej je uszczęśliwić. Do tej pory wszyscy złościli się na nie i wyrzekali, aż tu nagle taki komplement. I to z ust samego prezesa syndykatu.

- Szybko się uczysz. - Czosnek uśmiechnęła się do niego - Skoro już wiesz, jak postępować z moimi podopiecznymi, to zostawię ci je tutaj. Muszę załatwić parę spraw na

mieście, zanim się położę. Dogadacie się jakoś, prawda? – Spojrzała pytająco.

Pieprz, Majeranek i Estragon z zapalem pokiwały głowami.

– A ty, Artezjan?

– Skoro muszę...

– To świetnie. Żegnam was i życzę owocnej współpracy.

Zdematerializowała się.

Mag został sam na sam z trzema nieprzewidywalnymi futrzakami. Nie wiedział, od czego zacząć.

– Zjecie coś? – zapytał.

Harpie wyszczerzyły zęby w uśmiechu. Wyglądało na to, że znowu trafił w dziesiątkę.

* * *

Obudziło go łaskotanie w nos. Chciał się po nim podrapać, ale nie mógł poruszyć ręką. Przygniatał ją jakiś ciężar, miękki i ciepły. Mało tego, to coś leżało mu również na kolanach. Nie było bardzo ciężkie, ale skutecznie krępowało ruchy. Spróbował pozbierać myśli, od dawna nie miał takiego przebudzenia. Zazwyczaj dokładnie wiedział, gdzie i jak kładł się spać. Nie miał pojęcia, czemu tym razem jest inaczej. Zdezorientowany, otworzył oczy i zobaczył, że siedzi w fotelu, a na jego kolanach śpi harpia zwinięta w skomplikowany kłębek, z którego wystawały jedynie uszy i końcówka ogona. Właśnie jedno z tych uszu łaskotało go w twarz. Poruszało się rytmicznie, najwyraźniej jego właścicielce śniło się polowanie. Artezjan zastanowił się przez chwilę, czy harpia nie zechce przez sen zmaterializować swoich ostrych pazurów. To mogłoby się nieprzyjemnie skończyć. Liczył tylko na to, że skoro nie zrobiła tego dotąd, to pewnie już nie spróbuje.

Starął się ostrożnie zmienić pozycję w nadziei, że obudzi śpiącą, ale nie wywarło to oczekiwanego skutku. Kłębek co

prawda rozluźnił się nieco, ale nie otworzył oczu. Mag nie był pewien, czy nagle wyrwana ze snu harpia nie zrobi czegoś nieprzewidywalnego, więc znieruchomiał i zaczął się zastanawiać.

„Na początek – pomyślał – która to?” – Przyjrzał się postrzępionemu czubkowi ucha. „Pieprz chyba. Skąd u licha się tu wzięła?!”

Spróbował przywołać w pamięci obraz wczorajszego wieczoru. Co robił, zanim zasnął? Zjadł z futrzakami kolację, a potem siedzieli i rozmawiali aż do świtu. Musiał zasnąć w fotelu, ale był pewien, że wtedy żadna z nich nie siedziała mu na kolanach.

„Musiała się przysiąc, kiedy już spałem”. – Spojrzał na nią jeszcze raz, wydawała się taka spokojna. „Zaraz, przecież one budzą się dopiero wieczorem, jak mam iść do biura? Która godzina?!”

Szef warszawskich magów nigdy za swojej kadencji nie spóźnił się do pracy. Co prawda godziny pracy sam sobie wyznaczał, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że dzisiaj coś przeszkodziło mu w punktualności. Nawet nie coś, a ktoś. Futrzasty, zaspany i zwinięty w kulę.

- Na Węża! – jęknął spanikowany – Spóźnię się!

Wtedy właśnie kłębek rozwinął się i otworzył złote oczy. Szerokie ziewnięcie ukazało komplet zębów, białych jak mleko i ostrych jak sztylety. Artezjan zamarł.

Pieprz spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem. Powąchała go z zainteresowaniem i znacząco trąciła czubkiem nosa jego policzek.

W oczach maga widniało autentyczne zdziwienie.

„Czego ona chce?” – przeleciało mu przez głowę. „Co tu się wczoraj działo?”

- No, podrapałbyś za uchem! – zirytowała się Pieprz. – Ile trzeba się napraszać?

Zaskoczony tym żądaniem mag posłusznie spełnił prośbę. Ucho było miłe w dotyku i porośnięte jedwabistym futrem. Drapiąc, Artezjan przyłapał się na tym, że to zajęcie sprawia mu przyjemność. Pieprz zmrużyła oczy i mag usłyszał przypominający warkot silnika dźwięk. Harpia mruczała.

W tym momencie rozległ się sygnał komunikatora. Przed prezesem ukazał się ekran kontaktu z biurem, a na nim twarz jego sekretarki Aurory. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, co widzi. Czerwona jak cegła wyjąkała tylko:

- Przepraszam! To ja później... - i rozłączyła się.

Łowczyni zachichotała, a Artezjan zaniemówił. Rozumiał, jak cała sytuacja mogła wyglądać z punktu widzenia jego asystentki. Nie stawiał się w pracy na czas, więc postanowiła sprawdzić, co się stało. Kiedy otworzyła ekran, zobaczyła swojego szefa z harpią siedzącą okrakiem na jego kolanach. On drapał ją za uchem, a ona mruczała z rozanieloną miną. Wnioski nasuwały się same. Całe szczęście, był pewny, że Aurora jest mistrzem w dyskrecji i to, co zobaczyła, nie zostanie nikomu zdradzone. Niemniej jednak jego wizerunek bezwzględniego profesjonalisty został poważnie naruszony w jej oczach. Może i nie powtórzy tego nikomu, ale na pewno nie uwierzy, że między jej szefem a tą harpią nic nie zaszło.

- No i z czego się tak cieszysz, futrzaku? - zapytał Pieprz. W jego głosie brzmiał wyrzut. - To bardzo poważna sprawa.

- Akurat! Mało zawału nie dostała! Wiedziała, że jesteś porządnym magiem. Żeby to uczcić, mógłbyś podrapać mnie jeszcze raz. Co? - Uśmiechnęła się przymilnie.

Artezjan wzruszył ramionami i zrezygnowany przesunął palcami po jedwabistym uchu. Łowczyni znowu zaczęła

mruczeć.

„Niech ci będzie” – pomyślał.

* * *

Dochodziło już pięć po dziewiątej, a Lód wciąż kręciła się w kółko, niczym tygrys w klatce. Czekala już od pół godziny i z każdą upływającą chwilą irytowała się coraz bardziej. Na dodatek cały czas czuła na sobie podejrzliwy wzrok sekretarki maga.

„Gapi się, jakbym w każdej chwili miała coś tu ukraść albo zepsuć!” – Wojowniczką wściekała się w myślach. „Dobrze wiem, co o mnie sądzi. Jestem niewychowaną wariatką. Nie powie tego na głos, bo się boi, że wpadnę w szal albo coś w ten deseń! A sama to co? Sztywna jak kołek!”

Rzuciła wściekłe spojrzenie na tkwiącą za biurkiem Aurorę. Ta, udając, że nie zwraca na wojowniczkę uwagi, zajęła się wystukiwaniem czegoś na klawiaturze komputera idealnie pomalowanymi paznokciami. Lód zatrzymała się na chwilę.

- Kiedy on wreszcie raczy przyjść?

Aurora podniosła wzrok znad monitora i z delikatną naganą w głosie odparła:

- PREZESA na pewno zatrzymały niezwykle ważne sprawy. Zjawi się za chwilę.

- Za chwilę, było dwadzieścia minut temu – rzuciła ze złością Lód, wracając do krążenia po pokoju. – Co się z nim dzieje? Zawsze się tak spóźnia?

Aurora wstała. Przez chwilę wydawało się, że zaraz powie coś, co pójdzie w piąty impertynenckiej wojowniczce. Jednak opanowała się i powiedziała jedynie.

- Jest niezwykle punktualny. Zatrzymały go ważne sprawy służbowe. Proszę trochę poczekać.

Lód ze zdumieniem zauważyła leciutkie drzenie w jej głosie.

„Czyżby coś naprawdę było nie w porządku?” – zastanowiła się przez chwilę. „Wygląda na to, że ta mała sama nie wie, gdzie jest Artezjan. Co tu jest grane?”

Po kolejnych pięciu minutach dreptania w kółko wojowniczką poczuła, że ma już dość. Nie ważne, gdzie szwenda się ten przemądrzały mag. Poradzi sobie sama. Pójdzie i znajdzie legowisko smoka. Już miała zrealizować ten plan, kiedy osobista asystentka głowy warszawskiego syndykatu najwyraźniej straciła swoją zimną krew. W myślach połączyła się z recepcją na dole i zapytała, czy nie widzieli szefa. Lód nastawiła uszu. Podśluchiwanie cudzych połączeń myślowych nie było trudne, jeśli choć raz złapało się charakterystyczne cechy przekazu pochodzącego od badanej osoby. Jednak robienie tego tak, aby obiekt nie zorientował się, to inna para kaloszy, zwłaszcza jeżeli nie można przerwać wędrówki po pokoju, aby nie wzbudzić podejrzeń. Lód nawet nie zwolniła kroku.

„Całe szczęście – pomyślała z wrodzoną skromnością – że jestem w tym świetna. No, mała, to gdzie się chowa twój prezes?”

Niestety recepcjonista nie miał o tym bladego pojęcia.

„Czyli Artezjana nie ma w budynku” – uznała wojowniczką. „Nawet on nie przemknąłby się obok strażników niezauważony”.

Cienie – tak na nich mówiono. Wiedzieli o każdej żywej istocie, która wkraczała na teren firmy, z prezesem włącznie. Nie było mowy, żeby kogoś przeoczyli.

Sekretarka rozłączyła się. Dla niepoznaki wystukała jeszcze parę zdań, po czym wstała i, stukając obcasami, ruszyła w kierunku toalety. Po chwili Lód poczuła stamtąd energię rozwijanego ekranu kontaktowego. Stłumiła

śmiej, najwyraźniej duma Aurory nie pozwalała jej przyznać się do niepokoju o maga, zwłaszcza przed wynajętą wariatką. Sytuacja robiła się coraz ciekawsza, tym razem jednak wojowniczką wołała nie podłączać się mentalnie do rozmowy. Artezjan był zbyt dobry w te klocki. Zbliżyła się natomiast jak najbliżej wejścia do łazienki i wstrzymała oddech, żeby nie zagłuszać słów. Spodziewała się długiej i ciekawej dyskusji, tymczasem jedynym, co usłyszała, było głośne „Przepraszam!” i mocno spanikowane „To ja później”. Wyczuła zwijany pośpiesznie ekran i w samą porę odskoczyła od drzwi, bo właśnie wypadła przez nie czerwona jak cegła dziewczyna. Nie zwracając najmniejszej uwagi na wojowniczkę, pognęła w kierunku windy. Wyhamowała gwałtownie w pół drogi i pobiegła do gabinetu. Nie weszła jednak do środka. Zamiast tego zatrzymała się przy drzwiach. Znowu ruszyła do windy. Zawróciła. Wreszcie, zdezorientowana, stanęła pośrodku pomieszczenia i dopiero wtedy zdała sobie sprawę ze zdziwionego spojrzenia Lodu. Odruchowo poprawiła garsonkę, wzięła głęboki wdech i wypracowanym przez lata profesjonalnym tonem oświadczyła:

- Prezesa nie będzie dzisiaj co najmniej do południa. Proszę spróbować wieczorem.

- Czy to coś poważnego? - Lód postanowiła włożyć kij w mrowisko.

- Tajemnica służbowa - twardo odpowiedziała opanowana już sekretarka. - Proszę przyjść po osiemnastej.

- Skąd wiadomo, kiedy się pojawi? Przecież się nie łączył.

Aurora fuknęła z oburzeniem. Perfekcyjnie uszmkowane wargi rozchyliły się, ukazując ostre ząbki.

- Ma swoje sposoby przekazywania mi wiadomości.

Lód nie mogła się powstrzymać od podjęcia rękawicy.

- Przez damską toaletę? - spytała niewinnie.

Trafienie było idealne. Aurora podskoczyła ze złością. W tęczęwkach niebieskich oczu pojawił się nagle świetlisty wzór.

- Ty! Ty...- zaczęła, opanowała się i nie dokończyła zdania.

Wzór jednak nie przygasł.

- Czyżby biedak był chory i został dłużej w łóżku? - Lód zignorowała zagrożenie. Doskonale wiedziała, że sekretarka musiałaby szukać sobie nowego miejsca pracy, gdyby obraziła gościa. Niemniej jednak jej reakcja zaskoczyła wojowniczkę.

- Nie, w fotelu! - syknęła dziewczyna. - Proszę przyjść po osiemnastej!

Po czym poprawiła fryzurę i wróciła za swoje biurczko. Rozmowa była skończona.

Lód wzruszyła ramionami. Wiedziała, że skoro osobista asystentka Artezjana tak stawia sprawę, to niewiele da się z niej wyciągnąć. A szkoda, bo zapowiadała się niezła zabawa.

„W sumie nie jest tak źle” - zastanowiła się już w windzie. „Wyprowadziłam ją z równowagi, a to już coś. Ciekawe, co miała na myśli, mówiąc o fotelu? Swoją drogą to wystarczy, że Artezjana nie ma, a jego pracownicy zyskują całkiem nowe osobowości. Ech, życie...”

* * *

Jasne światło uderzyło Jerzego w oczy. Szarpnął się gwałtownie i odepchnął coś, co pochylało się nad nim. Spróbował wstać, ale zakreśliło mu się w głowie. Usiadł i rozejrzał się niespokojnie. Zorientował się, że jest w szpitalnym pokoju, a przed nim stoi dwójka zdezorientowanych lekarzy i siostra oddziałowa.

- Spokojnie - mówił jeden z nich - już wszystko dobrze.

Drugi szykował strzykawkę ze środkiem uspokajającym.

- Nie chcę! - wykrzyknął przerażony Jerzy. - Znowu będę miał koszmary!

Lekarze znieruchomieli na moment, a potem popatrzyli po sobie. Strzykawka powędrowała z powrotem na stolik.

- Więc brał pan ostatnio coś dożylnie? Czy może jakiś środek nasenny?

Jerzy oburzył się, w końcu to oni powinni znać się na farmaceutykach.

- Dała mi je dziewczyna, która mnie odwiozła, to coś przeciwbólowego. Jak szła ta nazwa?

Kaf... kef... kefar? Mam, keferadyne! Po tym zasnąłem.

- Janek, sprawdź, kto go tu przywiózł. - Najstarszy z trójki rzucił do wypłoszonego młodzika w fartuchu, chyba swojego asystenta.

- Tak, panie ordynatorze! - wykrzyknął ten i wybiegł z pokoju.

Jerzy uznał, że taka nadgorliwość rzadko zdarza się w służbie zdrowia, nawet jeżeli jej przyczyną jest zwykłe wazeliniarstwo.

- Widzi pan - ciągnął ordynator - mieliśmy pewne trudności z dobudzeniem pana. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny spał pan jak kamień. Wiązaliśmy to z możliwym uszkodzeniem mózgu, ale skoro twierdzi pan, że zażywał jakiś środek, diametralnie zmienia to postać rzeczy.

- Nie jakiś środek tylko keferadyne! - Uparł się nie do końca przytomny Jerzy - Przeciwbólowy.

- Niestety, muszę pana rozczarować - do rozmowy włączyła się pielęgniarka - ale takiego środka nie ma w spisie leków.

- Co też pani mówi. - Zdenerwował się. - Przecież pamiętam, jak to nazwała.

Właśnie wtedy do pokoju wrócił wysłany po informację asystent.

- Niemożliwe, proszę pana. Przyszedł pan tu sam i powiedział, że potrącił go samochód. Potem zasnął, więc nie mogliśmy ustalić, co się stało. Nie wiem, od kogo pan to kupił, ale na pewno nie było to lekarstwo.

Jerzy, oburzony tymi oskarżeniami, poderwał się z łóżka. Wystraszeni lekarze cofnęli się o krok, jakby oczekując ataku. Za oknem dziko zawył wicher.

- Proszę posłuchać - wycedził Jerzy przez zaciśnięte zęby - dokładnie pamiętam, jak to było, i nie wmówicie mi tej waszej bzdury. Nigdy w życiu nie brałem żadnego szajsu! Potrąciła mnie ruda smarkuła w czerwonym aucie. Ona mnie tu przywiozła i ona mi to podała. Nie mam pojęcia, co to było, ale na pewno nie kupiłem tego sam!

Kolejny powiew wiatru ze świstem uderzył w szyby.

- Ależ nikt nie twierdzi... - zaczęła siostra oddziałowa, ale rozzłoszczony Jerzy przerwał jej w pół zdania.

- Pani twierdzi! Obraża mnie pani tymi insynuacjami! Skoro nie przydaliście się na nic, to proszę natychmiast mnie stąd wypisać! Chcę wyjść i poszukać sobie normalnego lekarza, a nie jakiegoś drugorzędnego pomocnika trzeciorzędnego felczera!

Obrażony w ten sposób ordynator już miał coś powiedzieć, kiedy zamknięte okno nie wytrzymało następnego ataku zawiei i otworzyło się na całą szerokość. Izolatkę wypełniło lodowate powietrze i śniegowy tuman. Wiatr zerwał żaluzje i pchnął pod ścianę stół z lekami. Ktoś musiał w panice potrącić wyłącznik światła, bo wisząca pod sufitem neonówka nagle zgasła.

Całe zamieszanie trwało jedynie przez chwilę. Przytomna siostra oddziałowa rzuciła się w kierunku okna i z trzaskiem je zamknęła. Asystent zapalił światło.

W pokoju nadal było przeraźliwie zimo. Wystraszony lekarz spojrzął na Jerzego i ze zdziwienia zacisnął powieki. Miał wrażenie, że szpitalne ubranie pacjenta zmieniło kolor na czarny, ale kiedy otworzył oczy, było zwyczajne, białe. Uznał to za spowodowane szokiem złudzenie optyczne.

Około godziny później burza trwała nadal, zdążyła już wybić kilka szyb i narobić sporo szkód, wliczając w to awarię prądu, która doprowadziła do szału zarówno personel szpitala, jak i pacjentów. W tym czasie Jerzy opracował dokładny plan dalszego postępowania, którego jedynym mankamentem była niemożność skorzystania z telefonu. Zamierzał bowiem zadzwonić do godnej zaufania osoby i poprosić ją o drobną pożyczkę na bilet do domu. Dalej poradziłby sobie sam. Odzłałowałby jakoś ten zgubiony neseser, dowód osobisty można wyrobić od nowa, a komórka i tak nie była na abonament. W przypiływie optymizmu uznał nawet, że może nie wyrzucili go jeszcze z pracy i jutrzejszy dzień upłynie pod znakiem względnej normalności. Potrzebował tylko jednej karty telefonicznej. Tę dostarczyła mu litościwa pielęgniarka, która widząc, jak błąka się bezradny po oddziale, uzaliła się nad biedakiem i sprezentowała mu jakąś na wpół zużytą.

Wystukał więc szereg cyfr, wstrzymał oddech i czekał. Po chwili w słuchawce odezwał się męski głos.

- Mieszkanie państwa Czyżyków, słucham?

Jerzego zatkało. Może źle wykręcił numer?

„Jaki Czyżyk?” - pomyślał z rozpaczą i zapytał na głos: - Czy to numer 8567750?

- Tak, proszę pana. Z kim życzy pan sobie mówić?

- Z panią Teresą, jeśli to możliwe - wyjąkał, nadal nie wiedząc, co jest nie tak.

Czyżby wynajęła komuś dom? Wyprowadziła się gdzie indziej? Jednak po chwili oczekiwania w słuchawce rozległ

się znajomy damski głos.

- Teresa Czyżyk, w czym mogę pomóc?

Przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Słucham! - Zniecierpliwiła się kobieta.

- To ja, Jerzy - zabrzmiało to jakoś dziwnie, jakby coś ścisnęło mu gardło. - Nie wiedziałem, że wyszłaś za mąż.

- I dzwonicz, żeby mi to powiedzieć?

- Nie. To znaczy, gratuluję ci. - Jakoś sam w nie wierzył w te słowa - Kiedy... - zaczął, ale przerwała mu gwałtownie

- W zeszłym roku. Wysłałam ci wiadomość, pamiętasz?

Nie pamiętał.

- Och... przepraszam. Nie chciałem sprawić ci przykrości.

- Zawsze mówisz tak, jak coś zepsujesz. Czego ode mnie chcesz?

- Właściwie to mam problem i potrzebuję pomocy. Jestem w Warszawie i nie mam pieniędzy.

- Wykluczone - odparła stanowczo - nie pożyczę ci ani grosza. Mówiłam, że masz radzić sobie sam. Ciągłe nie masz pracy?

Zastanowił się, jaką właściwie ma szansę na pozostanie w firmie.

- Prawdę mówiąc, to...

- Aha. Wybacz, ale dziecko kosztuje mnie wystarczająco dużo, nie mogę ci pomóc. Do widzenia.

- Czekał, jakie dziecko? Mówiłaś, że nie zamierzasz mieć dzieci.

A przecież jego związek z Teresą rozpadł się przez ciągłe kłótnie na temat kariery, macierzyństwa i zbędnych wydatków.

- Musisz zrozumieć. - Głos Teresy złagodniał nieco. - Czesław zarabia sześć tysięcy miesięcznie, wynajmujemy

opiekunkę. Ja pracuję w bankowości. Z tobą nigdy nie byłabym w stanie...

Nie pozwolił jej dokończyć. Rozgoryczony wrzasnął w słuchawkę:

- Chcesz powiedzieć, że wolałaś mieć dziecko z gościem, który nazywa się Czesław Czyżyk, co?! Bo ja jestem ostatnim dnem, tak?! Pracuję w porządnej firmie, ale nie zarabiam tyle co on. Tylko dwa tysiące, pewnie by ci nie wystarczyło!

W tym momencie do rozmowy włączył się mężczyzna, który odebrał telefon.

- Słuchaj, porąbańcu - zaczął - zostawisz moją żonę w spokoju, bo jak nie, to znajdę cię i nogi z dupy powyrywam. Żadne śmierdzące zero nie będzie jej niepokoić, kiedy jest w ciąży!

W Jerzym coś pękło. Nad szpitalem przetoczył się potężny grzmot. Trafiło prosto w słup telefoniczny, rozszczepiając go na dwoje. Telefon raptownie ogłuchł.

W tej chwili Jerzy nie był w stanie zdecydować, czy jest bardziej wściekły czy zrozpaczony. Czuł, jakby właśnie rozpadło się ostatnie ogniwo łańcucha łączącego go z normalnym życiem. Wziął głęboki wdech. Wiatr ryczący za oknami nagle ucichł, a ciężkie krople deszczu zabębniły o szyby.

Jerzy z opuszczoną głową ruszył w kierunku swojego pokoju. Czuł, że po prostu nie może tu zostać. Wyciągnął reklamówkę ze swoim ubraniem i po chwili był już gotowy do wyjścia.

Około czterdziestu minut później szedł, wlokąc się noga za nogą jakąś nieznaną ulicą. Na twarzy miał krople deszczu. Lodowata woda chlupotała mu w przemoczonych butach, a nasiąknięty płaszcz nie stanowił już ochrony przed zimnem. Nie wiedział, dokąd powinien pójść, bez

pieniędzy i dokumentów. Na komisariat? Z powrotem do szpitala? „Utopić się w Wiśle?” - pomyślał załamany i zadygotał.

Robiło się coraz zimniej. Nie wiedział, gdzie w obcej okolicy znaleźć suche i w miarę ciepłe miejsce. Złapał się na tym, że rozumuje jak bezdomny. Szczękając zębami, ruszył do najbliższego przystanku. Postanowił podjechać do centrum na gapę, a potem tak samo pociągiem do Sochaczewa. I tak żadna kontrola biletowa nie zdoła wyciągnąć od niego dokumentów do spisania.

Przystanek wydawał się być całkiem blisko, pomimo to Jerzy dotarł do niego z niemałym trudem. Był przemarznięty do szpiku kości i na dodatek całkiem mokry. Zakasłał sucho i przez chwilę poczuł się jak bohater jednej z tych ponurych nowelek, w których wszyscy w końcu umierają na gruźlicę. Próba rozgrzania dłoni chuchaniem przyniosła wręcz odwrotny efekt. Szczękając zębami, przyjrzał się raz jeszcze rozkładowi jazdy.

- Oczywiście - mruknął do siebie - nie w tę stronę. Całe moje szczęście. Źle wybieram kobiety, źle wybieram przystanki. - Trzęsąc się z zimna, nasunął na głowę kaptur i ruszył na przełaj przez jezdnię.

* * *

Lód zmuszona spędzić dzień beczynnie postanowiła, że jednak nie zmarnuje okazji do zabawienia się i odwiedziła kilka centrów handlowych. Po całym dniu zakupów tylne siedzenie auta było wręcz zapchane masą paczek, pakunków i pudełek. Z głośników samochodowych płynęła głośna muzyka. Zadowolona z siebie wojowniczką uznała wreszcie, że nadeszła pora znowu odwiedzić syndykat. Może pan „wiem lepiej, bo jestem prezesem” w końcu się pojawił. Nawet jeżeli nie, to i tak warto znowu pomęczyc

Aurorę. Na samą myśl o tym na twarzy Lodu pojawił się złośliwy uśmiech.

Wcisnęła pedał gazu i, nucąc pod nosem, ruszyła do centrum. Droga była zadziwiająco pusta, a pogoda mroźna i bezchmurna, toteż wojowniczką zdziwiła się mocno, kiedy nagle wjechała w obszar deszczowego oberwania chmury. Na dodatek samochodowy termometr wskazywał jakieś dwa stopnie powyżej zera, pomimo że jeszcze przed chwilą było minus piętnaście.

Zagwizdała zaskoczona. „Czyżby kolejna anomalia?” – pomyślała. – „Tym razem odbija pogodzie? Nieźle, będzie trzeba wyciągnąć od magów, o co tu biega. Inaczej niech sobie sami na smoki polują”.

Ze zdenerwowania przyśpieszyła nieco, nie zważając na konieczną przy takich warunkach ostrożność. Nagle na drodze przed sobą zauważyła zakapturzoną postać.

– Szlag! – zakląła i nadepnęła na hamulec.

Zapisały opony. Samochód obrócił się w miejscu, niemal cudem omijając pieszego. Wściekła Lód wyskoczyła na deszcz.

– Co jest, pierdoło?! Pasów w Polsce nie wynaleźli?! Mogłam, do cholery, garaż z ciebie zrobić!

Pieszy spojrzał na nią niezbyt przytomnym wzrokiem i nie odpowiedział.

„Upił się czy co?” – przemknęło jej przez myśl.

Już zamierzała zostawić go swojemu losowi, kiedy raz jeszcze spojrzała na jego twarz.

– Zaraz! Ja ciebie skądś znam! – wykrzyknęła. – Już raz wpadłeś mi pod koła. Czy ty za mną specjalnie chodzisz? Samobójcą jesteś jakimś?

– Ja... – niedoszła ofiara spróbowała coś powiedzieć, po czym jak worek kartofli zwała się na mokry asfalt.

- Kurczę, przecież go nie dotknęłam - jęknęła wojowniczką. - Niech będzie, ale ostatni raz zabieram cię do szpitala. Pamiętaj.

- Nie do szpitala - jęknął poszkodowany.

- Dlaczego nie? - W dziewczynie odezwała się naturalna przekora.

- Szpital nie. - Uparł się i zadygotał.

- Kurde! - Zaczynała już tracić cierpliwość. - Ja decyduję, dokąd jedziesz, bo ja mam samochód.

- Zostaw mnie! Pójdę do domu.

- Gdzie mieszkasz?

- W Sochaczewie.

- Idiota! - sarknęła wojowniczką.

Jakby w odpowiedzi na ten zarzut pieszy stracił przytomność.

„Dobra - pomyślała Lód - do szpitala cię nie wezmę, ale nie mam co z tobą zrobić. Wsadzę cię na razie do samochodu”.

To mówiąc, podniosła go jakby był piórkiem i upchnęła między zakupami na tylnym siedzeniu. W żadnym wypadku nie mogła zabrać go ze sobą do syndykatu, bo gotów, czekając na nią, poczuć się jeszcze gorzej. Miał wysoką gorączkę i cały dygotał. Po namyśle zdecydowała, że zostawi go w swojej kwaterze i po rozmowie z magiem zastanowi się, co dalej zrobić z tym znaleziskiem.

- W końcu - uznała - spełniam dobry uczynek. Prawda?

Rozdział III

- Że co?! - prawie wykrzyknęła Lód. - To znaczy, słucham? - poprawiła się natychmiast. - Z całym szacunkiem, ale to chyba jakiś żart.

Spojrzała Artezjanowi prosto w oczy; były poważne nawet jak na niego. Coś musiało być cholernie nie tak.

- Jak już mówiłem, w obecnej sytuacji nie będziemy ryzykować kontynuowania polowania. Ograniczysz się jedynie do akcji defensywnych.

- Jeżeli nie wyeliminuję go teraz - wojowniczką starała się przyjąć oficjalny ton - obudzi się z letargu i powtórnie zaatakuje miasto.

- Jeżeli zaatakujesz go teraz - odparł mag - może się okazać, że już nie jest w letargu, a ty nie masz swoich osłon.

- Pokonałabym go nawet bez nich, jest ranny i osłabiony.

- Zabijesz go, kiedy ustalimy źródło zakłóceń. Syndykat nie chce ryzykować twoim życiem.

Lód poczuła się jak małe dziecko wymagające opieki, nie spodobało się jej to. Jednak wiedziała, że wszelakie dyskusje są tu nie na miejscu.

- Rozumiem sir, polecenie zostanie wykonane - odpowiedziała z goryczą w głosie.

I wtedy mag zrobił coś, czego nigdy by się nie spodziewała.

- Zrozum, dziewczyno - powiedział - to nie przelewki, nie chcemy tu mieć twojego trupa.

Oczy wojowniczeki stały się wielkie jak spodki.

„Albo jest chory, albo wpakowaliśmy się w naprawdę gigantyczny kanał” - przemknęło jej przez myśl.

Chciała coś dodać, ale powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Wybacz, wzywają mnie ważne sprawy.

- Tak sir. Do widzenia sir. - Ukłoniła się i opuściła gabinet.

Wychodząc, zatrzymała się na chwilę przy biurku Aurory. Sekretarka obrzuciła ją mściwym spojrzeniem. Pewnie nie mogła wybaczyć porannej prowokacji. Lód wzruszyła ramionami; po rozmowie z prezesem nic innego nie było w stanie zająć jej myśli.

- Kanał - powiedziała na głos i wsiadła do windy.

Na samym dole napotkała dowód na to, że Artezjan mówił prawdę. Osłony nawalały. Za wycieraczką jej auta tkwiło kilka reklam agencji towarzyskich oraz nieduża karteczka opiewająca na 200 złotych za złe parkowanie. Ktoś nie tylko zauważył zamaskowany samochód, ale na dodatek (pomimo własnego zaklęcia wojowniczką) zapamiętał go dość długo, żeby wypisać mandat.

- Ciekawe, czy te burdelowe ulotki też roznosi policja - mruknęła, zamieniając papier w chmurkę srebrnego pyłu. - W domu czeka na mnie jeszcze ta piesza ofiara losu. - Przypomniała sobie już w aucie. - Może powinnam go dobić, przecież się męczy, tak wpadając ludziom pod koła.

Wcisnęła gaz i jaguar wyskoczył z parkingu z rykiem silnika.

* * *

Obudziło go głośnie stukanie. Coś uderzało o szybę w oknie. Jerzy otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Przypominał luksusowy hotel. Wielka, okrągła sypialnia z olbrzymim łóżkiem. Wszędzie walały się damskie fatałaszki, kosmetyki i biżuteria. Jego uwagę przykuła króciutka, jedwabna hałeczka wisząca na parawanie. - „Teresa nigdy by czegoś takiego nie włożyła” - pomyślał. - „I tak wyglądałyby jak straszdyło” - dodał złośliwie. - „Taką bieliznę powinny nosić zgrabne siksy, a nie ciężarne baby”.

Zdziwiła go własna uszczypliwość.

Łup! Coś walnęło w okno.

Łup! Znowu

Wiedział, że powinien to sprawdzić. Tyle że za oknem było potwornie ciemno, a on tkwił tu w obcym domu. Sceneria jak z horroru. W filmach goście, którzy sprawdzali tajemnicze odgłosy, ginęli w paskudnych okolicznościach. Wzdrygnął się.

Łup! Łup!

Cokolwiek to było, nie zamierzało odpuścić. Wstał i powolutku podkraść się do drzwi tarasu. Niczego nie zobaczył, na zewnątrz było za ciemno, ujął więc klamkę i ostrożnie otworzył.

Wtedy coś napało na drzwi tak mocno, że Jerzy wylądował na ziemi, a drzwi stanęły otworem. Do pokoju wsunął się olbrzymi koński łeb. Zwierzę miało purpurową sierść i płonące ślepia, a na dodatek wielkie jak u tygrysa zębiska.

Jerzy gapił się oszołomiony, tymczasem potworne bydlę całe wlaźło do pokoju. Przeciskając się przez drzwi, prawie wyrwało framugę. Kiedy zbliżało się, jego kopyta zostawiały na lakierowanej sosnowej posadzce wielkie odciski i grudy błota. Obwąchało leżącego, po czym znudziło się i zostawiło go w spokoju. Odwróciło się tyłem, tłukąc przy okazji donicę z fikusem madagaskarskim i przewracając toaletkę. Potem zaczęło pożerać wiszącą na parawanie seksowną koszulkę.

Paradoksalnie ten fakt dodał Jerzemu odwagi. Podeszedł do zwierzęcia, bez zastanowienia chwycił za jedwabną szmatkę i wyrwał mu ją z pyska. Odpowiedziało mu spojrzenie pełne wyrzutu.

- Nie możesz tego jeść!

Koń szturchnął go łbem. Wylądował na posadzce, sycząc z bólu.

- Wszyscy mnie, kurde, przepychają jak jakiś mebel! - Wściekł się. - Koniec tego dobrego!

Nagle poczuł, że doskonale wie, co ma zrobić. Wstał i już miał wprowadzić plan w życie, gdy znieńcka w drzwiach sypialni stanęła dziewczyna.

- OŹ KURWA! - wrzasnęła.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Jerzy momentalnie skojarzył dziewczynę i konia. Myśli biegły jak oszalałe: Pałac Kultury, smok, wojowniczką, wypadek samochodowy. Wszystko się zgadzało. Ruda smarkula, która go potrąciła, i zakuta w zbroję piękność to ta sama osoba. Wypowiedział jedyne słowa, które przyszły mu na myśl.

- AMEN!

- Co? - Nie zrozumiała. - Amen? Jakże do cholery amen?! Seg! Won na dwór! Już cię tu nie widzę! Ty! - zwróciła się do Jerzego. - Siadaj i ani mi się waź ruszać, dopóki nie pozwolę!

Obaj sprawcy bez szemrania wykonali polecenie.

Dziewczyna potoczyła po pokoju rozpaczonym wzrokiem.

- Kompletny chaos! Coście tu, kurde, robili?

- Ja...

- Cicho być! - Wściekła się i z trzaskiem zamknęła drzwi za koniem. - Teraz pomożesz mi posprzątać. Tłumaczyć się będziesz potem.

W Jerzym obudził się duch buntownika.

- Nie ja tu narozrabiałem.

- Taaa? A kto go wpuścił? Otwierać drzwi jeszcze się, chwała Bogu, nie nauczył.

- Skąd miałem wiedzieć, że to tu łązi?

Dziewczynie opadły ręce. No jasne, skąd niby miał wiedzieć? Czemu, do czorta, w ogóle widział Segę? To się wszystko kupy nie trzyma.

- Dobra - powiedziała - przysuwając sobie krzesło. - Musimy wyjaśnić sobie parę spraw. Na początek. Jestem...

- Czerwony Lód, wojowniczką - dokończył za nią Jerzy.

Lód straciła wątek. Zamrugwała z niedowierzaniem, po czym wydusiła z siebie głupie pytanie.

- Skąd wiesz?

- Widziałem cię nad Pałacem. Ze smokiem. - W jego głosie pobrzmiwała duma.

- Kurde, zasłony!

- Jakie zasłony masz na myśli?

- A coś ty taki dociekliwy? Co jeszcze zobaczyłeś?

Szczęśliwy, że nareszcie ktoś mu wyjaśni, o co chodzi w tym burdelu, nabrał tchu i zaczął wyliczać.

- Oprócz ciebie i smoka: jednorożce, akwarium w hotelu i napis Metatech zamiast Intercontinental.

- No to się syndykat ucieszy - mruknęła pod nosem dziewczyna i natychmiast skłęła swoje gadulstwo.

Mina jej rozmówcy wyrażała absolutną radość z poznania nowych tajemnic. Znała ten typ. Kiedyś była taka sama. Wiedziała, że facet nie spocznie, aż dowie się wszystkiego. Cholerne osłony. Cholerny syndykat. Cholerne zakłócenia.

- Ok. - Poddała się. - Pogadamy, ale nie przed kolacją. Coś mi się od życia należy. I bez dyskusji - dodała na wszelki wypadek.

Ruszyła do kuchni, a Jerzy posłusznie udał się za nią.

- Ej, ty! - zawołała.

- Tak?

- Może najpierw coś na siebie włoż.

* * *

Zapał zmrok. Pieprz ziewnęła szeroko i, przeciągnawszy się, zeskoczyła z tapczanu. Wiedziona zapachem jedzenia, ruszyła polować do kuchni. Tam zastała Estragon, patroszącą puszkę konserwowego groszku i pomrukującą przy tym z zadowoleniem, na ile tylko pozwalało jej trzymane w zębach udko kurczaka. Chwilę później dołączyła do nich Majeranek i harpie już w komplecie zabrały się do pustoszenia lodówki. Takie życie bardzo im odpowiadało. Wygodne legowisko, spiżarnia pod bokiem i żadnych reprimend. Jakby nie patrzeć, gospodarz sam powiedział „czujcie się jak u siebie w domu”, i chociaż futrzaki nigdy by się do tego nie przyznały, starały się narozrabiać jak najmniej. Pieprz przyłapała się nawet na używaniu kubka, zamiast siorbania mleka prosto z kartonu.

Nie minęło pół godziny, a trzy najedzone i szczęśliwe łowczynie skierowały się do wyjścia. Obiecały Artezjanowi, że wyniuchają przyczynę zakłóceń i żeby nie wiem co, zamierzały słowa dotrzymać.

Warszawa nocą mogła dostarczyć wielu doskonałych rozrywek i jeszcze większej ilości informacji. Zatrzepotały błoniaste skrzydła i po krótkim locie harpie siedziały już na dachu wieżowca Metatech, dla zwykłych obywateli – Intercontinental.

– Dobra, któryś z tych jajogłowych ma dostęp do map energetycznych, trzeba go tylko namierzyć. – zakomenderowała Pieprz.

W Majeranek obudziły się wątpliwości.

– Czy Artezjan się nie pogniewa? To w końcu nielegalne.

– E tam! – rzuciła Estragon. – Co z oczu, to z żołądka.

Nie poskarżą mu się przecież.

Pieprz zatarła ręce.

– To która idzie dziś na króliczka?

* * *

Docent Piotrowski siedział przed monitorem już piątą godzinę. Zaczynał wątpić, czy rano w oczach będzie miał coś oprócz mapek energii. A zostało mu na dziś jeszcze drugie tyle do opisania. I tylko jedna pizza. W nocy ochrona budynku nie wpuszczała dostawców, a on sam nie miał dość czasu pomiędzy pomiarami, żeby zjechać na dół i odebrać zamówienie.

- O rany! - jęknął. - Moje plecy. Moje oczy. Mój pęcherz. Koniec, idę do kibla albo tutaj wybuchnę.

Po drodze troskliwie umieścił pizzę w mikrofali. Kiedy po kilku minutach wrócił, zobaczył coś niezwykłego. Na wąziutkim gzymsie za oknem siedziała skulona harpia. Wydawało się, że jeszcze sekunda, a runie w dół. Bezwładne skrzydło wyglądało na złamane. Dygotała z zimna. Rzucił się do okna i wciągnął półprzytomną do środka. Była lekka jak piórko i puszysta jak biały króliczek. Dokładnie to skojarzenie przyszło mu na myśl, kiedy ostrożnie układał ją na kanapie. Skrzydła momentalnie zdematerializowały się. Piotrowski pierwszy raz spotkał futrzaka. Po dokładnych oględzinach uznał, że to naprawdę śliczne stworzenie. Wręcz słodkie. Wielkie uszy, złote ślepka i pędzelek na ogonie. Te okropne plotki w gazetach nie mogą być prawdziwe. Nie potrafił sobie wyobrazić tak bezbronnej istoty szlachtującej hipopotama.

- W życiu - mruknął pod nosem.

Harpia zapiszczała.

- Ojej! - zaniepokoił się Piotrowski. - Chyba cię nie uszkodziłem?

Spojrzała na niego wielkimi oczyma i miauknęła żałośnie. Nie miał pojęcia, jakie dźwięki powinien wydawać ten gatunek, ale na pewno coś było nie tak.

- Rety! - jęknął spanikowany. - Jak się rozmawia z harpiami?

W odpowiedzi trąciła nosem jego dłoń i spojrzała smutnym wzrokiem na kuchenkę mikrofalową.

- Ale ze mnie głupek! - wykrzyknął. - Jesteś głodna! Już ci daję.

Wyjął pizzę i starannie pokroił ją na małe kawałeczki. Nie wiedział czemu, cała sytuacja kojarzyła mu się z czasami dzieciństwa, kiedy to opiekował się rannym ptaszkiem. Po pięciu minutach, gdy na talerzu pozostały już tylko okruszki, zdziwił się, jak bardzo jego nowa podopieczna różni się apetytem od wróbelka.

W tym momencie na korytarzu rozległ się odgłos skoków.

- Ochrona! - szepnął przerażony. - Nie mogą cię tu znaleźć!

Szef nie znosił obcych na terenie laboratorium. Zwłaszcza takich obcych.

Chwycił harpie na ręce i prędko przeniósł do kanciapki obok. Po czym wrócił do monitora i udawał, że przegląda mapy. Odgłos ucichł. Do pomieszczenia wsunęła się postać przypominająca opancerzonego kangura. Jej tylne łapy kończyły się stalowymi pazurami, fasetowe oczy czerwono fosforyzowały.

- Cześć, Sue - rzucił niepewnie.

Strażniczka miała doskonały słuch. Mogła się zorientować.

- Hej! - odpowiedział metaliczny głos z jej obroży. - Co tu tak zimno?

Nerwowo przełknął ślinę.

- Wietrzę. Zaczynałem się dusić.

- Lepiej zamknij okno. Coś zaalarmowało czujki.

- Ok. Dzięki, Sue.

- To na razie - rzuciła i wróciła do patrolowania korytarzy

Cały spocony ze zdenerwowania skoczył do kanciapki. Była pusta, a przez otwarte okienko wpadał zimny wiatr.

- Ojej - westchnął. - Chyba poczuła się lepiej. Mam nadzieję, że trafi do swojego domu w tej zawiei.

* * *

Pieprz zgrabnie wylądowała na dachu Mariotta, gdzie czekały już na nią dwie pozostałe.

- No jak? - spytała. - Macie?

Majeranek zaprezentowała zdobycz. Srebrzystą kulkę wielkości orzecha laskowego.

- No. Jesteśmy najlepsze - oświadczyła z dumą Estragon.

- A nie było łatwo. Gdyby nie ten kod do kopiowania, który zwędziłyśmy w zeszłym tygodniu... - pokręciła głową.

- Miałyśmy nosa.

- Należy nam się obiad.

- Ja już jadłam. Dał mi pizzę. - Pieprz uśmiechnęła się marzycielsko. - Pepperoni.

- Miły facet - podsumowała Majeranek. - Teraz znajdziemy kogoś, kto nam odczyta ten twardy dysk.

* * *

Lód w milczeniu smarowała masłem grzanekę. Zrobiła już trzecie podejście do skasowania Jerzemu wspomnień z dzisiejszego wieczoru i jak na razie jedyne, co osiągnęła, to przykry ból głowy. To się zaczynało robić irytujące...

„Irytujące?” - pomyślała. - „Upierdliwe. Koszmarne. Za jakie grzechy?”

- Słucham? - zapytał Jerzy.

Lód w myślach policzyła do dziesięciu.

- Wpadam w paranoję - szepnęła sama do siebie, nakładając na warstwę masła krem czekoladowy.

Jerzy tymczasem wiercił się na kuchennym krześle, wyraźnie uradowany perspektywą poznania tajemnic

miasta. Wojowniczką nie miała serca, żeby powiedzieć mu wprost o swoich zamiarach. Nie mogła pozwolić mu odejść z tą wiedzą. Wpakowałby się w niezłe kłopoty. Wybielenie pamięci wydawało się sposobem, jak znalazł. A tu taki niefart.

- Powiedz mi, proszę - Jerzy przerwał jej rozmyślenia - o co chodzi z tym całym syndykatem?

To jakaś mafia czy co?

- Nie żadna mafia, tylko „ogólnie poważana organizacja dyplomatyczna”. Tak twierdzą - wyjaśniła.

- Ale są mafią? - upewnił się.

- Jaką mafią?! - jęknęła. - Coś ty się tak na mafię uparł? Naoglądałeś się filmów?

- Nie musisz od razu krzyżeć. Dobrze słyszę.

„Masz ci los. Teraz się obraził” - przebiegło jej przez głowę.

- Wcale się nie obrażem - mruknął urażony.

To już nie podchodziło pod objawy paranoi. Jeżeli facet odpowiada na twoje własne myśli, coś jest nie tak. Co, jeśli sam jest jakimś magiem?

„Szpieg syndykatu?” - pomyślała. - „Magna! Teraz to ja chyba przeholowałam z filmami”.

- Słuchaj - powiedziała na głos.

- Jerzy.

- Że co?

- Tak się nazywam. Nie musisz mówić do mnie „hej ty”.

Lód westchnęła. Ta walka była z góry skazana na niepowodzenie. Facet najwyraźniej chciał czuć się doceniony.

- Dobrze, Jerzy. Sytuacja robi się dziwna. Musimy poważnie porozmawiać.

Skinął głową z zapalem.

- Nie o Metatechu, nie o syndykacie, nie o jednoroźcach. I przede wszystkim nie o smoku. Widok jego zawiedzionej miny wcale jej nie pomógł. Starając się przybrać jak najpoważniejszy ton, powiedziała:

- Chodzi o Ciebie.

W jego niebieskich oczach malowało się autentyczne zdumienie.

- ?!

- Zdarzało ci się kiedyś coś nadnaturalnego? No wiesz, coś, co się dzieje bez wytłumaczenia i przyczyny. Spektakularnego.

Jerzy momentalnie pomyślał o zrujnowanym przez tornado gabinecie szefa. Kowalski oskarżył go o całe zamieszanie.

- Nie - odparł, rumieniąc się jak cegła

- Aha! Więc jednak.

- Mówiłem, że nie - postanowił iść w zaparte.

„A jeżeli ta wojowniczką może czytać w myślach?”

W tym momencie mentalna sonda Lodu odbiła się od osłon. Dziewczyna skrzywiła się. Częściowo z irytacji, częściowo z bólu. Nie spodziewała się, że na drodze jej myśli wyrośnie chiński mur.

- Dobra! - Z trudem zapanowała nad nerwami. - Spróbujemy inaczej. Myślałeś kiedyś o byciu magiem?

Jerzy zakrztusił się herbatą. Wojowniczką uśmiechnęła się z tryumfem i odgryzła kęs swojej grzanki. Łzy stanęły jej w oczach. Po dłuższej chwili kasłania i prychnania zdołała wypluć świństwo. Musiała przez całą rozmowę sukcesywnie wzbogacać kanapkę o nowe składniki. Masło orzechowe, czekolada, musztarda, ser, miód i szprotki. Parskając z obrzydzeniem, wyrzuciła resztę ohydztwa do śmieci. Wtedy jej uwagę zwrócił dziwny dźwięk. Jerzy siedział na podłodze i rechotał. Tego już było za wiele.

- Wszyscy magowie są tacy sami do jasnej cholery!

* * *

Szacowny był zmęczony. Tak jak mogą być zmęczeni ci, którzy nie śpiąc, w każdej chwili spodziewają się ataku. Minęła już prawie doba, odkąd ta przekłeta wojowniczką prawie go namierzyła. Jeszcze trochę, a miałyby go na widelcu. Niespodziewane zamieszanie w energii było jak cud. Zmusiło ją do odwrotu, dając rannemu smokowi trochę czasu na przygotowania. Tylko czemu to „trochę” zmieniło się w całą noc i dzień? Czyżby planowała coś specjalnego?

Czy tak wygląda upokorzenie? Kim jest smok, który nie może spać ze strachu przed człowiekiem?!

Stęknął, przewracając się na drugi bok. Używając smoczycich zaklęć, zdołał doprowadzić się do stanu względnej używalności. Jednak ciągła czujność wyczerpywała go psychicznie. Znowu poczuł się staro. W latach świetności swojej rasy wezwałyby na pomoc swoich braci i to blade ludzkie stworzenie przerobiłby na średnio wysmażony podwieczorek. Niestety, większość szlachetnych gadów została wybita dawno temu, inne, pogrążone w letargu, czekały na lepsze jutro. Został sam! Wśród wrogów, którzy powinni być jedynie ofiarami.

W jego sercu budziła się wściekłość. Już on im pokaże! Władcą miasta jest ten, kto obróci je w popiół i utopi we krwi! Przywołał w pamięci dawno zapomniane zaklęcie. Pazurem podważył jedną ze lśniących łusek na piersi i, krzywiąc się, wyrwał ją z miejsca. Czar, którego zamierzał użyć, był niebezpieczny, ale nie widział innej drogi. Jeżeli dzięki temu Warszawa ma się stać jego stolicą, warto poświęcić cokolwiek. Nawet część samego siebie. Złocista łuska opadła na ziemię, brzęcząc jak metal. Pazur zagłębił się w ciele. Nie ukazała się ani jedna kropla krwi. Za to w skórze powstał niewielki otwór.

Wystarczy. Czas zacząć.

Znał na pamięć strukturę tego czaru. Tysiąc razy rozpoczynał go i nie kończył z obawy przed konsekwencjami. Ale tym razem po prostu nie miał nic do stracenia.

Nie potrzebował wiele czasu. Kiedy już ułożył energię, sama komenda była krótka, zaledwie trzy słowa „Przybądź i wejdź”.

Zadziało.

Na sekundę przed Szacownym pojawił się mglisty cień, po czym w mgnieniu oka zniknął w otworze, w miejscu, gdzie brakowało łuski.

- To już? - zdziwił się smok. - Po wszystkim? Żadnego przyływu mocy? Światła i huk? A jeśli nie zadziało?

- *Zadziało, przecież się zmieniłeś.* - odpowiedział szeleszczący głos w jego głowie.

Rzeczywiście. Smok czuł się jakoś inaczej. „Zmieniony” to dobre określenie. Jakby lżejszy i bardziej wypoczęty.

- Więc przybyłeś?

- *Na twoje rozkazy, szlachetny* - odpowiedział sam sobie.

- Kim jesteś? Co możesz mi zaoferować? Jakiej żądasz ceny?

- Ile kłopotliwych pytań...- Zaśmiał się. - Jestem sprzymierzeńcem i to ci powinno wystarczyć, o potężny. Ofiaruję ci to, czego tak pragniesz. Krew, miasto, zemstę, władzę. Wszystko, po co sięgniesz, a cena... cóż. O niej pogadamy w swoim czasie.

- Jak zamierzasz mi to wszystko zapewnić, stworze w mojej głowie? Zmienisz mnie w najpotężniejszą istotę na ziemi, żebym pokonał swoich wrogów?

Szacowny czuł, że coś w nim nie pasuje. Coś uwiera; nie ciało, lecz myśli. Jak złe przeczucie. Zdławił jednak niepokój w sercu. Teraz nie mógł się wycofać, było za późno.

- *Nie jestem głosem w twojej głowie, o niezwykły* - szept obcej istoty wydobywał się z jego własnych ust. - *Tkwię w twojej duszy. Jestem teraz tobą. I już cię w nią przemieniłem. Spójrz.*

Szacowny odwrócił się powoli. Naprzeciwko niego stało lustro w kosztownych ramach, jeden ze skarbów pozostałych po ostatnim tutejszym smoku. Spojrzał w nie i przerażenie odebrało mu głos. Z kryształowej tafli patrzył na niego człowiek.

Kilkanaście minut później stwór wyjaśniał, a Szacowny usiłował zrozumieć jego słowa. Był starym smokiem, przebiegłym i naprawdę doświadczonym, jednak pomysły jego nowego towarzysza wydawały mu się nie do pojęcia. Istota z wnętrza jego duszy mówiła o władzy, jaką daje oszustwo, o sile ukrytej w niepozorności. Przekonywała, że w tym mizernym, miękkim ciele Szacowny dokona tego, co nie udało mu się, kiedy był sobą. Zdobędzie miasto tylko dla siebie. Te słowa brzmiały dla smoka jak stek bzdur. Mimo to nie mógł powstrzymać odruchowego oblizywania się na myśl o palonym ludzkim mięsie. Nie ważne, jak tego dokona, Warszawa musi zniknąć z powierzchni ziemi. W spektakularny sposób.

Owszem, były pewne luki, punkty niezgodnione, jak na przykład kwestia ceny. Szacowny zbył je milczeniem. Nic nie było zbyt drogie, jeśli w grę wchodził honor, zwycięstwo i zemsta.

„Tak”. - Uśmiechnął się, widząc oczyma duszy tego małego szczura Artezjana zdychającego wśród gruzów własnej wieży. Zdecydowanie warto się poświęcić dla podobnych widoków. A stwór obiecywał tak wiele.

- Więc nie zobaczą mnie ich czujki?
- *Zobaczą, ale nie rozpoznają, o potężny.*
- Jak to możliwe? Jestem smokiem.

- *Nie, o płomienny. Teraz jesteś człowiekiem, jednym z nich. Miasto przyjmie cię tak, jak przyjmuje wszystkich ludzi. Będiesz niewidzialny jak śmierć w domu. Jak oni.*

- *Kiedy pokonam wrogów, odzyskam własną postać?*

- *Nie, o niepokonany. Twój nowy wygląd jest częścią ceny, którą zapłacisz za moje usługi.*

Szacowny zaniepokoił się. Miałby pozostać robakiem przez resztę życia? On, który był najdostojniejszą istotą świata?

- *Nie uprzedziłeś mnie o tym, stworze! - Chciał ryknąć, lecz z jego ust wydobył się zaledwie krzyk.*

Smok po raz pierwszy, odkąd obudził się z letargu, poczuł się przestraszony. W jego głowie coś poruszyło się gwałtownie. Przybysz zachichotał.

- *Chciałeś być zły, potężny. Chciałeś zniszczyć wrogów. Nie pragnąłeś być piękny.*

- *Skąd wiesz, czego chciałem?! Jesteś tylko cieniem!*

- *Mylisz się - wysyczały jego własne usta. - Jestem tobą. Mam twoją siłę, twoją magię. Wszystko, co należało do ciebie, jest teraz moje. Taka jest cena.*

Przez organizm Szacownego przetoczyła się fala bólu. Padł na ziemię, jęcząc i szlochając. Nigdy przedtem, w całym życiu nie czuł się taki upokorzony. Więc taka jest słabość tych stworzeń. Łatwo sprawić, żeby skowyczały o litość

- *Już rozumiesz? - zapytał sam siebie. - Możesz być tym, który cierpi, albo tym, który cierpienie zadaje. Zdecyduj. Teraz!*

Nie był głupcem. Dokonał właściwego wyboru.

- *Jak jest twój plan? - zapytał.*

I otrzymał wyczerpującą odpowiedź.

* * *

- Ułaaaaaaa - ziewnęła zaspana dziewczyna, otwierając balkon.

Była drobna i szczupła. Krótko obcięte czarne włosy były w kompletnym nieładzie.

- Czy wyście zwariowały? Dobijać się tak do okna w środku nocy? - zapytała z wyrzutem.

- Zawsze chodzimy w nocy - przypomniała Majeranek.

- Jesteśmy harpiami - dodała Estragon.

- Na dole jest dzwonek - odparła gospodyni. - Takie coś, co się naciska i ja wam wtedy otwieram.

- Nie mów? - odcięła się Pieprz. - Ważna sprawa, Kasandro.

- Mowy nie ma.

- Ale prosimy...

- Mówiłam przecież. - Spojrzała w trzy pary smutnych oczu. - To się nazywa terroryzm.

- Miau?

- O żeby was tak pokręciło! Właźcie. Daję wam pięć minut!

Łowczynie momentalnie znalazły się w środku. Kasandra wzruszyła ramionami; jak się już raz zawarło znajomość z tą trójką, miało się przerąbane na całe życie. Nocna praca jest dobra dla włamywaczy, nie dla czytających. Ziewnęła raz jeszcze i zapaliła światło. Harpie skrzywiły się.

- No co? Muszę mieć światło, inaczej nic nie zobaczę. - Wskazała na swoje oczy, osłonięte perłową błoną. - Co tym razem macie?

Majeranek wyjęła z woreczka lśniącą kulkę. Na jej widok Kasandra gwizdnęła przeciągle.

- Dysk z Metatechu. Jak wam się udało?

- Nieważne. - Zniecierpliwiła się Pieprz. - Musimy go jak najszybciej odczytać. Odpalaj czytnik.

- A magiczne słowo? - Uśmiechnęła się złośliwie.

- Proszę - bąknęła harpia.
- Nie słyszałam.
- Prosimy - tym razem odpowiedział jej chór trzech głosów.

Gospodyni umiała postawić na swoim. Zawsze. W końcu była najlepsza.

„I jedyna dość narwana, żeby nielegalnie odczytywać dane podwędzone tym jajogłowym” - dodała w duchu.

Łowczynie z zapałem pokiwały głowami.

Kasandra westchnęła ciężko i zrezygnowana wyciągnęła z szuflady kryształową kulę.

- Dobra, jedziemy z tym koksem.

Kulę rozjaśniło wewnętrzne światło.

- Dysk - zażądała.

Już po chwili srebrna kulka wisiała nad czytnikiem w smudze błękitnego światła.

- No dalej, mała - szepnęła Kasandra, układając energetyczne ścieżki dostępu.

Oślony na oczach rozsunęły się, ukazując mieniące się tęczowo źrenice. Utkwiła wzrok w kuli.

- Włączcie mi drukarkę - zakomenderowała.

Dziesięć minut później zadowolone futrzaki opuszczały posesję.

- Dobra Pieprz, co teraz? Gdzie idziemy? - zapytała Estragon, potrząsając torbą pełną map energii (dysk zostawiły jako zapłatę).

Ta wzruszyła ramionami.

- A gdzie niby? Do domu naszego maga. Przydałoby się to wszystko rozłożyć i porządnie obejrzeć.

- Zjeść coś... - rozmarzyła się Majeranek. - No co? - zachnęła się, widząc karcące spojrzenie Pieprz. - Niektórzy nie dostali dziś pizzy na drugie śniadanie.

Estragon zachichotała.

* * *

Artezjan śnił o gołębiach. Startowały z brukowanego rynku i leciały prosto do słońca. Miasto było spokojne i nie działo się w nim nic ciekawego. Ludzie na ulicach poruszali się sennie i w absolutnej ciszy. Każdy obywatel spowity był w swoją zwyczajną szarą aureę, rozświetloną promieniami słońca. Czerwonozłota energia kwiatów unosiła się nad klombami, kontrastując z żywozielonym blaskiem młodych liści. Mag siedział nad brzegiem Wisły i rzucał kamienie do wody. Na jej powierzchni bardzo powoli tworzyły się koła, które, zamiast zniknąć, przenosiły się w powietrze i odlatywały ku niebu. Gołębie przefruwały przez nie, pozostawiając ślady fal w podmuchach wiatru.

Nagle mag poczuł, jak coś ciężkiego spada na niego z wysoka i przygniata do ziemi, odbierając mu oddech. Spróbował się uwolnić, ale nie był w stanie wyplątać się z uścisku. W swoim umyśle słyszał wzywający go głos. Nie miał pojęcia, czego od niego chcą, nie rozumiał ani jednego słowa. Wreszcie zdesperowany, spróbował się obudzić.

Udało mu się. Głos jednak nie zniknął; przybrał nawet na sile. Za to słowa zaczęły nabierać sensu, w końcu zaś ułożyły się w zdanie.

- No obudź się wreszcie! Kurczę, ale twarda sztuka!

Nie podnosząc powiek, spróbował rozpoznać mówiącego. Kobieta. To połowa sukcesu. Teraz: skąd się tu wzięła?

W tym momencie właścicielka głosu najwyraźniej straciła cierpliwość, bo gwałtownie podskoczyła na łóżku. Całkowicie już wybudzony Artezjan otworzył oczy. Nad nim pochylała się Pieprz.

- Jest! Znowu wśród żywych! - Ucieszyła się, a w ciemnościach zabłysł komplet ostrych jak sztylety zębów.

Ktoś inny wpadłby na pewno w panikę, widząc tuż po przebudzeniu uśmiechniętą harpię. Ale nie on.

Pieprz wyszczerzyła się bardziej.

- Czego chcesz, nocna zjawo?- wymamrotał.

Futrzaste uszy poruszyły się w tył i w przód. Harpia analizowała wypowiedź.

- Chyba się jeszcze nie obudził - stwierdziła i jeszcze raz podskoczyła na materacu.

Artezjan skapitulował.

- Nie śpię już. Naprawdę - dodał, widząc pełne sceptycyzmu spojrzenie futrzaka.

- Świetnie! Możesz nas pochwalić. - Uśmiechnęła się z dumą.

- Chwila, co się stało? - W głosie maga zabrzmiała autentyczna groza. - Chyba nie narozrabialiście czegoś na mieście?

Harpia skrzywiła się.

- W ogóle nie da się z tobą gadać. To oczywiste, że nie. Wtedy należałaby się reprimenda.

Artezjan nie znał się na harpiach, ale spędził wiele czasu, szkoląc się w dyplomacji.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Nie obudziłem się całkiem i nie od razu zrozumiałem, o co chodzi. Rzecz jasna spisałyście się doskonale.

Pieprz, zadowolona z jego reakcji, podskoczyła z entuzjazmem i podała mu plik papierów.

Pstryknięciem palcami uruchomił czar przenikania ciemności i spojrzał. Były to mapy. Przedstawiały energetyczny obraz fragmentów miasta. I każda miała w lewym dolnym rogu podpis „obraz głębokiego pasma, wyłącznie do dyspozycji pracowników”.

Gwizdnął przeciągle. Oto miał w ręku wydruki ściśle tajnych odczytów z czujek Metatechu. Zaserwowane mu do

samego łóżka. Jednak te futrzaki są niesamowite.

Pieprz najwyraźniej podzielała to zdanie, ponieważ przysunęła się i szturchnęła go łokciem.

Tak, wiedział, co powinien teraz zrobić. Wyciągnął rękę i podrapał ją za uchem.

W mroku rozległo się mruczenie.

Jednak Pieprz nie było dane nacieszyć się zasłużoną nagrodą. Do sypialni weszła Estragon i zdecydowanym krokiem zbliżyła się do łóżka.

Pieprz zjeżyła się znienacka i skoczyła w jej kierunku. Estragon fuknęła ze złością i wysunęła pazury. Po chwili obie kotłowały się na podłodze do wtóru wrzasków, prychnięć i wściekłych pomruków. Walczące harpie zlały się w kłęb białego futra. Trysnęła krew.

Walka nie trwała długo. Po kilkunastu sekundach obie siedziały na dywanie, ramię przy ramieniu i zajmowały się swoimi ranami. Pieprz oblizywała poszarpaną rękę, a Estragon z zapalem czyściła sobie ucho.

Artezjana zamurowało. Jednak nie dał tego po sobie znać. Wziął wdech, policzył do dziesięciu i powiedział:

- Chodźcie tu. Trzeba coś zrobić z tymi ranami.

Futrzaki westchnęły z ulgą. Wyglądało na to, że mag jest rozsądny i nie będzie zadawał pytań. Posłusznie ustawiły się do leczenia, jednak Estragon zachowała troszeczkę większy dystans. Na szczęście pierwsza magiczna pomoc wchodziła w standardowy zakres umiejętności magów. Nie potrafili sprawić, żeby kończyny cudownie odrastały, ale ekspresowe zagojenie kilku ran drapanych nie stanowiło wielkiego wyzwania. Kilka minut załatwiło sprawę, obie harpie były jak nowe.

Artezjan jako doświadczony dyplomata wiedział, że istnieją sprawy, o których nie należy dyskutować. Zmienił więc temat i zapytał:

- Przeglądaliście te mapki?

- Nie było czasu - odpowiedziała Pieprz, czyszcząc futro z krzepnącej krwi.

- W takim razie chodźmy do kuchni i rozłóżmy je na stole. Weźmiecie sobie coś do przegryzienia...

- To jest pomysł - przyznała Estragon. - Idziemy?

- Jasne - Pieprz i Artezjan odezwali się równocześnie.

W kuchni spotkali Majeranek zmagającą się ze złośliwym opakowaniem żółtego sera. Pomrukując z niezadowoleniem, wydłubywała kawałki papieru oddzielające plasterki i miała zde gustowaną minę. Pieprz szturchnęła ją łokciem. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, po czym Majeranek odsunęła się kawałeczek.

„O cokolwiek by poszło, Pieprz jest zwycięzcą” - pomyślał mag. - „Te harpie. Niezrozumiałe”.

Cała czwórka skupiła się na mapach. Były potwornie kolorowe i pełne skomplikowanych oznaczeń. Artezjanowi udało się wyłapać kilka map zawierających istotne informacje. Ułożył je obok siebie i przyglądał się im badawczo. Łowczynie, stłoczone z tyłu, zaglądały mu przez ramię.

- Interesujące - mruknął. - Ciekawy rozkład miejsc. Spójrzcie.

Pstryknął palcami. Nad stołem wyświetlił się plan Warszawy. Mag zaznaczył na nim kilka świecących kółek i połączył je liniami. Futrzaki pokiwały głowami z uprzejmym niezrozumieniem. Artezjan spojrział na nie i westchnął ciężko.

- No dobrze. Już tłumaczę. Każde koło to miejsce wystąpienia anomalii. W środku tych okręgów tkwiło źródło. Zastanawiam się, co łączy te wszystkie miejsca.

- Co tu jest? - Pieprz wskazała palcem największy obszar.

- Szpital na Szaserów.

- A tu? - Majeranek zwróciła uwagę na najmniejszy.

- Dworzec Śródmieście. Uprzedzając pytanie, średni to siedziba jakiejś prywatnej firmy. Nie mam pojęcia, co łączy te obiekty. Rozumiem szpital i dworzec. Pełno tam ludzi, może coś reaguje na ich obecność, ale to trzecie nie pasuje do schematu. Trzeba by zrobić wizję lokalną.

Łowczyńnię już były przy drzwiach. Powstrzymał je głos maga.

- Czekaście.

Popatrzyły zdziwione.

- Tu trzeba kogoś, kto wypyta ludzi, nie zwracając na siebie uwagi. Kogoś o ludzkiej postaci. I myślę, że znam jedną znudzoną osobę, która chętnie się tym zajmie. Oczywiście rano.

- Dobranoc paniom - dodał, wychodząc z kuchni.

Pieprz natychmiast ruszyła za nim.

* * *

Lód ziewnęła przeciągle. Jeden niedorobiony mag sprawił więcej kłopotu niż smok. Samo zapędzenie Jerzego do spania okazało się walką z wiatrakami. Musiała obiecać, że jutro wszystko mu wyjaśni.

- Jak dziecko. Nie zaśnie bez bajki. - mruknęła pod nosem. - Ci magowie...

Poprawiła poduszkę i przewróciła się na lewy bok.

- A jak coś narozrabia przez noc? Nieee... - Uspokoila się.

Dała mu przecież środek nasenny.

- Naprawdę nie ma się czym przejmować - wymruczała i zasnęła.

Tymczasem Jerzy wypróbował już wszystkie możliwe pozycje do spania.

- Jak tu można zasnąć? - jęknął, przykrywając głowę poduszką.

Materac kłuł go w plecy, latarnia za oknem świeciła po oczach, a w pokoju było duszno. Na dodatek ulicą co chwilę przejeżdżały jakieś samochody.

- Co ze mnie za mag?! Chcę tylko zasnąć- rozzłościł się.
- Muszę się wreszcie odprężyć.

Rozluźnił mięśnie, starając się nie myśleć o niewygodach. Zadziało, świat dookoła ucichł, blask przygasł. Jerzy odpłynął w sen.

Lód otworzyła oczy i zobaczyła ciemność. Namacała przycisk lampki nocnej, ale ta nie zadziałała.

„Podczerwień” - zakomenderowała w myślach.

Nic się nie stało.

„Radiolokacja”.

Znów nic.

„Energowizja”.

Kolejna komenda zawiodła.

- Cholera! Co jest? - zakląła, a mrok pochłoniął jej słowa.

Wzięła głęboki wdech i sprawdziła osobiste czujniki. Fizycznie wszystko w porządku, a jednak... Ciemność była gęsta i lepka jak miód. Kolejna anomalia? Jerzy, jak się obudzi, będzie przerażony. Przełknęła ślinę. Diabli wiedzą, co potrafi spanikowany mag. Wstała z łóżka i, powoli posuwając się wzdłuż ścian, dotarła do wyjścia. Na korytarzu obita się o kilka mebli.

- Ile tu było stopni? Cztery?

Wylądowała na ziemi, rozbijając sobie kolano. Wreszcie dotarła do drzwi i ruszyła przez pokój. Oleista czern zdawała się owijać ją jak kokon i dostawać się do płuc. Wreszcie jej dłoń trafiła na coś miękkiego. Naciśnięte zafalowało.

- Ki diabeł? - jęknęła.

Czujki dały znać, że to przedmiot wypełniony cieczą. Coś na nim leżało.

- Człowiek?

Lód dotknęła tego wyciągniętą ręką i zarumieniła się w ciemności.

- Zdecydowanie człowiek - uznała. - Pod warunkiem, że mężczyźni to też ludzie.

Uśmiechnęła się do siebie uspokojona.

- Teraz trzeba królewicza obudzić. - Potrząsnęła nim lekko.

Zwinął się w kłębek. Spróbowała mocniej.

Przewrócił się na drugi bok. Odnalazła więc jego umysł i weszła w sen. Były tam kwitnące drzewa i kolorowe ptaki. Słońce przypiekało mocno, a ona sama miała na sobie kąpielowy ręcznik. Podejrzanie natychmiast przebiegło jej przez głowę.

Policzyła do dziesięciu. Zebrała wszystkie siły i wrzasnęła na cały głos.

- JERZY!!! OBUDŹ SIĘ!!!

Świat marzeń zawirował i zniknął. Lód stała w samej bieliźnie w sypialni, nad wodnym łóżkiem i patrzyła, jak Jerzy przeciera oczy. Zamrugwała. Światło i dźwięk powróciły.

- Czemu mnie budzisz? - wymruczał Jerzy. - Miałem taki piękny sen.

- Jasne. Widziałam.

- Byłaś w moim śnie?

- Aha... pamiętasz może, co miałam na sobie?

- Więcej niż teraz - odparł Jerzy, rumieniąc się.

Pochyliła się nad nim.

- Jeżeli ręcznik nazywasz czymś więcej. Śniłeś już kiedyś o mnie w ręczniku?

- Czego ty ode mnie chcesz? - zaniepokojony podciągnął kołdrę pod szyję.

- Odpowiadaj - syknęła Lód i nie wyglądało na to, że mu odpuści.

- Tylko raz. W szpitalu.

Wojownicze opadły ręce. Daty się zgadzały. Incydent w powietrzu mógł być jego sprawką. Usiadła obok niego, łóżko zafalowało. Wskazała je palcem.

- Kiedy zasypiałeś już takie było?

Jerzy poczuł się bezpieczniejszy. Nareszcie pytanie bez podtekstów.

- Zdecydowanie nie. Materac kłuł mnie w plecy. Próbowałem to zignorować.

- I tak dobrze ci to wyszło, że przerobiłeś go z siennika na wodny.

Spojrzał z niedowierzaniem.

- Starąłem się tylko zasnąć.

- Jesteś magiem, do grzyba! - Zdenerwowała się. - Większość twoich marzeń będzie się spełniać, dopóki nad tym nie zapanujesz.

- Czemu się tak złościysz? Nic nie zrobiłem.

- No nie wiem - mruknęła. - Coś wieczorem przeszkadzało ci w zaśnięciu?

- Światło latarni i jakieś hałasy za oknem. Nic więcej.

- Niech zgadnę... - ciągnęła dalej pełna złych przeczuć - Też spróbowałeś je zignorować?

- Właściwie tak. Czy coś się stało?

Spojrzała mu w oczy. Ich wyraz był rozbijający. „To będzie jak kopnięcie szczeniaka” - pomyślała i dodała na głos:

- Wyłączyłeś wizję i fonię całej okolicy. Dotarłam tu po omacku.

Jego wzrok padł na wielki siniec na jej kolanie. Spuścił głowę.

- Przepraszam - szepnął. - Zaraz się wyniosę.

Za oknem zaczęło padać.

Lód poczuła nagłe wyrzuty sumienia. Gdyby puściła go samopas, zabiłby siebie albo zrobił komuś krzywdę.

- Przecież cię nie wyrzucam.

- Ale...

- Słuchaj - wzięła go za rękę - nic się nie stało. Na przyszłość będziesz bardziej uważał.

Szuuuuuuu...

Rozległ się dźwięk rozwijanego ekranu.

- Przepraszam, jeśli przeszkodziłem...

Artezjan nie miał w zwyczaju pozwalać pracownikom na poranne lenistwo. Lód odruchowo puściła dłoń Jerzego.

- Nie sir.

- Doskonale. - Uśmiechnął się lekko. - Mam dla ciebie pracę.

- Tak, sir.

- Instrukcje masz w kopercie na stole. Nie musisz się spieszyć z ubieraniem - dodał wyrozumiałym tonem.

Wojowniczką nie miała siły się spierać.

- Oczywiście, sir.

- W takim razie do widzenia.

Nagle dostrzegła interesujący szczegół. Intuicja nigdy jeszcze jej nie zawiodła.

- Sir?

Artezjan uniósł brwi.

- Jakiś biały kłębek przyczepił się panu do płaszcza.

Jego twarz nie wyrażała niczego. Chyba trafiła w sedno.

- Dziękuję, Lód - odpowiedział, zdejmując kłębek, i zwinął ekran.

- Ciekawe, co tym razem? - westchnęła.

Zauważyła minę Jerzego. Szykował się do zadania kolejnych kłopotliwych pytań.

- Reszta wyjaśnień przy śniadaniu. W szafie masz coś, co powinno pasować.

Zabrała kopertę z poleceniem i wróciła do siebie.

Rozdział IV

Szacowny niecierpliwił się. Pokój w luksusowym hotelu i dobrze wypieczony stek na śniadanie nie zdołały złagodzić jego głodu zemsty. W dodatku jeden z tych parszywych ludzkich wynalazków omal go wczoraj nie zabił.

- Jak oni mogą pić to świństwo? - stęknął, mrużąc oczy
W pokoju było zdecydowanie za jasno. I za głośno.

- *To była brandy, o wszechmocny. Jeden z droższych napojów. Nie należy z nim jednak przesadzać, mój panie.*

- Mów, co chcesz, stworze! - warknął smok, krzywiąc się. - Głowa mi pęka! Nie mogłeś mnie uprzedzić?

- Pragniesz się upodobnić do ludzi, o najwyższy, a ludzie uczą się na błędach.

- Nigdy nie będę człowiekiem! - krzyknął sam do siebie i poczuł, że jakaś niewidzialna siła ścisła mu trzewia.

Niedawno zjedzony posiłek znalazł się na dywanie. Szacowny czuł się chory i upokorzony.

Stwór zachichotał jego własnymi wargami.

- *Wybacz, o wspianiały, ale nauka nie może obyć się bez odrobiny bólu.*

- Powiniennem już zmiażdżyć te robaki! Dlaczego mnie powstrzymujesz? Każesz mi się uczyć bycia jednym z nich?

- *Ponieważ, o świetlisty, kiedy już to uczynisz, będziesz musiał żyć ze mną. Wolę, żeby mój nosiciel nie odcinał się od tłumu.*

Podejrzanie zakiełkowało w głowie smoka.

- Kiedy z nimi skończę, nie będziesz miał tłumu. Spalę ich wszystkich. Pamiętasz?

Przez chwilę stwór nie odpowiadał.

- *Oczywiście, mój panie. Zrobisz, jak zechcesz - syknął. - A teraz wskazane byłoby wezwać obsługę, aby tu*

posprzątała.

Szacowny poczuł, że się rumieni. Kolejna pożałowania godna ludzka reakcja. Było mu wstyd pokazać przed kimkolwiek dowód swojej słabości. Sam mógłby usunąć ślady. Jednak głos w głowie zakazał mu używać magii poza konieczną potrzebą. „Zakazał?” - poprawił się w myślach. - *Doradził...*

* * *

Rozmowa przy śniadaniu wiele wyjaśniła obu stronom.

- Wychodzi na to, że nie musimy nigdzie jechać - mruknął Jerzy, wbijając wzrok w dywan.

Wojownicze opadły ręce. Przestało być zabawnie. We wszystkich miejscach, które Artezjan polecił jej zbadać, kręcił się kiedyś Jerzy. I w dodatku nie bezproduktywnie. Jego ślad znaczyła seria niewielkich, lecz spektakularnych katastrof.

- Możliwe, że to ty jesteś przyczyną anomalii w mieście - starała się ująć to dyplomatycznie.

Jerzy naburmuszył się, ale nie odpowiedział.

- Liczymy - zarządziła wojowniczka. - Bełkocząca baba w pociągu to raz. Czyli na Śródmieście już się nie wybieramy.

- Nie chciałem jej nic zrobić. Bardzo mi przykro.

- Wściekłe tornado w wersji mini to dwa. Budynek Intercla odpada z listy.

- Mówiłem już, nie chciałem.

- Podejrzanie lokalna letnia burza w środku zimy to trzy. Szpitala na Szaserów też nie musimy odwiedzać.

- Czego ty ode mnie chcesz?! - Zdenerwował się. - Nie zrobiłem tego specjalnie!

- Wiem, do kroćset! Ale to niewiele zmienia. I tak będę cię musiała pokazać szefowi.

Słowo „szef” spowodowało, że wyobraźnia Jerzego podsunęła mu nieprzyjemny obraz klasycznej dywanikowej rozmowy.

- Nie dałoby się jakoś inaczej? - poprosił. - To się więcej nie powtórzy.

- Daj spokój. - Lód nie wiedziała, jakich argumentów użyć. - Przecież cię nie zje.

- Wcale się nie boję. Po prostu nie lubię dyrektorów i innych takich...

- No to masz pecha, bo Artezjan to typowy prezes. - Lód za późno zorientowała się, że to wcale nie uspokoi wystraszonego maga.

- Nigdzie nie idę - oświadczył. - Nie złamałem prawa.

- No i dobrze, bo nie zabieram cię na policję. Tylko cię obejrzy.

- Nie chcę, żeby mnie oglądał.

W tym momencie wojowniczką poczuła, jak kilka silnych strumieni energii wbija się w ziemię wokół Jerzego. Wyglądał teraz jak ludzka kotwica.

- Nie bądź dzieckiem. Jesteś magiem, więc syndykat musi cię zarejestrować.

Nie odpowiedział, ale jego energia lekko osłabła.

- Dostaniesz papiery i będę mogła ci wszystko legalnie wytłumaczyć.

Kotwice puściły. Lód odetchnęła z ulgą.

- Zaraz cię umówię. - Rozwinęła ekran i wybrała ścieżkę dostępu.

Sekundę później w oknie kontaktu ukazała się twarz Aurory.

- Dzień dobry pani. Czym mogę służyć? - zapytała sekretarka.

Jej mina wskazywała, że widok wojownicy niespecjalnie ją cieszy. Jerzego zupełnie zignorowała.

- Pragnę umówić się na spotkanie z prezesem.
W sprawie związanej z jego dzisiejszym poleceniem.

Aurora skrzywiła się lekko, ale skinęła głową i odpowiedziała:

- Za dwie godziny ma przerwę w konferencji. Myślę, że znajdzie dla pani kilka minut.

- Dziękuję bardzo.

- Proszę bardzo.

Sekretarka zwinęła ekran.

- No to mamy dwie godziny, żeby cię przyzwoicie ubrać.

- Ucieszyła się Lód.

- Uważam, że moje ubranie jest w porządku. - Mag zbuntował się.

- Jasne. - Nie zamierzała się kłócić. - Ale ja cię ubiorę tak, że będzie perfekcyjne. Jedziemy na zakupy. W sam raz zdążymy.

Zatarła ręce. Jednak zanosilo się na ciekawy dzień.

* * *

Lód gwizdnęła z uznaniem. Efekt zakupów był zdumiewający.

- Warto było wydać forszę!

Jerzy miał inne zdanie.

- Wyglądam jak pingwin! - marudził, bezskutecznie usiłując rozluźnić krawat.

- Musisz odpowiedzialnie wyglądać.

- Ale czuję się jak manekin.

- To jak według ciebie powinieneś tam pójść?! - Zdenerwowała się wojowniczką.

Jerzy zastanowił się.

- Przede wszystkim... - pomyślał - precz z tym krawatem.

Skupił się.

- O nie! - stwierdziła stanowczo Lód. - Tak cię tam nie pokażę!

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Sam zobacz! - Pchnęła go w kierunku lustra. - Tak się ubierał mój poprzedni facet. Miał jakieś osiemset lat na karku.

- Faktycznie, trochę staroświeckie - zgodził się Jerzy. - Ale chyba ładne.

Lód zrozpaczona jęknęła w duchu. Widok Jerzego w czarnej ceremonialnej szacie i pelerynie przywołał wspomnienia dawnych czasów.

- Jasne! - rzuciła. - Jak będziesz chciał porwać księżniczkę i zamknąć ją w wieży, będzie jak znalazł.

Odpędziła od siebie nieprzyzwoitą myśl.

- Zmień to z powrotem - zakomenderowała.

Jerzy skoncentrował się. Teraz przypominał urzędnika syndykatu w eleganckim oficjalnym stroju, ale wciąż... Lód spróbowała nie myśleć o wieżach.

- Niech ci będzie - zgodziła się wreszcie. - Ale oddaj mi ten płaszcz.

* * *

Aż do dzisiaj Piotr Majewski głęboko wierzył, że zwrócenie na siebie uwagi prezesa jest najlepszym sposobem na awans. Trzy liniejące futrzaki błyskawicznie przekonały go, że jest inaczej. Właśnie skończył szcztokować jedną z harpii. Na samą myśl o następnych budziła się w nim histeria.

- Twoja kolej, Estragon - rzuciła Pieprz, zeskakując ze stołu.

W powietrzu zawirowały kłęбки białego futra. Majewski kichnął.

„Jak następnym razem zobaczę na korytarzu tego sadystę, schowam się w ubikacji” - przysiągł w myślach.

Pieprz mruknęła groźnie.

Księgowy skulił się, spłoszony. Zapomniał, że harpie umiały podsłuchiwać myśli. Chwycił szczotkę i zabrał się do roboty.

Nagle łowczynie nadstawiły uszu, w holu rozległy się kroki. Przed otwartymi drzwiami sprężystym krokiem przedelfowała Czerwony Łód, a za nią włókł się zrezygnowany mężczyzna.

- Hmmm? - mruknęła Pieprz.

- Ahaaaa... - potwierdziła Majeranek.

- Co jest? Nie widzę. - Zainteresowała się Estragon.

- Ruda coś przywlekła - wytłumaczyła przywódczyni grupy.

- Niczego sobie to coś...

- Tylko po co ciągnie go do szefa?

- Może chce go rzucić na pożarcie? - zastanowiła się Majeranek.

Przez moment futrzaki rozważały ten scenariusz.

- To trzeba sprawdzić - zdecydowała Pieprz.

- Zaczekajcie! Jeszcze nie skończyłem - krzyknął Majewski, kiedy ogon ostatniej łowczynie zniknął w przewodzie wentylacyjnym.

* * *

Woda w akwarium bulgotała cicho, a złota rybka pływała spokojnie do góry brzuchem. Prezes przyglądał się jej w milczeniu. Rubin w jego opasce pulsował czerwonym blaskiem. Wojowniczką przygotowała się na najgorsze. Artezjan był cholernie pamiętliwy i za dwieście lat będzie wypominał im tę wpadkę.

„Chociaż z drugiej strony - przemknęło jej przez głowę - przynajmniej uwierzył, że Jerzy jest zdolny do wszystkiego”.

- A zatem - rozpoczął Artezjan, jak gdyby nikt przed chwilą nie ugotował mu japońskiego karasia -

zdecydowaliśmy oboje, że najrozsądniej będzie skierować pana na badania. Najlepiej zaraz – powiedział ponurym tonem.

Jerzy skrzywił się, jakby połknął cytrynę. Lód szturchnęła go w bok.

- Tak, sir – odpowiedziała.

- W takim razie nie zatrzymuję was. Specjaliści czekają.

- Uśmiechnął się kwaśno.

- Do widzenia, sir – rzuciła Lód i wyciągnęła Jerzego z pokoju za rękaw, zanim zdążył zareagować na tę złośliwość.

Prezes został sam w swoim gabinecie. Odetchnął głęboko, zdjął z ramienia kłaczek białej sierści i zarządził:

- A teraz wyłaż z wentylacji, obrzydliwy futrzaku.

Odpowiedziała mu cisza. Spróbował więc inaczej.

- Wyłaż najpiękniejszy z futrzaków.

Krata otworu wentylacyjnego otworzyła się bezszelestnie i po chwili na kolanach maga wylądowała uśmiechnięta Pieprz.

- Ładnie to tak podsłuchiwać? – spytał ją z wyrzutem.

- Musiałam sprawdzić, co kot przywłókł do domu – odparła z przekonaniem.

Artezjan westchnął; nie wynaleziono jeszcze sposobu na niepohamowaną ciekawość harpii.

- Jak w takim razie podoba ci się nasz nowy nabytek?

Łowczyni zachichotała.

- Rzadki przypadek. Zdolna bestia.

- Do wszystkiego, jak sądzę – skrzywił się, spoglądając na akwarium. – Ta ryba kosztowała majątek.

- Lubieś ją? – Pieprz przekrzywiła głowę.

- Nie – mruknął mag. – Trzymałem ją dla ozdoby.

- A mnie lubisz? – zapytała, patrząc mu w oczy.

Pytanie wyglądało na poważne. Kompletnie zaskoczony Artezjan przez dłuższą chwilę nie mógł wydusić słowa. „O co może chodzić tej harpii?” – jęknął w myślach.

- No?! - Zjeżyła się. - To jak?

I nagle w dawno nieużywanych zakamarkach jego umysłu zrodziła się odpowiedź. Jak mógł to przeoczyć? Dokonał błyskawicznej analizy swoich odczuć. Może tym razem nie będzie aż tak źle?

- Lubię - odparł zdecydowanie.

Pieprz wyszczerzyła zęby, sięgnęła do akwarium i wydostała rybkę z wrzątku. Artezjan zbaraniał.

- No co? Chcę to jakoś uczcić. Ma się zmarnować?

* * *

Pieprz obudził dziwaczny piszczący sygnał. W półśnie nastawiła uszu, kiedy Artezjan odebrał połączenie.

- Słucham? - rzucił znudzonym głosem i po chwili dodał:

- To nie jest możliwe! - Tym razem w jego słowa wkradł się strach.

Harpia nie otworzyła oczu. Są chwile, kiedy więcej można usłyszeć, niż zobaczyć.

Kobiecy głos po drugiej stronie wyraźnie drżał.

-...sto procent - usłyszała Pieprz. - Mamy tu Czarnego Maga.

Pieprz poczuła jak jeży jej się futro.

- Czy Lód już o tym wie? - spytał Artezjan.

- Nie.

- Dobrze. Nie mów jej.

Wyglądało na to, że idzie o faceta, którego przyprowadziła wojowniczką.

„I on miałby być...?” - Łowczyni wzdrygnęła się na samą myśl. - „Niemożliwe” - pomyślała i skoncentrowała się na rozmowie.

- Co mam robić? - Damski głos drżał coraz mocniej.

Mag wstrzymał oddech i po chwili powiedział zdecydowanym tonem:

- Znasz reguły. Dwa mililitry trydinolu w zastrzyku powinny wystarczyć.

- Wojowniczką nie zrozumie.

- Będzie musiała. Wezwę ją do siebie. Wystarczy ci czasu?

Myśli Pieprz biegły jak błyskawice. Niebezpieczeństwo. Czarny Mag. Trydinol. Śmiertelna trucizna. Lód musi się oddalić. Dość czasu. Na co?

- O cholera! - zakłęta bezdźwięcznie i, nie czekając na koniec rozmowy, połączyła się myślami z Estragon.

-? - odpowiedziało jej pytanie.

- Jest numer dla nas. Znajdziesz gościa od Lodu. W labach. Nikt nie może cię zobaczyć.

- Aha? - Zainteresowała się Estragon.

- Poczekasz, aż Lód wsiądzie do windy.

- No...

- Masz go ukraść.

- Jak? - Harpia nie zrozumiała.

- Szybko i po cichu. Wyjaśnię - obiecała Pieprz.

- Się robi - zgodziła się łowczyni.

Kolejnym połączeniem wyrwała Majeranek ze snu.

- Taaa...- Ziewnęła obudzona.

- Gdziekolwiek jesteś, zrób tak, żeby myśleli, że mają dwie harpie.

- Nabroić za dwie? Spoko. Co knujesz?

- Zobaczysz - szepnęła Pieprz. - Zobaczysz.

Rozłączyła się w sam raz, żeby usłyszeć, jak Artezjan mówi:

- Nie rób tego sama. Zorientuje się, że coś jest nie tak. Zleć komuś, kto nie będzie wiedział, co robi.

Łowczyni skrzywiła się zdegustowana przebiegiem rozmowy. Sprawa mogła być śmierdząca, ale nie aż tak.

- Nie ma mowy! Mój mag nie będzie taką świnią-podsumowała.

* * *

Tymczasem Jerzy siedział w pustym korytarzu z całą masą drzwi i liczył świetlówki na suficie. Przerwał, kiedy zorientował się, że raz policzone gasną. Łód z głową opartą o jego ramię uśmiechała się przez sen. Z krainy marzeń wyrwał ją sygnał kontaktu, ziewnęła i rozwinęła ekran.

- O co chodzi? - spytała zasnana.

- Prezes prosi panią do siebie.

- Czekaemy na wyniki - mruknęła.

- To nie potrwa długo. - Głos Aurory wyrażał potępienie dla wszelakich wymówek.

- Niech mu będzie - stęknęła zrezygnowana. - Już idę.

Wstała i przeciągnęła się jak kot.

- Zaraz wracam - powiedziała do Jerzego. - Chcesz kanapkę z bufetu?

Skinął głową bez przekonania. Właściwie nie czuł się głodny, bardziej zmęczony nadmiarem wrażeń.

- Tylko mi się stąd nie ruszaj. I jeszcze coś... - rzuciła, wchodząc do windy. - Nie narozrabiaj. - Pogroziła mu palcem na odchodnym.

Pozostawiony samemu sobie, zaczął dla odmiany liczyć terakotowe płytki w podłodze. Zanim jednak dziesiąta z nich zmieniła kolor na czerwony, zza zakrętu korytarza wyłoniło się coś dziwnego. Jakby czarny skórzany pejcz z białym pędzelkiem na końcu. Wyraźnie kiwało zachęcająco w jego kierunku. Mag pamiętał, że obiecał grzecznie siedzieć na swoim miejscu, ale w tym białym kłaczku było coś intrygującego.

Podkradł się i po cichutku wyjrzał za róg. Nagle poczuł ukłucie w plecy i ostatnim, co zobaczył, był komplet białych, ostrych zębów na wysokości swojej twarzy.

Estragon rozejrzała się bacznie dookoła, sprawdzając, czy nikt jej nie widział, i pstryknęła palcami.

Po minucie na korytarz wyjrzała młoda dziewczyna w białym fartuchu. Niepewnie objęła spojrzeniem korytarz, jakby nie wiedziała, co robić. Wreszcie zapukała do męskiej toalety. Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, zaniepokojona wbiegła z powrotem do gabinetu.

Tymczasem siedząca w wentylacji harpia zachichotała cicho, oglądając trzymaną w dłoni małą, czarną kulkę.

* * *

Wyjaśnienie kwestii wojownicze okazało się jeszcze trudniejsze, niż sądził. Artezjan starał się, jak mógł, jakoś to złagodzić, odwołać się do logiki, poczucia obowiązku i odpowiedzialności Lodu, ale i tak sytuacja przypominała coś rodem z dramatu obyczajowego z potencjałem na horror. Kiedy ostatnie słowa maga zawisły zmrożone w powietrzu, wojownicza była nie tylko zrozpaczona, ale i niemożliwie wściekła, a przebywanie w jednym pomieszczeniu z wkurzonym Dzieckiem Gwiazdy było jak przepis na samobójstwo. Teoretycznie nie powinna go zaatakować. Teoretycznie... Nerwowo przełknął ślinę.

- Zawiodłam jego zaufanie. - Słowa wojowniczkę były jak ciemność. - Obiecałam przynieść mu kanapkę, wiesz?

Jej drobna dłoń zacisnęła się na blacie. Zatrzeszczało miażdżone drewno.

- To już nieaktualne, prawda? - syknęła i zaatakowała z prędkością błyskawicy.

Pieprz nie mogła pozwolić, żeby w takiej chwili zamordowano jej maga. Niezależnie od tego, jak bardzo pracował na to, żeby zasłużyć sobie na karę. Na szczęście

Lód, zaślepiona złością, nie spodziewała się interwencji harpii.

Łowczyni poderwała się i skoczyła w stronę napastniczki. Żądło na ogonie zalśniło w powietrzu. Zabrakło setnej sekundy. Kiedy Lód ugodzona w ramię osuwała się na dywan, mag już krwawił, trafiony jednym z tych małych, łatwych do ukrycia ostrzy, których nieprzyzwoite liczby Dzieci Gwiazdy zawsze noszą przy sobie. Na szczęście rana była płytka, ale gdyby harpia okazała się nieco wolniejsza, Artezjan na własnej skórze sprawdzałby teraz kwestie życia po śmierci. Pieprz ostrożnie pomogła mu usiąść w fotelu.

- Nic mi nie jest - mruknął i skrzywił się z bólu.

- Aha. - Ruszyła do drzwi. - Zawołam Aurorę.

- Stój!

Podniesiony głos osadził ją w miejscu.

- Im mniej osób wie, tym lepiej - wyjaśnił cicho. - Sami sobie poradzimy.

Spojrzała z powątpiewaniem.

- Co jej zaaplikowałaś? - zapytał rzeczowo.

- Poszła spać na jakieś sześć godzin.

- Dobrze. - Odetchnął z ulgą. - W takim razie schowaj ją do szafy.

Harpia zastrzygła uszami. Idea wydawała się absurdalna.

- No? - Popędził ją Artezjan. - Może jak się obudzi, zacznie myśleć rozsądnie. Do tego czasu nie może rzucać się w oczy.

Łowczyni posłusznie upchnęła śpiącą między segregatorami. Kiedy zamykała drzwi, jej uwagę zwróciły lży ciekące spod zaciśniętych powiek wojowniczkki. W geście współczucia wcisnęła jej pod głowę poduszkę z kanapy.

„Szkoda Rudej” – mruknęła w myślach. – „Swoją drogą, ciekawe, jak poradziła sobie Estragon?”

Wtedy zadzwonił telefon.

Artezjan z przyzwyczajenia sięgnął po słuchawkę lewą ręką i syknął, kiedy poszarpane mięśnie dały o sobie znać.

- Cholera! – zaklął. –

Pieprz usłużnie podała mu słuchawkę i nastawiła uszu.

- Tak? – spytał.

Głos po drugiej stronie zdradzał objawy paniki. Mag zbladł jak ściana.

- Cholera! – zaklął. – Nie! Nic nie rób! Nikogo nie informuj! Sam to załatwię. Tego nie było, rozumiesz?

Słuchawka upadła na podłogę. Artezjan milczał przez dłuższą chwilę, a potem spojrzał w oczy Pieprz i blady jak papier wyszeptał:

- Nie ma go. On uciekł.

Harpia zrobiła współczującą minę.

- Przynajmniej Ruda nie spróbuje drugi raz... – mruknęła cicho.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co może się teraz stać.

- Facet wydawał się niegroźny – powiedziała łowczyni. – No, może z wyjątkiem złotych rybek – dodała po namyśle.

Artezjan, zrezygnowany, pokręcił głową i krzywiąc się z bólu, otworzył szufladę biurka.

Wyjął z niej niewielki przedmiot zapakowany w bordowy aksamit.

- Spójrz na to – powiedział, ostrożnie go odwijając.

Szklana gałązka zaśniła w promieniach jarzeniówki. Pieprz przyjrzała się jej z uwagą i zauważyła gąsienicę wędrującą po jednym z liści. Artysta wykonał ją tak starannie, że widać było poszczególne włoski na jej ciele.

- Piękna – westchnęła.

- Dzieło artysty - odpowiedział cicho Artezjan. W jego głosie brzmiał smutek.

- Kto ją wykonał?

- Czarny mag, siedemdziesiąt pięć lat temu.

Harpia zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Tamtego dnia tak wyglądały wszystkie drzewa w mieście. To był najpiękniejszy widok w moim życiu.

Ostrożnie odłożył gałązkę do szuflady.

- A potem? - spytała Pieprz.

- Okazało się, że mojego miasta już nie ma. Została tylko wielka szklana rzeźba.

- Co z ludźmi? Opuścili je?

Mag spojrział jej w oczy. Nie mogła wiedzieć. Przecież zdecydowali się milczeć.

- Pamiętam ptaki - powiedział. - Spadały z drzew. Szkło było za ciężkie.

Łowczyni nie zadawała więcej pytań. Przez jej głowę przebiegały niepokojące myśli:

„Czy dobrze zrobiliśmy? Ale on nie wyglądał na potwora. Nie mógłby tak...”

Ciszę przerwał Artezjan.

- Boję się, Pieprz - powiedział, wbijając wzrok w podłogę. - Nie ma gorszej zbrodni niż zamordowanie miasta. A to była tylko chwila jego nieuwagi.

Spojrzała na akwarium i pomyślała:

„Co gdyby ten nasz przypadkiem ugotował basen?”

Ta absurdalna myśl otrzeźwiła ją. Nie ratuje się świata, panikując. Znała kogoś, kto może zdecydować, co powinna zrobić. Odnalazła myśli Majeranek i szturchnęła je lekko.

- Co jest? - odpowiedziało jej mentalne ziewnięcie.

- Bierzcie nasz ładunek do Czosnku. Powinna pogadać o nim z Opiekunką.

- Już się robi. - Ucieszyła się Majeranek. - Zaczynałam się nudzić. Wyjaśnisz, o co biega?

- Później - ucięła rozmowę Pieprz i rozłączyła się.

Uspokojona zaczęła wylizywać rany maga. Spojrzał na nią zaskoczony.

- No co? - mruknęła zdziwiona. - Należy ci się pierwsza pomoc.

Artezjan zdrową ręką podrapał ją za uchem.

- Jesteś moim szczęściem w nieszczęściu - powiedział.

W jego dłoni został kłębek białej sierści.

* * *

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Znowu był sobą. Głos w jego głowie zniknął. Jakby otworzył oczy po długim męczącym śnie. Czuł, że jeśli tylko chce, może rozłożyć skrzydła i polecieć w słońce. Co za uczucie. Nareszcie wolny. Tylko czemu stwór odszedł?

- Głupie pytanie! - warknął sam do siebie. - Pokonałem go, wygnałem z mojego umysłu.

Wyciągnął się wygodniej na kanapie i wziął do ręki szklankę. Ludzkie napoje zaczynały mu smakować.

- Może warto побыć jeszcze trochę człowiekiem? - zastanowił się. - Skoro nie ma stwora, mogę zmienić się, kiedy zechcę. Po co przyspieszać bieg spraw?

Włączył telewizor. Na ekranie jedni ludzie strzelali do drugich. Padali i czołgali się. Krwawili i umierali. Szacowny zaśmiał się głośno.

- Wygląda na to, że dobrze się bawią.

Smoki zawsze uważały ludzkie wojny za przejaw głupoty. Gdyby te robaki wiedziały, co płomieniści mogą im zrobić, nie miałyby czasu na takie rozrywki. Musiałyby całe życie poświęcić na strach.

- Strach...- powtórzył szeptem. - Strach. Zabawny pomysł.

Wstał i zatoczył się lekko. Przez chwilę rozważał magiczne odtrucie, ale zrezygnował. Czuł się taki lekki i wolny. Podobał mu się ten stan.

Przed wyjściem założył marynarkę i przyjrzał się sobie w lustrze.

- Nawet jako robak jestem piękny - stwierdził z dumą.

Wychodząc z hotelu, rzucił portierowi banknot.

Przed wejściem czekała już taksówka. Nie pamiętał, kiedy ją zamówił, ale wydawała się na miejscu.

- Pod Pałac Kultury! - rzucił do kierowcy i szeptem dodał: - Już czas na strach.

* * *

Myśli Lodu krążyły wewnątrz snu, obijając się o jego ściany jak owad, który nie może uciec ze słoika. Była wściekła. Odkąd zatrzasnęły się za nią wrota świadomości, przeszła już przez płacz, żal, wyrzuty sumienia. Pozostała tylko złość.

- Zabiję skurwysyna, jak się obudzę! - krzyknęła w przestrzeń.

Odpowiedział jej wyjący wiatr. Dookoła było białe i zimno. Z nieba sypały się lśniące płatki. Załamana, usiadła na ziemi.

- Jak tylko się obudzę... - szepnęła. - Jak tylko się obudzę. Może tamto też było snem?

Skuliła się.

- Nie. - Załamana potrząsnęła głową. - Nie zasłużyłam na zaufanie. Jego ani własne. Zawiodłam.

Jedna pocieszająca myśl przebiegła jej przez głowę.

- On i tak nie miałby normalnego życia. Zamęczyłby się wśród nas.

Za nią przybiegła następna.

- Powinam wyciągnąć wnioski z tego nieszczęścia. Poświęciłam się dla dobra ludzkości.

Dookoła śnieg topniał i rozlewał się w kałuże.

- Kurde! - wrzasnęła w przestrzeń. - Co ja pieprzę?! Chyba mi odbiło! Jak się obudzę, wsadzę Artezjanowi dobro ludzkości głęboko w dupę!

Lodowaty wiatr zmroził powierzchnię wody. Wojowniczką zadrżała.

- Dlaczego moje wnętrze jest takie zimne? - zapytała samą siebie. - Czy już nie umiem okazywać uczuć?

W jej oczach wezbrały łzy.

- Powinna płakać. Mogę. Przecież i tak nikt nie widzi.

Ciepleszy powiew rozpuścił warstewkę lodu na kałużach. W oddali szumiała woda.

Wojowniczką wstała i ruszyła w tamtym kierunku. Łzy padały na ziemię i ożywiały zamrożony grunt. Zatrzymała się nad wielką rwącą rzeką. Brunatne od osadów wody toczyły się z hukiem, omal nie porywając ze sobą mostu. Łód czuła, że musi przez niego przejść, aby rozpocząć nowy etap w życiu. Postawiła stopę na moście i poczuła strach. Mimo to ruszyła i wkrótce dotarła na środek rzeki. Tu napotkała niespodziewaną przeszkodę. Część konstrukcji zapadła się i leżała teraz pod wodą. Droga została zablokowana.

Wojowniczkę zabrakło sił. Padła na kolana i rozpłakała się na dobre.

- Dlaczego moja własna woda stoi mi na drodze? Nawet we śnie nie umiem zbudować mostu! Wiem, że coś jest ze mną nie tak, ale nie umiem nic z tym zrobić. Nie można na mnie polegać! Jestem do niczego i nie umiem okazywać uczuć! Lepiej by było, gdyby ta rzeka mnie pochłonęła.

Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem. Rozwiązanie było takie proste.

Spojrzała na brunatne fale. Na most, którego natura została przełamana. Na swoje ręce, które już nigdy nie

miały pochwycić miecza. Wstała.

- Jeszcze jedna łza. Ostatnia i wszystko się skończy. Rytuał oczyszczenia zostanie zakończony. Wystarczy jeden krok.

Po jej policzku spłynęła słona kropla. Oderwała się od jej skóry i poleciała w dół. Świat zamarł w oczekiwaniu.

Łza zatrzymała się w pół drogi. Zimny wicher zawył dziko. Lód chwyciła wiszący w powietrzu kryształek i schowała go do kieszeni.

- Ty franco! - wysyczała. - Mnie chciałeś złapać na ten płaczliwy kawałek?! Pokaż się!

Nic się nie stało.

- Teraz to nie wyjdiesz, tak? Gorszy niż syfilis. Pieprzony parazyt!

„Gniew. Strach. Ból. Rozpacz. Cierpienie. Nawet tęsknota”.

Słowa nauczycieli ożyły jej w pamięci. Znowu igrała z niebezpieczeństwem.

- Oczyszczenie - zakomenderowała.

Krajobraz się zmienił. Nie było już rzeki, ale lodowa pustynia omiatana śnieżną zawieją. Wojowniczką zeskoczyła z mostu i krocząc po zamrzniętych falach, zdecydowanym krokiem ruszyła do brzegu. Uwięzionemu pod lodem obrzydlistwu nie poświęciła nawet spojrzenia.

Kiedy już dotarła na brzeg, przyszło jej do głowy, że ma przed sobą jakieś sześć godzin tego snu, a głupio by było miotać się tak przez cały czas. Skupiła się i wyśniła sobie leżak i kostium do opalania. Wyciągnęła się wygodnie, przymknęła oczy i pomyślała:

- Ech, szkoda, że nie podają tu drinków.

* * *

W głównej norze futrzaków Czosnek - awatar Wielkiej Opiekunki i duchowa przewodniczka grupy - starała się

zrozumieć, o co chodzi jej łowczyniom.

- Zaraz, zaraz! Po kolei! Czego chcecie?

Kapłanka złapała się na tym, że absolutnie nie rozumie, czego się od niej oczekuje. Majeranek i Estragon mówiły naraz, gestykulując żywo i podskakując z entuzjazmem.

- Za jakie grzechy mam takich podopiecznych? - mruknęła.

Spojrzały na nią z wyrzutem.

- A tak się starałyśmy... - naburmuszyła się Estragon.

- Ryzykowałyśmy - dodała posępnym głosem Majeranek.

- I tak nam odpłacają.

- Dobrze, już dobrze. Bez scen, proszę. Niech jedna powie, o co chodzi.

Obie harpie otworzyły usta.

- Majeranek - wybrała Czosnek.

Wyróżniona w ten sposób, rozpromieniła się i zaczęła:

- Mamy przyczynę anomalii...

- Znacie ją? - upewniła się kapłanka.

- Mamy - sprostowała łowczyni. - Tutaj.

W jej dłoni zabłysła lśniąca czarna kulka. Czosnek przyjrzała się zdobyczy z zaciekawieniem i jęknęła załamana.

- A mówiłam tyle razy! Nie pakować żywych! Kto to teraz otworzy?

Spojrzały na nią dwie pary ufnych oczu.

- Dobra, ale to potrwa parę godzin - ostrzegła.

Estragon i Majeranek skrzywiły się.

- Co znowu?! - Zirytowała się kapłanka.

- Pieprz powiedziała, że powinna to koniecznie obejrzeć Opiekunka.

- I co jeszcze? - fuknęła awatarowa harpia. - Czy Pieprz raczyła może wyjaśnić po co?

Pokręciły głowami.

- Dobrze. Jak tylko rozpakuję przesyłkę, poproszę Opiekunkę o pomoc. Zostańcie w norze, dopóki nie da nam odpowiedzi.

- Tak jest! - Stały na baczność. - Akurat coś zjemy.

Kiedy tylko opuściły kwaterę, Czosnek w skupieniu zabrała się do pracy. Ku jej zaskoczeniu odpakowanie kuli okazało się być dziecinnie proste. Przed nią na białym dywanie zszytym z kawałeczków króliczego futra leżał ubrany na czarno mężczyzna.

- Fiu, fiu! - gwizdnęła. - Niebrzydki nawet. I elegancki. Ciekawe, kto zacz?

Złapała kontakt myślowy z Majeranek.

- Mam go, wpadnijcie.

Odpowiedź łowczyni przypominała mentalny bulgot.

- Myślisz z pełnymi ustami? - zgadła kapłanka.

Po chwili przez jej umysł przebiegło wrażenie przetykania i Majeranek odpowiedziała już wyraźnie:

- Przepraszam. Już lecimy.

Gdy dotarły na miejsce, Czosnek była już gotowa. Siedziała w miękkim skórzanym fotelu, a u jej stóp położony został obiekt zainteresowania. Obok fotela, na odrapanym stoliku do kawy stała zardzewiała klatka. W środku, wrzeszcząc rozpaczliwie, miało się kilka niedużych ptaszków.

- Siadajcie. - Wskazała im miejsca na dywanie. - To może potrwać.

Bez szemrania wykonały polecenie. Znały tę procedurę i niejednokrotnie asystowały przy podobnych rozmowach. Jednak spotkania z Opiekunką stanowiły swego rodzaju hazard. Mogła przybyć w którymkolwiek ze swoich wcieleń - jako łowczyni, matka, kochanka, wojowniczką czy jakiegoś inne rzadziej spotykane cudo. Każde wcielenie wymagało nieco innego nastawienia do sprawy.

- Zaczynamy. - Czosnek zmrużyła oczy, a kiedy je otworzyła, była już inną osobą. Jej srebrzyste futro połyskiwało w świetle lampy, z wyjątkiem rąk, które aż do łokci wymazane były zakrzepłą krwią.

„Wojowniczką” - przemknęło przez myśl Estragon. - „Oj, będzie się działo”.

Jednak Opiekunka nie zrobiła nic. Przyjrzała się tylko krytycznie leżącemu mężczyźnie i prychnęła gniewnie.

- To nie moja działka! Atawi! - zawołała. - Coś dla ciebie! Mag!

Jej futro momentalnie zmieniło kolor na całkiem czarny. Krew zniknęła.

„Atawi?” - Spanikowała w myślach Majeranek. - „Tego wcielenia nie znam”.

Opiekunka zaśmiała się.

- Rzadko można być sobą - rzuciła. - Wstańcie może albo co.

Łowczynie poderwały się natychmiast. Estragon przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Kanarka? Papużkę? Ryżowca?

Atawi z entuzjazmem wsadziła rękę do klatki i schwyciła najbliższego ptaka. Niebieska papuga wrzasnęła dziko i zatrzepotała skrzydłami. Wkrótce jednak ucichła, kiedy harpia w zamyśleniu odgryzła jej główkę.

- No, to co tu macie? - zapytała, wypluwając kilka piórek.

- No, chyba mag... - wymruczała niepewnie Majeranek.

- Uśpiłyśmy go... - dodała Estragon.

- A teraz nie wiecie, co z nim zrobić - domyśliła się Opiekunka, sięgając po następnego ptaka. - Mniem. Kanarek. - Uśmiechnęła się do swoich marzeń.

- No...- Spuściły niepewnie głowy.

- Dobra, zerknijmy... Czarny mag. Rzadkość ostatnio.

Łowczyni zamurowało. Majeranek zakrztusiła się i z trudnością złapała oddech.

- Bez paniki. Wydaje się sympatyczny. Na pewno można go wychować.

- Ale oni są groźni! - jęknęła Estragon.

- To wredni psychopaci! - potwierdziła Majeranek.

- Przesadzacie - mruknęła Atawi, wydłubując spomiędzy zębów obrączkę ornitologiczną. - Ale specjalnie dla was zerknę do jego umysłu. Poznać maga po snach!

Pochyliła się nad leżącym i skupiła na nim spojrzenie.

- Tylko ciiiiiiichoooo... - szepnęła - bo się zorientuje. Zostańcie na zewnątrz.

Harpie pokiwały głowami, ale wślizgnęły się za Opiekunką. Świat przed ich oczyma zafalował i zmienił się.

* * *

Jerzy śnił. Sen zaczął się zwyczajnie, od wizyty w pracy i odebrania bury od szefa. Potem pojawiły się białe kłaczki wirujące w powietrzu, a meblom wyrosły ostre zęby. Jerzy odganiał je biczem i usiłował uciec z biura, zanim go zjedzą. Niestety bicz okazał się być żywym wężem i owinał się wokół niego, sycząc.

Potem przez jakiś czas tonął w nieświadomości, aż wreszcie, gdy się wynurzył, sen zrobił się naprawdę interesujący. Łód na leżaku, w bikini, opalająca się na Antarktydzie. Śnieg topniał na jej skórze i parował z sykiem. Jerzy podał jej drinka z palemką. Spojrzała na niego zaciekawiona. Miał na sobie to samo ubranie, w którym, jak powiedziała, mógłby porywać księżniczki. Sceneria zmieniła się momentalnie. Zamek na skale, nad wzburzonym morzem, mroczna komnata, pochodnie i łóżko z baldachimem zamiast leżaka.

- Całe szczęście - mruknął sam do siebie - że przynajmniej bikini zostało. Szkoda by było teraz ją ubrać.

Lód uśmiechnęła się do niego. Wstała, podeszła bliżej i szepnęła mu do ucha:

- Mówiłam ci, żebyś zdjął ten płaszcz.

Postanowił się nie sprzeczać. Czarna jedwabna peleryna wylądowała na podłodze.

- Coś tu jeszcze jest nie tak - mruknęła wojowniczką z zalotnym uśmiechem. - Ta koszula zdecydowanie nie pasuje. No, od razu lepiej, ale nie do końca.

Jerzy był gotów pozbyć się całej swojej garderoby, żeby tylko uszczęśliwić damę. I kiedy faktycznie niewiele już pozostało do zdjęcia, coś zgrzytnęło.

Lód rozejrzała się podejrzliwie.

- Ja tak nie mogę - stwierdziła. - Ktoś podgląda.

Jerzy rozzłościł się. Ktoś najwyraźniej chciał mu zepsuć taki piękny sen. Nie daruje. W końcu jest magiem, czy nie? Wyobraził sobie coś na kształt fali uderzeniowej, wymiatającej podglądacza ze snu. Najwyraźniej zadziało, bo wojowniczką uspokoiła się.

- Wiesz. Ta tasiemka, strasznie mnie uwiera. Mógłbyś rozwiązać?

Reszta snu rozmyła się, ale nie straciła na uroku.

* * *

Na podłodze świątyni Majeranek i Estragon, tarzając się, usiłowały zgasić płomyki na futrach. Opiekunka klęczała nad magiem i śmiała się na cały głos.

- Nie jest groźny - wykrztusiła wreszcie. - W dodatku ma właścicielkę, czyli musicie go jej oddać.

Spojrzała jeszcze raz na przypalone futra łowczyń.

- Niech wam będzie. - Zaśmiała się znowu. - Ulecę was, zanim odejdę, ale nie wtykajcie więcej nosów w gorące sprawy.

Pstryknięciem palcami usunęła płyty przypieczonego futra i zagoiła skórę. Potem przyjrzała się krytycznie swemu

dziełu i mruknęła:

- No nie wiem. Coś tu jeszcze nie gra.

Harpie zrobiły nieszczęśliwe miny.

- Mamy takie łyse chodzić?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Ciekawość zabiła kota. Ale to już chyba wiecie.

Pstryknęła palcami raz jeszcze.

Na miejscu łysych plam pojawiło się nowe, wiosenne już futro.

- I tak liniejecie - wyjaśniła Atawi. - Będzie mniej do zrzucenia.

Po czym przymknęła powieki i opuściła ciało kapłanki.

Czosnek otworzyła oczy, spojrzała na swoje podopieczne i parsknęła rozbawiona.

Przed nią stały dwie śnieżnobiałe futrzaki w czarne łaty.

- Wyglądacie jak krowy - stwierdziła. - A teraz powtórzcie mi, co mówiła Opiekunka.

* * *

Artezjan zastanawiał się. Z jednej strony Pieprz miała rację, ten czarny mag był kompletnie zielony. Istniała duża szansa, że po prostu gdzieś się zgubił. Nie wyglądał na szaleńca. Zapewne pakował się w te wszystkie kłopoty bez złych intencji.

- Chciałbym w to wierzyć - mruknął do siebie prezes, spoglądając na wodę.

Zawsze kiedy potrzebował czasu na zebranie myśli, odwiedzał któryś z warszawskich mostów. Patrzył na wodę i układał plany. Teraz Wisła skuta była lodem i wyglądała wyjątkowo ponuro. Zresztą w tej chwili całe miasto wydawało mu się ponure. Wiedział, że stolica posiada ten specyficzny mroczny klimat, ponieważ wojna światowa zamieniła ją kiedyś w miasto gruzów i cmentarzy. Westchnął ciężko.

„Przynajmniej – pomyślał – pozostała miastem. Kraków nie miał tego szczęścia. Tu były bomby, krew i powstanie. Tam tylko szkło i konieczność posprzątania wszystkiego w jedną noc. Łatwiej jest zrozumieć ruiny i kamień na kamieniu niż pozbawione życia dzieło sztuki”.

Gdzieś w dole rozległ się trzask pękającej kry.

- Dlaczego – mruknął pod nosem – nieszczęścia muszą chodzić parami? Podjęlibyśmy decyzję, uciszylibyśmy parę osób i byłoby po całej wojnie. Gdyby nie czarny mag! Nawet, cholera, nie wiemy, jak sukinsyn miał na imię.

Wróciły wspomnienia.

Wszystkie okropieństwa wojny były na wyciągnięcie ręki. A im brakowało czasu, żeby się przejąć. Tysiące ludzi w patriotycznym uniesieniu ginęło w bitwie o jakąś miejscinę, a w tym samym czasie miliony innych po prostu rozplywały się w powietrzu jak duchy. Tylko dlatego, że ktoś uznał, że nie byli dość interesujący, aby istnieć.

Najgorsze było właśnie to, że te katastrofy nie nosiły ani śladu emocji. Szklany Kraków był piękny i spokojny, Gdańsk pozbawiony mieszkańców wydawał się wręcz uduchowiony. Wrogie armie zamieniały się w majestatyczne marmurowe pomniki i można by się nawet cieszyć, gdyby tylko na polu bitwy nie stały również własne, utrwalone w granicie. Do tej pory niektóre ludzkie trupy udają muzealne rzeźby. Wyglądało na to, że On po prostu chodził z miejsca na miejsce i wątpił w ludzi. Usunięcie ich było konieczne. I nie było miejsca na gniew. Po prostu świat wyglądał o wiele ładniej, kiedy był pusty.

„Zabawne – przemknęło magowi przez głowę – ludzie też tak twierdzili. Ale ludziom można było przeszkodzić”.

Pamiętał to dokładnie. Podobnie jak dziś wiedział o istnieniu zagrożenia, ale nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Pytanie, czy ten Jerzy też ma na pieńku ze

społeczeństwem? A jeśli ma, to jak długo wytrzyma napięcie. Tamten wreszcie poddał się sam. To było jak samobójstwo. Przecież nikt nie zamierzał go sądzić. Za bardzo się bali. Ktoś zadał jeden cios i było po wszystkim. Tym razem się nie udało.

„Gdzie, do licha, jest Pieprz?!” – zdenerwował się. – „Jak długo Czosnek zamierza ją trzymać? Minęło już dobre parę godzin, jak poleciała zdać jej raport”. Westchnął zmęczony. „Byle tylko nie opowiedziała jej za dużo”.

* * *

– Dobrze – mruknął Szacowny, spoglądając ponuro na Pałac. – Podsumujmy sytuację. Alarmy w każdym wejściu, ochrona krąży dookoła, a ja zmarnowałem cztery godziny, żeby się przekonać, że nadajniki w obeliskach to zwykły bluff. Nawet wiązki zasilania pogrzebali pod ziemią. Jak mam tu coś zepsuć!?

Lodowaty wicher sypnął mu w oczy śniegiem. Smok kichnął i zaszczekał zębami.

– Na płomień – zaklął rozżłoszczony. – Nie miałem takich problemów, kiedy byłem smokiem! Czas wrócić do własnej postaci!

Spróbował. Nic się nie stało. Nadal był człowiekiem.

– Co się tutaj dzieje?! – krzyknął przestraszony.

Przechodząca starsza pani obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Zamilkł więc. Wtedy z jego warg wydobył się szept.

– *Znasz przecież umowę. Nigdy nie będziesz już smokiem.*

Szacowny wpadł w panikę.

– Co...? Jak to? Przecież ty odszedłeś!

– *Ja nigdy nie odchodzę, o potężny.* – W głosie stwora zabrzmiała kpina. – *Odoczywałem. Czyżbyś miał jakiś problem?*

- Obiecałeś mi miasto!
- *Weź je więc* - odpowiedział sam sobie.
- Ten kurnik jest zabezpieczony niczym skarbiec. Nie dam rady!

- *Czyżbyś wątpił w swoje możliwości? Spójrz, ludzie wchodzą do wnętrza bez mojej pomocy.*

Smok poczuł nową myśl w swojej głowie. Rozwiązanie. Niegodne jednego z płomienistych. Mimo to...

Rozejrzał się dookoła i wybrał jednego przechodnia. Zbliżył się do niego.

- Przepraszam pana bardzo...

Po kilkunastu minutach stał przed Kinoteką, gotowy do wejścia.

- Czy to aby na pewno zadziała? - Zwątpił na chwilę w skuteczność planu stwora.

- Teraz, gdy nosisz jego twarz, jesteś jeszcze bardziej człowiekiem. Osłony nie rozpoznają w tobie smoka.

- Może, ale czemu nie pozwoliłeś mi go zabić? Znajdą go przecież.

- *Zamarznie, zanim go znajdą. Tak jest zabawniej. Wchodź już.*

Szacowny wziął głęboki wdech, poprawił skórę odklejającą się od jego twarzy i ruszył. Odruchowo skulił się, przechodząc przez drzwi. Jednak alarmy milczały. Stwór miał rację. Smok odetchnął z ulgą i rozejrzał się.

- Teraz tylko musimy zapytać o drogę.

Znalezienie w tłumie ludzi kogoś z syndykatu nie było łatwe, pomimo to Szacowny zdołał namierzyć jakąś czarodziejkę. Nie od razu wskazała mu drogę. Na szczęście stwór posiadał zdolność przekonywania. Jedna chwila spędzona w umyśle kobiety wystarczyła. Pozostawił ją siedzącą na podłodze z wzrokiem wbitym w przestrzeń. Z jej ust nie wydobyła się najłżejsza skarga, ale coś w jej

oczach sprawiło, że smok raz jeszcze zastanowił się nad swoim towarzyszem.

- Kim jesteś? - Jego głos zdrzął podejrzenie.

Odpowiedział mu mentalny uśmiech.

- A jak myślisz, o przezorny? Kogo poprosiłeś o pomoc?

- Demonem?

- *Podpowiem ci - szepnął. - Spytaj o mnie wojowniczkę, kiedy ją spotkasz.*

Stwór zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. Szacownemu za to nie było do śmiechu.

- Jesteś parazytem - wyjąkał przerażony, zatrzymując się przed solidnymi dębowymi drzwiami.

- *A kogo oczekiwałeś? - warknął niecierpliwie. - A tak, demona. Jaka szkoda, że one nie istnieją. A teraz wejdź tam i wyłącz generator! Obiecałeś mi miasto.*

Rozdział V

- Matko wszystkich smoków! - wydusił z siebie Szacowny, kiedy wreszcie udało mu się odzyskać oddech.

Widok, jaki przedstawiał się jego oczom, był niesamowity. Myśląc o generatorze, spodziewał się czegoś w rodzaju wielkiej buczącej maszyny, pompującej energię nad miasto. Tymczasem to, co zobaczył, było po prostu inne. Inne niż wszystko.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, zajmowało całą wysokość budynku. Wysoki wąski komin prowadzący wprost do iglicy. Wewnątrz, migocząc energią niczym magiczna zorza polarna, unosił się czar - wspólne dzieło wszystkich magicznych ras Warszawy.

- Jest niesamowity! - wyszeptał. - Spójrz, jaki skomplikowany! Każda ścieżka energii ma inną gęstość, inny kolor, inny dźwięk.

- *Nie przyszliśmy tu go podziwiać - zasyczał stwór. - Przyszliśmy go zniszczyć.*

Szacowny nie odpowiedział. Nie mógł oderwać wzroku od splotu falujących wstążek, falban i spiral.

- *Zróbże to wreszcie, nieudaczniku!* - zdenerwował się parazyt. - *A może mam ci pomóc?* - dodał drwiąco. - *Sam nie dasz sobie rady?*

- Czeka! - warknął smok. - Jesteś tylko odbiciem. Nic nie wiesz o wielkiej magii. Ten czar należy podziwiać. Robaki mogą być z niego dumne.

- *Robaki zamierzasz wydeptać. Rozwal to!*

- Zaraz. - Szacowny podszedł bliżej. - Chcę go dotknąć.

Energia z soczewki przepływała przez generator niczym oddech, nadając osłonie kształt i cel istnienia.

- *Głupia zachcianka* - wycharczał i splunął w kierunku tańczących energii.

I wtedy smok poczuł, jak głęboko w sercu czaru budzi się jakaś istota. Jak powoli otwiera oczy i spogląda na niego. Sparaliżował go strach.

- Płomieniu! On żyje!

- *Zabij go!* - W głosie stwora brzmiała nienawiść.

Cofnął się o krok. Zniszczenie takiego dzieła byłoby jak bluźnierstwo.

- *Zanim on zabije ciebie!*

- Nie mogę!

Właśnie wtedy czar zdecydował się zaatakować pierwszy. Strumień błękitnej energii wytrysnął z wnętrza prosto w intruzów. Smok, przerażony, potknął się i wylądował na ziemi. Parazyt uderzył całą swoją mocą. Rozległ się wrzask. Szacowny wpełzł w najbliższy kąt, zatykając uszy. Płacz zranionej istoty wisiał w powietrzu, jakby nigdy nie miał się skończyć. Generator czerniał. Ścieżki energii traciły swój kształt i zwijały się. Wreszcie wszystko ucichło. Istota, czymkolwiek by była, umarła, a jej śmierć poczuło całe miasto.

* * *

Artezjana z zamyślenia wyrwał przeraźliwy pisk. Telefon komórkowy milczał. Pager również. A pisk nasilał się. Dźwięk wydobywał się z wewnętrznej kieszeni garnituru. Zdziwiony, wyciągnął urządzenie alarmowe miejskiego generatora.

- Co za licho? - Pełen najgorszych przeczuć, wstukał komendę.

Urządzenie ucichło i wyświetliło komunikat: „Awaria generatora. Kod akwamaryna”.

- Akwamaryna? Nie pamiętam tego - warknął zirytowany i zażądał szczegółów.

Na miniaturowym ekranie posłusznie pojawiła się wiadomość: „Całkowita destrukcja czaru kształtującego osłony”.

Urządzenie wylądowało na chodniku. Mag odruchowo spojrział w kierunku Pałacu. I właśnie wtedy iglica wystrzeliła oślepiającym światłem. Rozległ się huk, a potem jednostajne wycie startującego samolotu.

- Cholera jasna! - zaklął, uruchamiając czar przeniesienia.

Świat dookoła zawirował. Kiedy się zatrzymał, Artezjan stał u stóp Pałacu. Dokładnie przed Muzeum Ewolucji. Spojrział na bijącą w niebo kolumnę białego światła.

Wszystko stało się jasne. Zniszczony generator nie odbierał energii z soczewki, więc system awaryjny uwalniał ją w powietrze.

- Czemu idioci nie odcięli jeszcze dopływu?! - Wściekł się.

W sterowni soczewki też ktoś wreszcie wpadł na ten pomysł. Blask przygasł jak na zawołanie. Z budynku dobiegł pełen złości ryk.

Artezjan wzdrygnął się przestraszony. Jednak po chwili strach ustąpił miejsca furii.

- Czarny mag, tak? - wysyczał prezes. - Nie pozwolę rozwalić mi miasta!

Kamienie w opasce i pierścieniu zabłyśły żywym ogniem.

- Jeszcze się biedactwo nie nauczyło walczyć? Tym gorzej dla niego!

W ręku maga zmaterializował się miecz. Rękojeść zdobił płomienny rubin. Powietrze dookoła ostrza drgało od żaru.

Artezjan ruszył do wejścia.

- Stój! - Kobięcy głos nie wróżył niczego dobrego.

Odwrócił się. Za nim stała wojowniczką ze swoim błękitnym ostrzem. Ziemia pod jej stopami pokryła się

szronem.

- Żądam wyjaśnień! - rzuciła.

- Nie będzie żadnych. Twój Jerzy właśnie zamordował generator.

Oczy Lodu rozbłysły błękitem.

- Zwariowałaś - wycedziła przez zęby. - On nie żyje.

- Uciekł.

- Nie wierzę!

- W to też nie wierzysz?! - Wskazał na szczątki iglicy.

- Nie zrobiłby tego. Nie tak.

- Sprawdź! - W głosie maga brzmiała złość.

- Zamierzam - odparła chłodno, opuszczając broń. -

I tym razem ja ocenię sytuację.

Nie miał wyjścia. Walka teraz była bez sensu. Skinął głową.

- W takim razie wejdźmy tam, zanim zjawią się inni.

Podeszli do drzwi. Były zamknięte. Lód jednym słowem zamieniła je w proch.

W środku panowała cisza. Gęste, lepkie powietrze. Artezjan czuł, że z każdym oddechem boi się coraz bardziej. Słyszając, jak wojownicza uruchamia czar oczyszczenia, pożałował, że sam tak nie potrafi.

- Wężu - szepnął tylko najciszej jak umiał. - Nie chcę znowu Go spotkać.

Lód odwróciła głowę.

- Widziałeś Tamtego? - spytała.

Mag z trudem zapanował nad głosem.

- Nieważne - mruknął. - Idziemy!

Wkrótce stanęli przed ostatnimi drzwiami. Otworzyły się bezszelestnie, ukazując pomieszczenie zalane światłem. Pośrodku, chwając się na nogach, stał zwykły człowiek.

- Akurat - mruknęła Lód. - Obywatel? Tutaj?

Artezjan otrząsnął się.

- Prawie w to uwierzyłem. Co to jest?
- *Ja* - stworzenie wysyczało złowrogo - *Zwykły Smok*.
Wojowniczką i mag jednocześnie odetchnęli z ulgą.
- Pospolity parazyt. - Uśmiechnęła się *Lód*. - Zostaw go
mnie. Oczyszczenie - zakomenderowała.

Postąpiła krok w kierunku stworzenia, lecz zawahała się
na chwilę.

- A wiesz? - rzuciła do prezesa. - Nie byłoby dobrze,
gdyby użył cię przeciwko mnie.

Uniosła dłoń.

- Fall asleep - szepnęła.

Nieprzytomny mag zwałił się na marmurową posadzkę.

- No to chyba możemy zacząć.

Miecz zaśnił błękitem.

* * *

Szafa otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Nie licząc
segregatorów, była pusta. Wojowniczką sobie poszła.

- No to klops! - mruknęła *Majeranek*.

- Obudziła się za wcześnie. - Skrzywiła się *Estragon*.

- Znajdźmy ją - zmartwiła się *Pieprz* - zanim wyfiletuje
nam maga.

Futrzaki spojrzały po sobie.

- Namierzmy jego - *Estragon* wpadła na pomysł. - Ona
też się objawi.

Pokiwały głowami.

- Sprezentowałaś mu czar tropiący? - upewniła się
Majeranek.

- Jak kazała *Czosnek*. - Biała harpia uśmiechnęła się,
odsłaniając białe zęby. - Zaraz się dowiemy, gdzie go
zaniósł.

Pstryknęła palcami. W powietrzu zabłysła cienka
czerwona linia. Biegła od czubka lewego ucha *Pieprzu*
i znikła w ciemności za oknem.

- Ta dam! - stwierdziła z dumą łowczyni. - Najkrótsza droga od nas do niego.

Ruszyły za czarem i już po chwili zataczały koła nad Pałacem Kultury.

- Coś jest nie tak! - krzyknęła zaniepokojona Majeranek.

- Odstrzeliło iglicę! - odwrzasnęła Estragon.

- Łądujemy! - zdecydowała Pieprz i zapikowała.

Niestety jednostki interwencyjne już otoczyły budynek. Przez zwarty kordon magów nie przecisnąłby się nawet najchudszy futrzak.

- Wielka Opiekunko! Jak tam wejść? - Załamała się Estragon.

Majeranek nie odpowiedziała. Patrzyła na światła migające w oknach Pałacu.

- Za mną! Mam plan. - Przywódczyni grupy ruszyła w stronę wejścia. Drogę zastąpiło jej dwóch patrolowych w czerwono-żółtych mundurach.

- Zjeżdżajcie stąd! - burknął jeden z nich. - Mamy robotę!

Pieprz prychnęła z pogardą i pstryknęła palcami. W jej dłoni pojawił się dokument. Podsunęła go magowi pod sam nos.

- A teraz z drogi, bucu - rozkazała.

Potraktowany w ten sposób, poczerwieniał na twarzy, lecz odsunął się posłusznie.

Harpie z dumnie uniesionymi głowami predefilowały obok. Dopiero pod drzwiami Majeranek nie wytrzymała i spytała szeptem:

- Co to było?

Łowczyni podała jej papier. Widniała na nim pieczęć i podpis Artezjana oraz napis „Upoważnienie”. Estragon aż gwizdnęła.

- Kiedy ci to dał?

Przywódczyni nie odpowiedziała. Jednak harpie nie zamierzały się poddać.

- No puść farbę!

- Nie bądź takim wredem!

Wreszcie Pieprz odwróciła się.

- Dobra już! Dobra. - Rozłożyła ręce. - Gwizdnęłam mu z biura. A coście myślały?

- Nic. Zupełnie nic - zapewniła Estragon, a Majeranek spojrzała w niebo.

I zobaczyła eksplozję. Nagły huk wstrząsnął powietrzem. Okna Pałacu eksplodowały światłem. Posypały się odłamki szkła. Podmuch rzucił łowczynię na ziemię. Przez chwilę nic nie było widać. Wreszcie tumany kurzu rozrzedziły się. Futrzaki wbiegły do wnętrza.

- Osłony! - zakomenderowała Pieprz.

Błękitny kokon otoczył ją w samą porę. Wielki kawał sufitu oderwał się i runął wprost na nią. Magiczna tarcza zaiskrzyła, rozbijając beton na molekuly. Estragon i Majeranek również postawiły osłony.

- Idziemy?

Przywódczyni skinęła głową. Ruszyły w głąb budynku. Widoczność była prawie żadna. Szary pył osiadał na futrach i zatykał nozdrza. Nagle koniec korytarza rozbrzysnął. Budynkiem wstrząsnęła kolejna eksplozja. Harpie skuliły się na podłodze. Potem wszystko ucichło. Przez wybite okna wpadał wiatr.

- Wielka Opiekunko! - Odetchnęła Majeranek. - Wytrzymały.

Estragon kichnęła.

- Ścierwo! - zaklęła. - Co się tam dzieje?

- Spójrzcie w górę. - Głos Pieprz zabrzmiał dziwnie.

Uniosły głowy. Kilkanaście piętér wyparowało bez śladu. Ocalały tylko zewnętrzne ściany Pałacu.

- Czar anihilacji - mruknęła Estragon. - Ruda już tu jest.
Zerwały się na nogi.
- Biegiem! - pogoniła je Pieprz.
Ruszyły, kierując się rozbłyskami światła.

* * *

Walka była zbyt długa. Wojowniczką traciła siły. Na myśl o przegranej dopadał ją strach. Zmęczony umysł nie reagował na czar oczyszczenia. Ciało nafaszerowane środkami przeciw bólowi odmawiało współpracy. Parazyt był za silny, za szybki, za cwany.

- Kurwa! - zakłęła, lądując na podłodze. - Nie poddam się!

- *Nie musisz. Wystarczy, że umrzesz.*

Celne uderzenie rozerwało jej osłonę. Lód ostatkiem sił skoczyła, unikając ciosu.

- Anihilacja! - krzyknęła.

Czar zakwitł kulą światła. Parazyt osłonił się energią. Jego przeciwniczka niezgrabnie wylądowała na posadzce. Nie zdążyła postawić tarczy przed kolejnym atakiem. Uderzyła o ścianę. Wypluwając krew, poczuła, że pada znieczulenie. Ostry ból przeszył miednicę. Nie było mowy o wstaniu. Następny atak przyjęła na ostrze błękitnego miecza. Zaśpiewała stal.

Zimne światło rozcięło wrogą energię niczym masło.

Sytuacja stała się patowa.

Lód nie była w stanie skutecznie atakować. Parazyt nie mógł pokonać jej miecza. To oznaczało jedno: walka potoczy się o jej umysł. Odetchnęła głęboko. Na ile tylko pozwalały jej połamane żebra.

- Są rzeczy gorsze od śmierci - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Nagle poczuła dziwny spokój. Odejście to w końcu nie szczyt wszystkiego.

- *Jego śmierci?* - Parazyt uśmiechnął się złośliwie
Spojrzenie wojowniczkę padło na leżącą na ziemi sylwetkę. Spokój zamienił się w panikę.

- Nie!

- *Czyli mam tak nie robić?*

Wiązka energii uderzyła w maga. Zamigotała osłona. Lód odetchnęła.

- *Przewidujący.* - Zachichotał parazyt, wyprowadzając kolejny cios.

Tarcza zaślniła błado i znikła.

- To teraz sobie popatrzysz.

Uniósł dłoń. Nagle z kłębow pyłu wyskoczył jakiś kształt. Srebrzysta błyskawica. Zaślniły pazury. Magiczne ostrza wystrzeliły w stronę stwora. Osłonił się. Nie przewidział dwóch kolejnych przeciwników. Pazury rozorały mu twarz. Zaślepiiony wściekłością uderzył energią. Harpie przeleciały kilka metrów i wylądowały na posadzce. Stwór wytarł krew ściekającą z twarzy. Oko, uszkodzone przez wojowniczkę w poprzedniej walce, całkiem wyciekło, wyrwane z oczodołu. Prawe rozświetlał gniew.

- *Pożałujecie tego.*

Lśniące nici energii zamigotały jak laserowy pokaz. Łowczynie śmignęły w powietrze. Nie dość szybko. Kiedy światła zgasły, Majeranek leżała skulona na podłodze, a Estragon z trudem trzymała się na nogach. Krwawiła z kilku ran. Pieprz ścisnęła w rękę swoje ucho. Jej oczy błyszczwały.

- Nie wygramy z tobą - powiedziała zimnym głosem.

- *Nie wygracie* - zgodził się parazyt.

- W takim razie mamy dla ciebie prezent. - Jej głos ociekał słodyczą.

Bestia cofnęła się o krok. Gdzieś głęboko w pamięci Szacownego odnalazła informację o harpiach. Były

niepoczytalne. Nie do przewidzenia. Zaciekle jak... jak... harpie. Odruchowo aktywował tarczę. Jednak łowczyni nie zaatakowała.

W jej dłoni zalśniła mała czarna kuleczka. Rzuciła ją. Potoczyła się po podłodze prosto pod jego nogi. Spojrzał z niedowierzaniem.

- *Mięso?* - zapytał.

Pieprz pstryknęła palcami. Na marmurowej posadzce pojawiła się postać. Mężczyzna w czarnym płaszczu. Usiadł niepewnie. Pokręcił głową. Jego spojrzenie padło na leżącą wojowniczkę. Potem na maga, a wreszcie na harpie.

Lód otworzyła usta, ale zabrakło jej głosu. Łowczyni wyszczerzyła zęby.

- *Nosił wilk razy kilka...*

Mężczyzna wstał. Jego spojrzenie zaskoczyło potwora. Nie było w nim strachu, jedynie wściekłość. Parazyt nie zamierzał czekać. Zaatakował. Jego cios dotarł do celu. I nic się nie stało. Zdumiony, otworzył usta, jednak nie zdążył niczego powiedzieć. Pierwsze uderzenie nieznajomego cisnęło nim o ścianę i strzaskało mu kręgosłup. Tkwił teraz bezsilny niczym robak. Patrzył, jak jego przeciwnik ignoruje go. Zamiast walczyć dalej, podchodzi do wojownicy i delikatnie bierze ją na rękę.

Szacowny chciał wrzasnąć „wracaj!”, ale jego wargi nie poruszyły się. Powoli tracił wzrok w ocalałym oku. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak biała harpia pakuje śpiącego maga i ranne koleżanki w małe, żółte kuleczki. Potem wychodzi. Mężczyzna podąża za nią. Przez głowę smoka przebiegła paradoksalna myśl.

- *Dlaczego akurat żółte?*

- *Idiota!* - Głos w jego głowie kipiał nienawiścią. - *Nie zasłużyłeś na mnie! Zdychaj sam!*

- Nie opuszczaj mnie! - błagał smok, jednak było już za późno.

* * *

Spanikowany Jerzy trzymał Lód na rękach. Szedł za białym futrzastym stworzeniem i próbował zachować spokój.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział do wojowniczkii.

Lód spojrzała na niego jakoś dziwnie. Wykasłała trochę krwi i mruknęła:

- Tylko mi się nie rozklejaj.

Po czym zemdląa.

Z tyłu rozległ się wrzask. Mag odwrócił się przestraszony. Od umierającego oderwało się przerażające widmo. Runęło w jego kierunku. Zamarł. Zjawa uderzyła z prędkością ekspresu. Spodziewał się bólu, jednak nie stało się nic. Odetchnął głęboko.

- To tylko duch. Nic się nie stało.

Z kłębow kurzu wyłoniła się futrzasta istota.

- Coś nie tak? - spytała.

- Nie. W porządku - odpowiedział

- To świetnie.

I wyszli na zewnątrz.

* * *

Przechodnie odwrócili głowy w stronę, z której dobiegł trzask. Większość nie dostrzegła niczego i zajęta własnymi sprawami ruszyła swoją drogą. Ci, którzy akurat wpatrywali się w skutą lodem Wisłę, zobaczyli, jak skorupa lodu pęka, uwalniając rzekę. Wyrwana nagle z łap zimy, spieniła się i zahuczała wokół przęsł. Niektórzy rozsądni obywatele rozważali trzęsienie ziemi. Inni dopatrywali się cudu. Najmniej pomylili się ci, którzy nie próbowali się nad niczym zastanawiać.

Dla warszawskich magów właśnie zaczęły się wiadomości.

Syreny - dzieci rzeki, punktualne jak dziennik i obiektywne jak CNN, od wieków zadziwiały i fascynowały trafnością swych osądów. Jedna z nich stanęła właśnie na wzburzonej wodzie i rozejrzała się dookoła. Jej mokra skóra zaśniła metalicznie w blasku latarni. Energicznym tupnięciem bosej stopy uciszyła rzekę. Kilka samochodów na moście gwałtownie zahamowało. Uśmiechnęła się, zadowolona z efektu. Wykonała perfekcyjny ukłon, odchrząknęła i zaśpiewała. Pień dotyczyła smoków, ruin, ognia i pożogi, ogólnego rozgardiaszu, ogoniastych futrzaków i potężnych magów, a także urodziwej wojowniczkii z wielkim ostrym mieczem. Syrena wspomniała też o awarii osłon i wszelkich związanych z nią atrakcjach oraz pożałowania godnym wpływie zaistniałej sytuacji na architekturę miasta.

* * *

Zachodzące słońce tańczyło refleksami na powierzchni wody, mewy krzyczały nad głową, a łagodne kołysanie fal kołysało i usypiało. Gdzieś na granicy snu i jawy pojawiły się palmy kokosowe, bębny i półnagie tancerki w futrzastych przepaskach na biodrach. Nie chciało mu się zastanawiać nad tym zjawiskiem, bo jego mózg ktoś otoczył jakby kokonem z waty cukrowej. Było ciepło i spokojnie. Spojrzał na trzymany w dłoni napój ze słomką, upił odrobinę słodkiego płynu i zakomenderował:

- Iluzja stop!

Artezjan leżał w schludnym pokoju Centralnej Jednostki Medycznej i próbował zogniskować rozkojarzone myśli na słowach pochylającej się nad łóżkiem harpii.

- I już myślałam, że cię uspiła na dobre! - trajkotała radośnie Pieprz.

Mag powoli przypominał sobie most, iglicę, parazyta, wojowniczkę... a, tak, rzuciła na niego usypiające zaklęcie.

Relaksująca iluzja należała do standardowych usług jednostki medycznej. Jednak teraz nie miał czasu na relaks. Szpitalna sterylność irytowała go, ale gorszy był brak najświeższych informacji. I kiedy właśnie harpia, sadowiąc mu się wygodnie w kolanach, chciała zacząć opowiadać, do pokoju wkroczyła Aurora. Jej obcasy stuknęły delikatnie o terakotową podłogę, a idealny makijaż i uczesanie wskazywały na to, że koniec świata jeszcze nie nastąpił. Pod pachą trzymała ciężki segregator.

- Przygotowałam dla pana raport, sir - oświadczyła sucho.

Łowczyni siedzącej na kolanach prezesa nie poświęciła ani spojrzenia.

Artezjan powstrzymał się od uśmiechu.

- Doskonale, Auroro. Możesz położyć go tu, na stoliku? Chciałbym w spokoju przyjrzeć się przebiegowi wydarzeń.

- Oczywiście, sir. Czy mogę w czymś pomóc, sir?

- Dziękuję, Auroro, dam sobie radę.

- Tak, sir. Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej.

- Zdecydowanie. Jestem wdzięczny za troskę.

Sekretarka skłoniła się i wyszła. Mag uśmiechnął się leciutko.

- Chyba cię nie polubi, Pieprz. Taki mezalians.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Białe futro zjeżyło się.

- Harpia dyplomacja! - Zaklął w myślach i błyskawicznie się poprawił: - W końcu niewiele harpii zaszczycą magów swoimi uczuciami.

Trącenie nosem w policzek przekonało go, że trafił dobrze. Przyciągnął bliżej uspokojoną łowczynię.

- Opowiadaj.

Pieprz usadowiła się wygodniej.

- No, jak weszliśmy, przyjęcie już się kończyło. Ty leżałeś pod jedną ścianą, ruda pod drugą. Bydlę chciało dobrać ci się do skóry, więc go trochę poszarpałyśmy. Tyle, że za cienkie jesteśmy dla takich parazytów. - Podrapała się znacząco po żalonym strzępku, jaki pozostał z lewego ucha. - Estragon i Majeranek dostały bardziej. Ale już je zebrali. Odpoczywają - wyjaśniła, widząc zmartwienie w oczach maga.

- Co było dalej?

Zrobiła smutną minę.

- Jeszcze trochę, a teletubisie powiedziałyby swoje papa już na amen.

- Aha?

- I wtedy pojawiła się nasza zguba.

- Jerzy? - Artezjan nie mógł uwierzyć.

Pieprz z powagą pokiwała głową.

- Bingo! Jak zobaczył, że jego pannę wbiło w ścianę, to parazyt nie pogadał.

- Zabił bydlaka?

- No. I wyprowadził nas. Resztę masz w raporcie.

Mag sięgnął po teczkę. Była gruba jak powieść. Otworzył ją z obrzydzeniem.

- Że co?!

Pieprz zajrzała mu przez ramię. Fotografia na pierwszej stronie przedstawiała Pałac Kultury i Nauki. Z jego okien wylewała się dymiąca masa.

- To smok - wyjaśniła. - Jak kopnął w kalendarz, wrócił do normalnych wymiarów. Trochę go rozmaśliło.

- Usunięcie świństwa zajmie nam z miesiąc - mruknął Artezjan.

- Następną stronę - podpowiedziała.

Posłusznie zaczął czytać „...impuls energetyczny po zniszczeniu generatora wywarł negatywne skutki na stan umysłu obywateli. Efekty te, choć jak najbardziej odwracalne, spowodowały szkody szacowane na...” i dalej „...fala ataków depresji, prób samobójczych i aktów wandalizmu...” oraz „...niszczenie mienia publicznego...”.

- Cholera ciężka! Jedna śmierć to dla sukinsyna za mało! Moje miasto - jęknął.

Harpia westchnęła ze współczuciem i przewróciła kolejną kartkę. Prezes aż się zachłysnął.

- Ile dzielnic? - wychrypiął, kiedy odzyskał głos.

- Śródmieście i Praga.

- Jakim cholernym cudem?

- Smok przeżarł się przez podłogę i wlał do rozdzielacza. Stopił dwie soczewki. Zapasowe generatory siadły bez zasilania - wyrecytowała z pamięci łowczyni.

Zdesperowany mag opadał na łóżko.

- A Jerzy? Dołączył do apokalipsy?

- I to właśnie ta dobra wiadomość. Tkwi grzecznie przy łóżku Lodu, gdzie jego miejsce.

- Przynajmniej jeden kamień z serca - westchnął Artezjan. - Nikt ma nie wiedzieć, co z niego za ziele - podkreślił.

Pieprz zasalutowała służbiście. Podrapał ją za poszarpanym uchem.

- Pomóż mi wstać. Czas zabrać się za robotę.

* * *

Wśród nieobecności zrodziła się idea drogi przez mrok. Nieistniejące latarnie zamigotały niczym brylanty wśród nocy nieskażonej dniem. Aksamitne wrażenie ziemi pojawiło się pod jej stopami. Iluzja ciszy ogarnęła miejsce, które nie było miejscem. Umysł Lodu podążył wyznaczonym mu torem. Nie, to nie śmierć. Na końcu tunelu nie czekało

żadne światło. Ten tunel nie miał końca. Żeby się z niego wydostać, wystarczyło przestać nim iść. Zatrzymała się i zmrużyła oczy. Wielką salę oświetlał blask ognia, chociaż nigdzie nie było widać płomieni. Podłoga była falującym jeziorem. Malachitowe kolumny podpierały strop błękitnego nieba. Przed nią, splątany niczym węzeł gordyjski, spał ogromny wąż. Uniosła wzrok i spojrzała prosto w bursztynowe oczy. Uklękła.

- Wezwałaś mnie, Świetlista.

Gwiazda uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- A ty posłusznie przybyłaś?

- Pani - powiedziała z wyrzutem. - Zawsze...

Gwiazda wstała i z gracją zeskoczyła ze łba śpiącego węża.

- Zawsze o wszystkim mi mówisz? Czy chciałaś powiedzieć coś innego?

Lód zamilkła, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Gwiazda nie wezwała jej tu dla błażostki. Wiedziała o Jerzym.

- Właśnie - stwierdziła. - Co mi o nim powiesz?

- Nie każ mi go skrzywdzić, Świetlista.

- Nie wspomniałam o krzywdzeniu.

Więc jest jeszcze nadzieja.

- Czy to znaczy...?

- Na Węża! - Westchnęła Gwiazda. - Gdzie zakochani zostawiają swój rozsądek? Oczyszczenie - rozkazała, wskazując palcem na klęczącą.

Fala zimna przetoczyła się przez salę. Wojowniczką wstała.

- Pozbawiony opieki może być niebezpieczny. Źle potraktowany może być niebezpieczny. Zaatakowany może być niebezpieczny. Ale nie zamierzam pozostawiać go bez opieki. Nie skrzywdzę go, a tego, kto spróbuje go zaatakować, unieszkodliwię.

- Dasz radę opanować taką siłę?
- Nie zrobi mi krzywdy.
- Zaryzykujesz własnym życiem?

Westchnienie Gwiazdy zmieniło się w wiatr. Salę wypełniły szepty. Słowa we wszelkich językach zawirowały w powietrzu niczym śnieg.

- Zabawne. Wyprałam twój umysł z emocji, a ty, rozumując, przewidujesz swoje zwyczajne reakcje. - Westchnęła.

- Co ty na to, Szu? - Tym razem Gwiazda zwróciła się do czegoś niewidzialnego, co najwyraźniej unosiło się w przestrzeni.

W powietrzu nagle skondensował się mrok. Potężna energia prawie zbiła wojowniczkę z nóg. Przed oczyma wykwitły jej białe plamy. Ostatkiem sił oparła się o kolumnę.

- Myślę... - na pytanie Gwiazdy odparł męski aksamitny głos - że czegoś jej jednak brakuje. - „Z całym szacunkiem, maleńka” - zabrzmiało w myślach Lodu.

- Dziękuję, Szu. Jesteś wolny.

Ciemność zaśmiała się.

- Naprawdę chciałbym być. Niestety, jak sama wiesz najlepiej, to niemożliwe.

Wrażenie potężnej obecności zniknęło, a Lód odzyskała oddech.

- Nadal myślisz, że spacyfikujesz czarnego maga? - spytała Gwiazda. - Wiesz, ile mi to zajęło?

Lód spróbowała zebrać myśli. To było niemożliwe, ale przecież sama widziała i czuła.

- To był... tamten czarny mag? Z wojny? On żyje?!

We wzroku Gwiazdy wyczytała odpowiedź, w końcu sama wiedziała, że TAM nie marnuje się niczego. Gwiazda najwyraźniej musiała sobie go zatrzymać w tajemnicy przed

wszystkimi. Gdyby to się wydało... Lód wolała o tym nawet nie myśleć. Przełknęła ślinę.

- Boże! Aż tak?

Świetlista skinęła głową. W jej oczach zamigotały wesołe płomyki.

- Może już czas, żeby zetrzeć zaschłą krew?

Położyła dłoń na czole swego dziecka.

- Myślę, że zmienimy ci imię. Resztę musisz zmienić sama.

Wąż uniósł łeb, komnatę wypełniło światło.

Lód szarpnęła się i usiadła na łóżku, potrącając coś gwałtownie.

- Au! Chciałem tylko wypić kawę!

Rozejrzała się niepewnie. Była w szpitalu. Czar relaksujący wyświeślał iluzję tropikalnego lasu, ptaki śpiewały, deszcz stukał o liście, a obok niej siedział Jerzy i ze zboląłą miną wycierał spodnie z parującego płynu. Nie przypominał zupełnie tej mrocznej potęgi, którą trzymała na uwięzi jej Matka, przynajmniej chwilowo.

* * *

W porównaniu z ponurym krajobrazem na zewnątrz ciepłe i jasne wnętrze szpitala wydawało się prawie nierealne. Wojowniczką stała przy oknie, a u jej stóp nad Warszawą kłębiła się mgła. Obserwowała ją, rozmyślając.

Odwróciła się na odgłos kroków.

- I jak? - spytała zmartwiona.

- W porządku. - Jerzy uśmiechnął się. - Lekarz powiedział, że nadal mogę mieć dzieci.

Wojowniczką spuściła głowę.

- Wstyd mi. Wszedłeś tam i zatłukłeś potwora, bez jednego zadrapania. A ja oblałam cię wrzątkiem.

- Szkoda raczej niewielka.

Parsknęła śmiechem.

- No nie wiem. Ktoś mógłby uznać ten kawałek ciebie za potrzebny.

- Kto niby? - mruknął ponuro, myśląc o Teresie.

- Ja na przykład.

Podeszła bliżej. Jerzy spróbował cofnąć się o krok i trafił na ścianę.

- Uratowałeś mnie. - Musnęła dłonią jego policzek.

Przełknął ślinę

- Nie ma sprawy.

Musiał przyznać, że w szpitalnym szlafroku wyglądała kusząco.

- Ależ jest.

Głos uwiązał mu w gardle. Spojrzał w błękitne oczy i stracił ochotę na opór.

- Dziękuję - szepnęła Lód.

Potem był już tylko pocałunek. Ciepło jej dotyku i muśnięcia rudych kosmyków na twarzy.

„Taka delikatna” - pomyślał, przytulając ją.

W jego ramionach przestała być wojowniczką i stała się zwykłą dziewczyną. Odnalazł jej umysł. Otwarty jak zaproszenie. Wszystko zawirowało. Dwie istoty w jednym wspólnym świecie. Oboje pamiętali tamten sen.

- Na dobry początek - wyszeptała mu do ucha Lód.

Czuł bicie jej serca tak blisko swojego.

- Aha - zgodził się na skraju następnego pocałunku.

Przerwało im pukanie. Drzwi znikły, zostawiając litą ścianę. Łup! Łup! - Ktoś na zewnątrz nie dawał za wygraną..

- Do licha! - zaklął Jerzy - Ja mu zaraz...

- Czekał - westchnęła wojowniczka. - To może być ważne.

- Aż tak?!

Spojrzała ponuro w podłogę.

- Cholernie. Ale dokończymy tę rozmowę - obiecała, ściskając jego dłoń. - Jeśli tylko zechcesz.

Przyciągnął ją do siebie.

- Daję słowo, że nie będę się opierał.

- Nigdy?

- Przysięgam.

Drzwi powróciły.

* * *

Artezjan odsunął się, unikając zimnego prysznicza. Szefowa Metatechu - Krio, najbogatsza oceaniczna syrena na kuli ziemskiej, przybyła na spotkanie w ludzkiej postaci, jednak oddychanie powietrzem nadal sprawiało jej trudność. Dlatego wodę zabrała ze sobą. Otulała ją niczym płaszcz, a syrena każdym gwałtowniejszym ruchem rozchlapывała dookoła jej kropelki.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy! - podkreśliła. - W przeciwieństwie do niektórych.

Siedząca naprzeciwko niej naga dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Ludzie mają prawo do informacji. Musimy śpiewać.

Woda ściekała z jej włosów i spływała strumykami po błękitnej skórze.

- Wywołujecie panikę! - Krio uderzyła pięścią w stół, wyrzucając w powietrze fontannę wody.

- Żyjemy w wolnym kraju! - Warszawska syrena lekceważąco wydeła wargi. - Ale co ty możesz o tym wiedzieć, tropikalna rybko?

Dyrektorka Metatechu zerwała się z miejsca.

- Ty egoistko - wysyczała. - Sprzedałabyś ten swój kraj za jeden koncert!

Dyskusję przerwało głośne ziewnięcie. Sól przeciągnął się w fotelu i spojrzał na zebranych.

- Przegapiłem coś? - spytał.

Artezjan postanowił wykorzystać okazję.

- Czas na twój raport.

Przewodnik grupy uśmiechnął się szeroko.

- W jednym zdaniu wygląda to tak. Harpii w mieście nie ma.

- Doskonale - pochwalił prezes. - Oby tak dalej.

- Tylko do odwołania oczywiście - dodał, widząc karcącą minę Czosnku.

Kapłanka uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Przepraszam bardzo - odezwał się aksamitny głos. - Ale ja chciałabym wiedzieć, co w tej sytuacji robi syndykat?

Artezjan powstrzymał się od skrzywienia. Pytającą była administratorka Warszawy. Istota, która rzadko włączała się w życie miasta, jednak każda jej ingerencja była niczym cięcie skalpela.

- Oczywiście. - Skłonił się z szacunkiem. - Auroro!

Sekretarka postąpiła krok naprzód.

- Dokonałiśmy modyfikacji pogody - zaczęła. - Mgła utrudnia postronnym obserwację naszych działań. Obywatele odczuwają też niechęć do opuszczania mieszkań i wyjątkową senność. Cały czas usuwamy z Pałacu pozostałości smoka. Potrwa to co najmniej trzy dni, jednak odpalenie zapasowych generatorów zaplanowaliśmy jutro na godzinę szóstą rano. W tej chwili ekipy montują w tunelach nowe soczewki. Czy przedstawić również kosztorys naprawy szkód i plan ich finansowania, pani burmistrz?

- Wystarczy. Dziękuję, Artezjan.

Chmura żywej ciemności, będącej naczelnym organem decyzyjnym stolicy, posłała prezesowi mentalny uśmiech. Mag odwzajemnił go z ulgą.

- W takim razie... - Mrok zawirował wokół krzesła. - Pozwolicie, że się oddalę. Ważne sprawy czekają na

załatwienie.

Członkowie obrad wstali i skłonili się, kiedy administratorka opuszczała pokój, przenikając przez drzwi.

- No to czas wziąć się do pracy - podsumował prezes. -
Czeka nas długa noc.

* * *

Noc okazała się być nie tylko długa, ale i fascynująca.

- Wyszczotkujesz mnie? - napraszała się łowczyni.

Artezjan westchnął. Opiekowanie się harpią miało jasne i ciemne strony. Wyobraził sobie kupę futra na dywanie, ale posłusznie wziął do ręki szczotkę i zaczął czesanie. Kłębki kolejno lądowały na podłodze, a futrzak mruczał zadowolony. Podejrzanie zadowolony.

- Co jest? - spytał, drapiąc ją za uchem.

Pieprz zmrużyła złote oczy. Przyciągnął ją do siebie i poczuł, jak jej ogon oplata się wokół niego.

- Zaborcza jesteś. - Uśmiechnął się.

Harpia zamruczała niczym zadowolony kot. Obróciła się w jego ramionach i założyła mu ręce na szyję. Pocałował ją delikatnie. Zdecydowanie miała ochotę na więcej. Jednym ruchem ostrych pazurów oderwała wszystkie guziki od jego koszuli.

- Ostrożnie z pazurkami - szepnął prosto w aksamitne ucho.

- Będę delikatna - odmruczała, oblizując się, i pchnęła go prosto na łóżko.

Przeciągnął palcami wzdłuż jej kręgosłupa, pod włos. Westchnęła ciężko i skradła kolejny pocałunek. Była fascynująca, taka nieludzka i jednocześnie tak bliska. Pociągająca. Jedwabiste białe futro było cudowne w dotyku. Przytulił ją i poczuł, jak używając pazurów pozbawia go kolejnej części garderoby.

- Ej! Ale z tym to uważaj - zażądał.

Pocałowała go i schowała pazury. Tego ranka Artezjan nie miał już powodów do skarg.

Rozdział VI

- Prezes prosi pana do gabinetu - poinformowała go Aurora.

Lód wstała. Sekretarka zgromiła ją spojrzeniem.

- Pani musi poczekać na swoją kolej.

I zemściwszy się w ten sposób za wszelkie złośliwości ze strony wojowniczkii, wróciła za swoje biurczko. Jerzy zwiesił głowę i krokiem skazańca ruszył do drzwi.

Dziesięć minut później zirytowana i bezsilna Lód krążyła po pokoju jak tygrys.

- Czego chce ten skurczybyk?! - warknęła do siebie.

Aurora uniosła wzrok znad klawiatury. Druzgocący komentarz musiał jednak poczekać. Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Jerzy. Minę miał niewyraźną.

- Teraz ty - wykrztusił i usiadł.

- Holy Mother Evolution! - jęknęła wojowniczkii i, przeczuwając najgorsze, wkroczyła do jaskini potwora.

Artezjan uśmiechał się promiennie za swoim biurkiem.

- Witam - rzucił.

- Sir? - spytała i nerwowo przełknęła ślinę.

- Zapewne ucieszy cię fakt, że sprawa znalazła swoje rozwiązanie.

„Zastrzeli go czy jak!?” - Przebiegło jej przez głowę. Z trudem powstrzymała drżenie rąk.

- Rozmawiałem z twoją przełożoną, oby jej światło wiecznie rozświetlało mrok - powiedział. - Zasugerowała nadzór. Twój.

Tu zrobił znaczącą przerwę. Lód wzięła się w garść.

- Oczywiście, sir.

Kamień spadł jej z serca.

- Rzecz jasna opieka, o której mówimy, będzie stała, choć nieodpłatna - kontynuował prezes. - Gwiazda zapewniła mnie, że to właściwy krok.

- Wykonanie woli Świetlistej będzie dla mnie zaszczytem - odparła.

- Jednak ze względu na konieczność ciągłej obserwacji, zdecydowałem się zatrudnić nasz problem u nas. Jako jednego z księgowych. Warunki pracy zostały już przedyskutowane.

- Dziękuję panu. - Odetchnęła z ulgą.

- Wszystko dla dobra miasta. - Uśmiechnął się skromnie.

- A teraz, jeśli pozwolisz, wróćę do swoich zajęć. Ktoś musi posprzątać ten bałagan.

- Tak, sir. Do widzenia panu.

Skłoniła się. Wychodząc, zwróciła jeszcze uwagę na białe kłaczki walające się po gabinecie. Było ich więcej.

Przed drzwiami czekał na nią Jerzy.

- Czego chciał?

- Takie tam formalności.

Gdyby sypnęła się z „nadzorem”, zaczęłyby się fochy.

- Wracajmy do domu - mruknęła.

Skinęła głową Aurorze i ruszyła do windy.

- Aha. - Odwróciła się jeszcze. - Ktoś chyba powinien wezwać sprzątaczkę. W gabinecie jest pełno futra.

Sekretarka spojrzała na nią z nienawiścią.

* * *

Żwir na podjeździe willi przy Obrońców zazgrzytał pod kołami jaguara.

- Dobra - rzuciła Lód, wyskakując z samochodu. - Zarządzam pół godziny dla zmęczonych wojowniczek. - Czas na moją kąpiel - wyjaśniła. - A dla ciebie na kolację.

Jerzy westchnął pokonany. A zapowiadało się tak ekscytująco. Gdy wojowniczka znikła w łazience, począpał

do kuchni, wstawił wodę i zajrzał do lodówki.

- Przynajmniej tu mogę zaszaleć - westchnął, wyjmując salami i wędzonego łososa.

Dwadzieścia minut później kanapkowe arcydzieło było gotowe. W powietrzu unosił się zapach zapiekanego sera, a gorąca herbata parowała w szklance. Usiadł przy stole, wziął nóż i widelec.

- Chyba już tego nie zjesz - usłyszał nagle.

Podniósł wzrok. Wojownicza stała tuż obok, ubrana tylko w leciutką czerwoną haleczkę.

- Obiecałeś mi coś. Pamiętasz?

Nie mógłby zapomnieć. Spojrzał na nią rozmarzony. Zarumieniła się lekko.

„Cholera! - pomyślała - jestem od niego starsza i mądrzejsza. Dlaczego czuję się jak nastolatka?”

Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

- Boże! Ale jesteś piękna - westchnął.

Uśmiechnęła się. W tych słowach było tyle zachwytu. Odwdzięczyła mu się pocałunkiem. Energia zawirowała wokół nich, wypełniając kuchnię blaskiem niewidzialnym dla oczu zwykłych ludzi. Lód nie zaprotestowała, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Jego aura była jak czarny aksamit. Potężna i zarazem miękka. Otulała ją, splatając się z jej magią. Zdała sobie sprawę, jak słaba jest przy nim naprawdę. Zadrzała. Uspokoił ją kolejnym pocałunkiem. Przytuliła się do niego.

- Chyba się zakochałam - szepnęła.

Czarny płaszcz poleciał na ziemię, a czerwona koszulka spłynęła zaraz za nim.

I kiedy jakiś czas później Lód zasypiała szczęśliwa w jego ramionach, wszyscy obywatele miasta czuli się dziwnie spokojni i odprężeni.

Epilog

Kowalski zabrał swoje rzeczy, podpisał papiery, pożegnał się z lekarzami. Świat wydawał mu się łatwiejszy po terapii. Leki działały świetnie, rany się zagoiły. Te psychiczne też. Wiedział już, że nikt nie ma władzy nad tornadami. Nawet małymi. I że trąby powietrzne są bezmyślnymi tworam natury, więc nie mogą oddawać pokłonu żadnemu człowiekowi. Żółte pastylki powodują, że chce się pracować, a zielone, że chce się spać. Świat zrobił się taki prosty.

„Ale i tak wyrzucę tego darmozjada!” – Ucieszył się w myślach. – „Są tacy, którzy będą pracować za połowę tego co on”. I podniesiony na duchu ruszył do wyjścia.

Pogoda na dworze okazała się piękna. Cudowny styczniowy poranek. Na oko dwadzieścia stopni i piękne słońce chylące się ku zachodowi. Dyrektor Kowalski przeciągnął się leniwie, poprawił tupecik i spacerowym krokiem pomaszerował do domu. Pamiętał słowa doktora Ciaptaka: „I dużo ruchu na świeżym powietrzu”. I właśnie wtedy zobaczył Darmozjada. Stał przy bramie parku Łazienkowskiego. Jego widok przypomniał Kowalskiemu biurowe tornado. Sięgnął po tabletkę. W pamięci ożyły słowa lekarzy: „A podczas konfrontacji ze źródłem lęku należy zachowywać się racjonalnie. I nie może pan okazywać mu wrogości z powodu czegoś, czego nie zrobił”.

„Cholera tam!” – zaklął w myślach dyrektor. – „Racjonalnie czy nie, zamierzam go wywalić!”

Darmozjad najwyraźniej zobaczył jego marsową minę, ponieważ cofnął się o krok i schował za plecami rudej pannicy w czerwonej koszulce. Widząc tę oznakę przestachu, Kowalski nadał się i, nadrabiając miną, spytał:

- Nie w pracy?

Darmozjad zrobił zrozpaczoną minę.

- Wiedziałem, że nie da mi spokoju - jęknął.

- No co ty? - Oburzyła się pannica. - Buraka się boisz?

Dyrektor, aż się zachłysnął.

- Nie wtrącaj się, smarkulo jedna! - rzucił grubiańsko.

Wtedy stało się coś nie do przewidzenia. Rudzielec wystąpiła o krok do przodu, a jej niebieskie oczy zapłonęły jak lasery.

- Słuchaj, buraku - wycedziła przez zęby, akcentując każdą sylabę. - Byłeś BURAKIEM, jesteś BURAKIEM i BURAKIEM pozostaniesz. A teraz wyjaśnię ci, co zrobiłeś nie tak.

Dziesięć minut później Kowalski wreszcie się zatrzymał.

- To niemożliwe! - wycharczał, z trudem łapiąc oddech. - Kule ognia nie istnieją! Nie! Nie! - powtarzał z uporem maniaka, nerwowo obmacując kieszenie.

W końcu udało mu się wydobyć tabletki. Połknął trzy na raz, usiadł na ławce i od razu poczuł się odrobinę lepiej.

- To zwykła halucynacja - powiedział do siebie. - To nie mogła być prawda.

Mózg uparcie podsuwał mu obrazy światła w dłoni dziewczyny. Zapach spalenizny i obraz roztopionych płyt chodnikowych wydawał się przeraźliwie realny. Jednak ciągłe powtarzanie mantry „to zwykła halucynacja” zrobiło swoje. Dyrektor wstał i ruszył do domu. I może nawet by tam dotarł, gdyby nie to, co usłyszał za swoimi plecami. A brzmiało to tak:

- Pchaj mocniej, Arcydzięgiel! - rozkazał głos.

- Ciężkie jest! - stęknął inny.

- Nie marudź! - padła odpowiedź. - Zaczarowałam ją przecież! Chcesz być w naszej paczce? Dla Pieprzu taka kulka to pestka!

I zrezygnowane:

- Dobrze już, dobrze! Staram się, jak mogę, Majeranek!

- Grzeczny chłopiec - pochwalił inny głos, przywodzący na myśl zadowolonego kota.

Kowalski odwrócił się nerwowo. Za nim środkiem ulicy toczyła się olbrzymia ozdobna kula z dachu centrum Arkadii. Pchały ją trzy białe, pokryte futrem stwory. Miały uszy przypominające rogi i długie ogony zakończone chwostem. Wysiły się, jak mogły, a kula turlała się ze zgrzytem ku zachodzącemu słońcu. Kiedy mijały dyrektora, jedno ze stworzeń pomachało mu przyjaźnie ogonem.

Pół godziny później Kowalskiego zabrała karetka. Doktor Ciaptak nie miał zielonego pojęcia, co spowodowało tak nagłe pogorszenie stanu psychicznego pacjenta.